

**łzy sołtysa
i inne
opowiadania**

spis treści

1	Łzy Sołtysa	2
2	Baca	2
3	Zima stulecia	2
4	Party przy świecach	2
5	Świca	2
6	Sroka	2
7	Wawa	2
8	W imieniu prawa	2
9	Policmajster Kielak	2
10	Kara Boża	2
11	Dziewczyna	2
12	Ślub w agonii	2
13	Hrabia	2
14	Florka	2

Łzy Sołtysa

W nocy zaczął siąpić drobny deszcz. Tego dnia w celi było ciemniej niż w słoneczne dni. Przez kosz, zawieszony za kratami do wewnątrz, wpadało niewiele dziennego światła i dlatego zapalono światło. Po zasłaniu łóżek i porannej toalecie w milczeniu oczekiwali na apel, a potem na śniadanie. Dla Borysa był to ostatni apel przed opuszczeniem więzienia. Po śniadaniu otworzono cele i wszyscy z oddziału wyszli na korytarz, ustawili się w dwójki, przyszli strażnicy i poprowadzili ich do warsztatów. W celi pozostał jedynie Borys. Spakował bez pośpiechu swoje rzeczy w koc i cierpliwie czekał, aż oddziałowy przyjdzie po niego. Przyszedł około południa.

- Tadeusz Nowakowski - powiedział oddziałowy.

- Tak jest.

- Spakowany? - Tak jest.

- To idziemy.

Borys wziął swój węzełek i wyszedł na korytarz. Dozorca zamknął cele, i poprowadził go na dół, a potem przez dziedziniec do magazynu mundurowego. Za pięć paczek papierosów odprasowali Borysowi spodnie i kurtkę-wiatrówkę, dali mu pastę, do butów. Po półgodzinie Borys w białej koszuli, krawacie, odprasowanych spodniach i lekkich pantoflach na nogach, z neseserem w rękę, prowadzony przez oddziałowego przeszedł do pomieszczeń dyrekcji więziennej. Tu skrupulatnie przeszukano mu kieszenie w poszukiwaniu jakiegoś gypsu. Nie sprzeciwiał się. Po rewizji usiadł

na ławce i zapalił papierosa. Wypisywanie akt więziennych trwało kilkanaście minut. Na koniec oddano mu depozyt. Pieniądzy zarobionych było ponad trzy tysiące złotych, stary dowód osobisty i kilka drobiazgów. Kiedy już wychodził ze zwolnieniem więziennym w rękę, milicjanci wprowadzili do pomieszczeń administracji trzech aresztowanych.

Borys wyszedł za bramę, na ulicę obcego miasta. Nagle zetknięcie się z wolnością zaskoczyło go. Stał na pustej ulicy bezradny jak dziecko, nic nie wiedząc, w którą stronę ruszyć. Spojrzał za siebie na zimne mury więzienia.

Wstrząsnął nim nieprzyjemny dreszcz. Zaprzagnął być jak najdalej od tego miejsca. Ruszył w prawo od bramy.

Szedł szybko, nie odwracając się, z głową wtuloną w ramiona. Przy załamaniu ulicy przeczytał napis. Brzmiał romantycznie: „Aleja Słoneczna”. Borys uśmiechnął się gorzko. Więzienie pozostało daleko za nim. Tak doszedł do centrum miasta. Mimo wczesnego popołudnia poczuł głód. Wszedł do pierwszej napotkanej restauracji. Przy zastawionych wódką stolikach siedzieli wytatuowani mężczyźni. Usiadł przy jakimś stole. Podeszła kelnerka, zamówił setkę wódki, piwo i kotlet schabowy z kapustą. W lustrze naprzeciw dostrzegł swoje odbicie. Twarz miał bladą, prawie pożółkłą. Kelnerka postawiła przed nim zamówienie. Zapłacił zanim odeszła od stolika.

Jednym haustem wypił alkohol i popił piwem. Potem wziął się do jedzenia. Po obiedzie zapalił papierosa i opuścił restaurację. Szedł wolno nic spiesząc się. Przystawał przy witrynach sklepowych. Wszedł do sklepu z pamiątkami i kupił sobie portfel na dokumenty i pieniądze. Jakiegoś przechodnia zapytał o drogę na dworzec, tamten długo i zawile zaczął mu tłumaczyć, którą ma iść, jak to zwykle bywa najpierw w prawo, potem w lewo, i jeszcze raz w lewo. Borys niewiele zrozumiał z tych wyjaśnień, jednak poszedł we wskazanym kierunku. Potem kierował się odgłosami gwizdów lokomotyw i przetaczanych wagonów. Niebawem znalazł się na dworcu. W ogromnej poczekalni ze ścianami wykładanymi kwadracikami kolorowej glazury, w której hulał wiatr, poruszając płacziwie wahadłowymi drzwiami, na szerokich ławkach ustawionych pośrodku siedziało kilku podróżnych, udających się zapewne w dalszą drogę, i kilka okutanych bab z podmiejskim bagażem.

Borys podszedł do tablicy z rozkładem jazdy pociągów i zadzierając głowę począł czytać miejscowości wypisane na rozkładzie. Było mu obojętne dokąd ma jechać, byleby jak najszybciej opuścić to miasto. Podszedł do okratowanego okienka kasy, gdzie siedziała korpulentna blondynka.

- Na Śląsk poproszę - powiedział Borys.

- Dokąd? - spytała zdziwiona kobieta.

- Wszystko jedno dokąd.

- Z przesiadką w Warszawie - powiedziała. - Bezpośredniego połączenia ze Śląskiem nie mamy.

- Niech będzie z przesiadką - zgodził się Borys i podał jej kredytowany bilet. Kobieta zapatrzona w twarz Borysa odruchowo przystawiła pieczęć i oddała bilet Borysowi.

Chwilę pokręcił się po stacji i wyszedł na miasto. Do odjazdu pociągu pozostały jeszcze trzy godziny. Chodził obcymi ulicami aż do zmęczenia. W kiosku ulicznym kupił bułki z kielbasą na drogę i dwie butelki piwa. Na kwadrans przed odjazdem wsiadł do podstawionego pociągu. Jakiś czas siedział samotnie w przedziale, dopiero przed samym odjazdem wszedł młody ksiądz. Z miłym uśmiechem spytał Borysa, czy są wolne miejsca. Borys w milczeniu skinął głową.

Po drodze przybywało ludzi. Wsiadali prawic na każdej stacji, tak że kiedy późnym wieczorem zbliżali się do Warszawy, wszystkie miejsca w przedziale były zajęte, nawet na korytarzu było tłoczno.

W Warszawie Borys postanowił zatrzymać się kilka dni. W dworcowym biurze informacji zapytał o nocleg.

Skierowano go do Domu Turysty. Przydzielono mu łóżko

w pokoju zbiorowym. Spała tu już jakaś wycieczka. Zajął wolne łóżko, ale nie od razu się położył. Zostawił

swoje rzeczy i wyszedł na miasto. Deszcz przestał padać. W mokrym asfalcie jezdni odbijały się światła latarni ulicznych i neony sklepowe. Szedł przed siebie, bez celu, opustoszałymi ulicami. Co jakiś czas mijały go wolno radiowozy milicyjne, a raz nawet polewaczka zraszająca już i tak moką jezdnię. Późno wrócił do hotelu, po ciemku, nic zapalając światła, rozebrał się i wsunął pod koc. Rano, kiedy się obudził, był sam, wycieczkowicze wynieśli się już na zwiedzanie miasta. Borys wyskoczył z pościeli, obmył się szybko, ubrał i zszedł na dół. W recepcji zostawił torbę podróżną, w kiosku kupił poranną prasę i poszedł do przyhotelowej restauracji na śniadanie. Było to pierwsze wolnościowe śniadanie. Obsłużyła go młoda, sympatyczna kelnerka. Po raz pierwszy od dwóch lat zjadł to, na co miał ochotę. Potem zamówił kawę i ją przeglądać gazety. Po przejrzaniu pierwszych stron nieco dłużej zatrzymał się na ogłoszeniach, gdzie poszukiwano pracowników.

Jedno ogłoszenie szczególnie przykuło jego uwagę. Oto fabryka traktorów w Ursusie ogłosiła zapotrzebowanie na tokarzy, stawki w akordzie według układu zbiorowego w przemyśle maszynowym.

Borys dokończył kawę, zapłacił rachunek, zwinął gazetę, wetknął ją do kieszeni kurtki i wyszedł na miasto. Dzień był podobny do poprzedniego. Niebo zasnuwane ciężkimi, czarnymi chmurami, ale deszcz nic padał. Było jeszcze dość wcześnie i Borys postanowił przejść się pieszo na dworzec. Po kilkunastu minutach jazdy pociągami znalazł się na miejscu. W bramie wypisano mu przepustkę do działu zatrudnienia. Poszedł we wskazanym kierunku. Zakład był rozległy. W parku w równych rzędach stały nowo wyprodukowane traktory. Cieszyły oczy świeżym lakierem i niklem. Nigdzie nie widać było ludzi, jedynie z długich i wysokich hal dobiegał huk i łoskot maszyn.

W dziale kadr przyjął Borysa jedna z wielu pracujących tu urzędniczek, młoda kobieta o sympatycznym wyglądzie.

- Pan w jakiej sprawie? - spytała.
- Chciałem dowiedzieć się o pracę.
- W jakim charakterze?
- Jestem tokarzem. Tu w gazecie jest wasze ogłoszenie.
- Tak. Czy posiada pan zwolnienie z ostatniego miejsca pracy?
 - Tak.
- Proszę napisać podanie, życiorys i dołączyć zwolnienie z pracy.
- Kiedy z tym mogę przyjść?

- A, jeszcze jedno. Musi pan pójść do urzędu zatrudnienia i poprosić o skierowanie do nas do pracy. To wszystko. Kiedy pan do nas może przyjść? Choćby jutro od godziny ósmej rano.

Po opuszczeniu biura Borys wsiadł w najbliższy pociąg i pojechał do Warszawy. Pierwsze kroki skierował do Dzielnicowej Komendy Milicji, skąd odesłano go do milicyjnego biura zatrudnienia. W milicyjnym pośrednictwie pracy oddał urzędniczce swoje zaświadczenie o zwolnieniu z więzienia. Ta przeczytała je dokładnie i zapytała:

- Gdzie chcielibyście pracować?
- Jest praca w moim zawodzie.
- (idzie?)
- W fabryce traktorów w Ursusie. Byłem tam dzisiaj. Nawet dobrze płacą.
- A jak z mieszkaniem i meldunkiem?
- Wynajmę na razie jakiś pokój, zamelduję się tymczasowo, liczę na waszą pomoc.

Urzędniczka wypisała Borysowi skierowanie i podała mu wraz ze zwolnieniem z więzienia.

-Gdybyście potrzebowali pomocy, zgłóście się do nas.

Jeszcze tego samego dnia Borys napisał podanie o przyjęcie do pracy i życiorys, a następnego dnia ponownie zjawił się w fabryce. Przyjęła go ta sama urzędniczka, odebrała od niego dokumenty i wskazała krzesło. Z uwagą zaczęła przeglądać papiery. W miarę czytania twarz jej coraz bardziej tężała, wokół ust pojawił się grymas.

Borys przyglądał się jej uważnie, usiłował odgadnąć jej myśli. W miarę upływu czasu jego pewność, że wszystko skończy się pomyślnie i że zostanie przyjęty do pracy w zakładzie, ustępowała z wątpliwością. Urzędniczka skończyła czytać, jeszcze raz od początku przerzuciła papiery, a potem, jak człowiek, który usiłuje odpędzić od siebie zmęczenie, przejechała dłonią po twarzy od czoła do podbródka i zamyśliła się na moment.

- Juk długo pan siedział? - spytała.

- Dwa lata.
- Można wiedzieć za co?
- Za awanturę. Stałem w obronie kolegi.

- No nie wiem - powiedziała -ja tutaj panu nic nie poradzę. Niech pan zaczeka, pójdę do kierownika.

Jak po ciężkiej chorobie dźwignęła się od biurka i poszła do pokoju obok. Długo nie wracała, a kiedy zjawiła się, powiedziała, oddając Borysowi dokumenty:

-Niech pan wejdzie do kierownika, czeka na pana.

W pokoju, do którego wszedł Borys, siedział za biurkiem, gładko uczesany, nienagannie ubrany młody człowiek. Kierownik wskazał Borysowi fotel, a kiedy ten zajął wskazane miejsce, przystąpił od razu do rzeczy.

- Rzeczywiście potrzebujemy tokarzy.

Borys siedział i w milczeniu przyglądał się człowiekowi za biurkiem.

- Ale widzi pan - ciągnął dalej kierownik - nasz zakład jest specyficznym zakładem, jest to kombinat prawie, ciągle rozbudowujemy się, załogę mamy młodą, zdyscyplinowaną. Obawiam się, czy da pan sobie u nas radę.

- Tam, skąd przychodzę, dyscyplina z pewnością była nie mniejsza, niż w waszym zakładzie. Przez dwa lata nie opuściłem ani jednej dniówki. Przełożeni byli ze mnie zadowoleni. Uważam, że powinniście mi pomóc. Tam, w więzieniu, robiono wszystko, żeby przywrócić mnie społeczeństwu, odbyłem karę i myślę, że jestem człowiekiem, któremu w szczególności należy przyjść z pomocą. Chcę i muszę pracować, nie myślę kraść.

- Panu jest potrzebna doraźna pomoc, mam na myśli pomoc finansową, jakąś chwilówkę, żeby pan miał na początek za co żyć. Nic mamy gwarancji, że pan po otrzymaniu od nas jakichś pieniędzy nie spakuje manatek i nie pojedzie dalej. To jedna sprawa, a druga, panu potrzebne jest jakieś mieszkanie, my panu tego nie możemy zapewnić, przynajmniej w tej chwili.

- Mam trochę pieniędzy na życie, wynajmę sobie jakiś pokoik przy rodzinie, milicja pomoże mi w zameldowaniu, rozmawiałem już na ten temat.

Kierownik z zakłopotaniem przetarł oczy, potem w zamyśleniu popatrzył chwilę na Borysa.

- Niech pan zostawi te dokumenty - powiedział wreszcie - i niech pan przyjdzie jutro z rana. Zobaczę, co da się dla pana załatwić.

Borys wstał, uklonił się i wyszedł, jego dokumenty pozostały na biurku kierownika. Idąc do wyjścia przez dział personalny pełen kobiet, odniósł wrażenie, że wszystkie już wiedzą o jego dwuletnim pobycie w więzieniu.

Po wyjściu z fabryki minął perony przeszedł na drugą stronę torów w kierunku, gdzie mieściło się przyzakładowe osiedle fabryki. Kupując papierosy w kiosku z gazetami, wdał się w rozmowę z kobietą za szklkiem, zapytał czy może przypadkiem wie o jakimś niedrogim pokoju do wynajęcia.

Kobieta za szklkiem nie z chęci przyjsia mu z pomocą, lecz przez prostą kobiecą ciekawość spytała:

- A pan by chciał z rodziną zamieszkać?

- Sam.

- Ale żonę pan ma?

- Jestem kawalerem.

- Najlepiej to poszukać sobie kobiety z mieszkaniem.

- Tak by było najlepiej - zgodził się. - Bogatej i z mieszkaniem.

- Pan się śmieje?

- Nie śmieję się, mówią całkiem poważnie.

- Ja panu doradzę coś, niech pan napisze na karteczce, że samotny, młody mężczyzna poszukuje pokoju przy rodzinie, a ja tą karteczką wsadzę za szklko, tak, żeby wszyscy widzieli. U mnie sporo ludzi kupuje gazety, papierosy. Może ktoś się zgłosi, niech pan przyjdzie pojutrze.

Borys usłuchał rady, napisał karteczką, podziękował kobiecie, pożegnał się z nią i wrócił na stację.

W recepcji Domu Turysty, gdzie złożył na przechowanie swój bagaż, zapytał jeszcze szatniarza, czy może wie o jakimś pokoiku do wynajęcia. Szatniarz obiecał, że popyta swoich znajomych.

- Z mieszkaniem to u nas nie jest lekko - powiedział. - Czasami trafiają się, ale ludzie chcą tyle za pokój, co Cygan za matkę.

Na tym rozmowa się skończyła. Borys zszedł na dół do restauracji na obiad, a po obiedzie wybrał się na spacer po mieście. Idąc ulicą spotkał niespodziewanie znajomego, a właściwie znajomy rozpoznał go wśród wielu przechodniów

- Jak się masz, Borys - przywitał go.

- Cześć, Rogalski - ucieszył się Borys. - Co ty tu robisz?

Był to znajomy z więzienia. Od roku już się nie widzieli.

- Kiedy cię wypuścili?Dwa dni temu.

- Gdzie mieszkasz? - wypytywał Rogalski. - Co robisz?

- Nigdzie nie mieszkam, szukam mieszkania, śpię na razie w Domu Turysty, niedaleko stąd. Trafia mi się robota w Ursusie.

Rogalski zamyślił się.

- Może da się coś załatwić, widzisz ja niedawno ożeniłem się i mieszkam u żony. Moi starzy zostali sami, może bym z nimi pogadał, mają dwa pokoje z kuchnią. Mogliby zamieszkać w jednym pokoju, a ty w drugim. Ile mógłbyś zapłacić?

- Miesięcznic nawet do tysiąca.

- Dobra jest, jeszcze dzisiaj z nimi pogadam. U nich miałbyś fajnie, wyrko, pościel, jest telewizor w domu. Bądź jutro o piątej w tym miejscu, gdzie stoimy, no teraz muszę lecieć, bo żona czeka na mnie, idziemy do kina.

- Jakbyś mi załatwił, to flacha murowana.

- A może i ty byś poszedł z nami do kina. Borys skorzystał z zaproszenia.

- Moja żona, a to kolega z wojska - przedstawił Rogalski.

Rogalska podała Borysowi chłodną, wilgotną dłoń, którą ten z szacunkiem ucałował.

- Tadeusz Nowakowski.

- Nie widzieliśmy się ponad rok - pospieszył z wyjaśnieniem Rogalski. - Kiedyś w wojsku spaliśmy na jednej sali, łóżko w łóżko. Boże! Jaki świat jest mały! Namawiam Tadeusza, żeby poszedł z nami do kina.

Kobieta jakby się na moment zawahała. Obaj to zauważyli. Po chwili niespieszona powiedziała:

- No, bardzo chętnie. Idziemy do kina na włoski film, znajomi mówili mi, że bardzo dobry.

- Jeżeli państwo nie będą mieli nic przeciwko, to chętnie się z państwem wybiorą. Nie mam tu nic do roboty, nikogo znajomego, szczęście, że mąż pani mnie poznał.

To pan nietejszy? - spytała Rogalska. Nie, proszą panią. Przyjechałem z daleka.

- Kolega pracuje w Ursusie, ma kłopoty z mieszkaniem. Pomyślałem, że może by u moich rodziców. Są dwa pokoje.

Rogalska nic nie odpowiedziała. Biernie poddała się mężowi, który ujął ją pod ramię.

- Jeśli chcemy dostać się do kina, to musimy pospieszyć się z kupnem biletów.

Całą drogę do kina szli w milczeniu. Borys kątem oka obserwował żonę kolegi. Usiłował odgadnąć, kim ona jest i gdzie pracuje. Z zachowania Rogalskiego wnioskował, że ona jest panią domu i nadaje ton rodzinie.

Przed kasami było pusto, a w poczekalni kilkanaście osób cisnęło się do bufetu z napojami i słodyczami.

- Z okazji spotkania napijemy się piwka? - rzucił myśl Rogalski.

- Nie ma żadnego piwka - sprzeciwiła się stanowczo żona. - Tobie w głowie tylko piwko!

- No i weź się tu, człowieku, ożeń - odezwał się niby żartem speszony Rogalski.

- Żona ma rację - poparł ją Borys.

Kobieta z wdzięcznością spojrzała na Borysa, przynajmniej u niego znalazła zrozumienie.

- Henio - powiedziała - jest zupełnie jak dziecko. Trzeba go na każdym kroku pilnować, a już nie daj Boże pozwolić mu na coś, włożyłby wtedy człowiekowi na głowę.

- Wszyscy mężczyźni są do siebie podobni, nie wiem, co by się z nimi stało, gdyby nie kobiety.

- No słyszysz, co pan mówi? Zawsze byłam pewna, że nie wszyscy mężczyźni są tacy lekkomyślni jak ty.

- Widzę, żeście się już dogadali. Dwoje przeciwko jednemu. Jednostka zerem, jak by powiedział nasz wielki uczony. Poddaję się.

Otworzono drzwi widowni i grupka ludzi, opychając się łakociami, weszła w półmrok sali. Film był nudny, od samej czołówki aż po koniec, do tego stopnia, że nawet z tej małej garstki widzów kilka osób opuściło salę w czasie projekcji.

Po wyjściu z kina Borys pożegnał Rogalskich i ruszył do hotelu. Następnego dnia z rana zjawił się w fabryce.

Przyjął go osobiście kierownik.

- Nie jest źle, panie Nowakowski, jest nawet lepiej, niż się spodziewałem. Od jutra jest już dla pana praca, a za jakieś trzy dni, być może, znajdzie się dla pana miejsce w hotelu robotniczym budowlanych. Są tam dwuosobowe pokoje, jest na miejscu stołówka. Niech pan teraz przejdzie do tej pani, która z panem już rozmawiała.

Borys skłonił się kierownikowi i tyłem wycofał z pokoju. Znajoma urzędniczka założyła Borysowi teczkę z aktami i na kawałku karteczki wypisała nazwisko majstra, do którego powinien się zgłosić.

- Gdzie to jest? - spytał Borys.

- Jak to panu wytłumaczyć - zastanawiała się, po czym sięgnęła po słuchawkę telefonu. Nakręciła czterocyfrowy numer i poprosiła o rozmowę z panem Kubikiem. Zgłosił się Kubik.

- Tu mówi dział kadr, przyjęliśmy dla pana tokarza, proszę niech pan przyśle kogoś do nas po nowicjusza.

Po kilku minutach zjawił się Kubik we własnej osobie. Człowiek niskiego wzrostu, nadmiernie rozbudowany w barach, niemłody już, o nalanej twarzy, dobrym spojrzeniu i posiwiiałych skroniach. Przybyły taksującym spojrzeniem obrzucił Borysa i zwrócił się do urzędniczki.

- Pani mnie wzywała? - spytał niskim głosem.

- Tak. To jest nasz nowy pracownik - powiedziała, wskazując Borysa.

Kubik skłonił się i podał Borysowi krótką rękę o mocnym uścisku.

- Kubik.

- Nowakowski.

- Idziemy - rzucił Kubik.

Skłonili się urzędniczce i opuścili biuro. Po wyjściu przed budynek udali się w głąb zakładu. Po przebyciu kilkudziesięciu metrów Kubik wprowadził Borysa do długiej, niskiej hali ze szklanym dachem.

- To jest nasze królestwo - poinformował.

Oprowadzał Borysa po całej hali, pokazał mu jego stanowisko, tokarnię, przy której od jutra rana Borys miał przystąpić do pracy. Następnie pokazał mu swój oszklony kantor, z którego widać było całą halę. Na koniec wypisał Borysowi kwit do magazynu odzieżowego na odebranie ubrań roboczych, butów, rękawiczek, mydła i wreszcie zaprowadził go do pomieszczenia, gdzie mieściły się metalowe szafki pracowników.

Kiedy Borys odebrał z magazynu wszystkie niezbędne rzeczy łącznie z kłódką do szafki, i zamknął ją dokładnie, poszedł do kantoru majstra.

- Na którą mam się jutro stawić? - spytał.

- O szóstej zaczynamy pracę, pan rozpocznie trochę później. Jutro dam panu numerki na narzędzia, a dziś proszę iść jeszcze do kadr, żeby wystawili stałą przepustkę. Do widzenia.

W kadrach wydano mu tymczasową przepustkę, bo nie miał fotografii. O piątej spotkał się z Rogalskim, tak jak było umówione. Noc spędził już na nowym miejscu, u starych Rogalskich.

Nazajutrz rano przed szóstą Borys wraz z innymi odbił swoją kartę przy wejściu na teren fabryki. Przy warsztatach naprawczych czekał na niego Kubik. Borys przywitał się z nim i z kilkoma mężczyznami, którzy stali obok.

- Chodź, pan, pokażę panu narzędziownię, potem dam panu numerki.

Przeszli poza halę warsztatów do niskich, murowanych budynków. Nie było tu jeszcze nikogo, musieli chwilę poczekać. Kubik wydobyl z kieszeni papierosa i poczęstował Borysa. Zapalili. Stali w milczeniu. Po którymś zaciągnięciu się dymem Kubik, strącając małym palcem popiół z papierosa, ze wzrokiem utkwionym w czubki własnych butów, zapytał:

- Skąd pan pochodzi?

- Urodziłem się we Lwowie, wychowywałem różnie.

- To znaczy?

- Dużo by o tym gadać.

- Nie pij pan z moimi ludźmi. Będą pana na pewno ciągnąc na gorzałę. Ostrzegam. Dzisiaj wypije pan z jednym wkupne, a jutro w dyrekcji będą o wszystkim wiedzieli. Jest tu paru takich, których bardzo interesuje jak kto żyje. Poniał?

- Poniał.

- Znasz się pan na rysunku?

-Znam. Skończyłem technikum mechaniczne.

- Gdzie?

- Czeladnika zrobiłem w domu wychowawczym, a technika w mieście, poza zakładem.

Przyszli ludzie do narzędziowni.

- Dzień dobry, panie majster- pozdrowili Kubika, który zerknął na zegarek.

- O której to przychodzi się do roboty?

- A co się stało?

- To, że czekam na was od dwudziestu minut. Robotnicy zamilkli, otworzyli narzędziownię i przepuścili Kubika.

- Panowie, to jest nasz nowy pracownik, chciałbym, żebyście byli fair. To wszystko, co miałem do powiedzenia. A pan, jak odbierze potrzebne narzędzia, przyjdzie do mnie, dam panu robotę.

Borys odebrał komplet noży, klucz do futerek, suwmiarki, mikromiér i kilka pilników. Później zjawił się w kantorze Kubika, gdzie otrzymał zlecenie na pobranie materiału, zlecenie na robotę i rysunek. W godzinę później przebrany w robocze ubranie stał pochylony nad pracujący tokarnią.

Około południa zjawił się Kubik. Chwilą w milczeniu przypatrywał się Borysowi, a potem zapytał:

- No, jak leci?

- Normalnie.

- Gdzie pan ostatnio pracował?

- W więzieniu.

- Widzę, że się pana żarty trzymają- zaśmiał się Kubik, wyraźnie ubawiony odpowiedzią. - Ja pytam pana poważnie.

- Ja też panu poważnie odpowiadam. Przez dwa lata siedziałem.

Kubik niespodziewanie sposepniał, w milczeniu pokręcił głową i powiedział do siebie w zamyśleniu, jakby przy nim Borysa nie było: „laki młody i już w więzieniu.”

Po tych słowach odszedł dalej na oddział.

Z soboty na niedzielę nad ranem zaczął padać deszcz, ciął z ukosa o szyby i bębnił w blaszany parapet za oknem.

Borys obudził się i już nie mógł zasnąć. Próbował, ale sen nie przychodził. Przewracał się z boku na bok, palił papierosa jednego za drugim jak w chwili największego zdenerwowania. Kiedy zupełnie rozwidniło się, ulewa przeszła w mżawkę, dzień był ponury jak w każdą niedzielę, kiedy pada deszcz. Borys leżał w łóżku, szczelnie okręcony w koldrę gospodarzy. Było wczesne przedpołudnie. U drzwi wejściowych rozległ się dzwonek, raz i drugi, a potem trzeci. Ktoś dobijał się niecierpliwie. Potem dobiegło człapanie Rogalskiej w korytarzu, otwieranie drzwi i chaotyczna rozmowa prowadzona na kilka głosów. Rozmowa nagle urwała się i dały się słyszeć czyjeś kroki.

Ktoś zapukał do jego pokoju i zanim Borys zdążył powiedzieć „proszę”, drzwi się otworzyły i wszedł Heniek.

No, co ty, wałkoniu, jeszcze śpisz? A co mam robić? - Wstawaj! - rozkazał Heniek. - Wstanę i co dalej, dokąd pójdę? Po ulicach będę się szwendał?

- Przeszedłem z kobietą po ciebie. Koleżanka żony zaprosiła nas na obiad, trzeba iść.

- To idźcie. Życzę smacznego.

- Pójdiesz razem z nami.
-- Co ty kombinujesz, Heniek?
- Jest fajna dziewczucha, w twoim wieku, pracuje, dobrze zarabia, sama mieszka, w mieszkaniu u niej jak w bombonierce. Zobaczysz na własne oczy.
- Co chcesz mnie ożenić? - zaśmiał się Borys.
- Po co od razu takie słowa. Żenić. Nikt cię nie myśli żenić. To moja baba wpadła na ten pomysł. Dziewczyna samotna, ty tu nikogo nie znasz. No, wstawaj - powiedział stanowczo Heniek i zdarł z Borysa kołdrę.
- Oszalałeś chyba.
- Przypętał się kiedyś do niej taki jeden, wykołował dziewczuchę na wszystkie strony, wycykał z forsy, jak tylko chciał, i dał nogę.
- Nigdzie nie idę.
- Wstawaj, bo tu zaraz moja baba przyjdzie.
Borys niepewnie spojrział na Rogalskiego. Potem poderwał się z pościeli. Szybko wciągnął spodnie i podkoszulek, nogi wsunął w laczki i pobiegł do łazienki.
Rogalski w oczekiwaniu na Borysa jął rozglądać się po mieszkaniu i dobrze znajomych sprzętach. Sięgnął po papierosa leżącego na krześle, przypalił i natychmiast zaniósł się kaszlem. Łzy napłynęły mu do oczu, obejrzał z uwagą papierosa, zgasił go, a kiedy wrócił Borys, zapytał:
- Co ty za świństwa palisz?
- Nie stać mnie na lepsze - poważnie odparł Borys. Rogalski nie odpowiedział, Borys ubrał się i zasłał łóżko.
- Chodź do starych, napijemy się herbaty.
Borys gotów do wyjścia rozejrzał się uważnie po pokoju.
- Otworzyłbym okno, żeby nie ten deszcz.
- Daj sobie spokój, chodź, szkoda czasu.
Przeszli do pokoju rodziców Heńka. Wszyscy w posępnym nastroju siedzieli przy stole nad herbatą. Stary Rogalski, człowiek zazwyczaj rozmowny, siedział teraz spięty z łokciami wspartymi o blat, i co chwila zaciągał się dymem połówki papierosa wetkniętego w drewnianą cygarniczkę. Jego żona, kobiecina niska i okrągła niczym baryłeczka o dobroduszej twarzy, rozmawiała z synową, trzymając ją za rękę pulchnymi łapkami o krótkich, miękkich palcach, i z nadzieją zaglądała jej w oczy.
Borys pozdrowił wszystkich od progu, ucałował ręce kobiet i przywitał się ze starym.
- Niech pan siada - zarządził gospodarz.
Borys posłusznie niczym szkolniak zajął wskazane miejsce naprzeciwko starego.
- Herbaty? - spytała stara.
- Chętnie.
Puściła rękę synowej i poczłapała do kuchni. Przyniosła herbatę i na talerzyku dwa kawałki ciasta z zakalcem.
- Proszę, niech pan się poczęstuje.
- Chętnie - odparł skwapliwie. Żuł ciasto popijając herbatą.
- Co pani tu dodała, że ten placek taki smaczny? Stara nie wyczuta aluzji.
- A to moja tajemnica - powiedziała z dobrodusznym uśmiechem.
- Heniu - spytała żona - rozmawiałeś z panem? - Wszystko w porządku, Jolu - odparł Henio.
- Mamo - powiedziała synowa z niewinną miną - na nas już czas, musimy iść, jesteśmy umówieni.
Pożegnali się. Borys wyszedł razem z młodymi. Po drodze zajrzeli do jego pokoju.
- No proszę - powiedziała z uznaniem Jola - kawaler, a jak potrafi utrzymać porządek.
- W wojsku mnie tego nauczono - odparł.
Przed domem zatrzymali przejeżdżającą taksówkę. Henryk z miejsca usadowił się obok kierowcy, Borys z konieczności musiał zająć miejsce przy boku Joli.
- Słoneczna 16 - powiedziała Jola pochylając się do ucha kierowcy.
Borys zerknął kątem oka na Jolę. Co za zbieg okoliczności, nie dalej jak tydzień temu opuścił Aleję Słoneczną. Zajechali pod wieżowiec w jakimś nowym osiedlu, którego Borys nie znał. I Henryk zapłacił za kurs. Windą wjechali na dziesiąte piętro. Jola ustawiła obydwu mężczyzn z boku pod ścianą, a sama nacisnęła gong i też zwinnie uskoczyła. Długo nikt nie otwierał. Jola jeszcze raz nacisnęła gong i ponownie się ukryła. Szczęknęła zasuwą i ufryzowana głowa kobiety pod trzydziestką wychyliła się za próg. Dostrzegła najpierw Jolę stojącą najbliżej, i udając zaskoczenie niespodziewaną wizytą wypowiedziała przeciągle udaną radością jedną tylko sylabę: „Oooooo!", a po chwili, kiedy się okazała w całej okazałości na mrocznej klatce schodowej, dodała:- Kogo ja widzę? Jak się cieszę! - Drobny truchtem podbiegła do Joli, zarzuciła jej ręce na ramiona, i złożywszy szerokie usta w ciup cmoknęła ją w obydwa policzki. Czulości zapewne trwałyby bez końca, gdyby do akcji nie wkroczył Henio.
- No, panienki, dosyć, bo deszcz zacznie padać. Marylu, zostaw jednego buziaka dla mnie.
Maryla, jakby czekała na te słowa, bez żalu puściła Jolę i serdecznie ucałowała w czoło Henryka, zostawiając na jego czole rozmazaną, tanią pomadkę do ust.

- Proszę do mieszkania - powiedziała Maryla i przez sukienkę poprawiła sobie zsunięte ramiączko od biustonosza. - Proszę do środka.

Kiedy znaleźli się w mieszkaniu, Maryla zamknęła drzwi na zasuwę, podeszła do Borysa i zadzierając głowę powiedziała:

- My się jeszcze nie znamy, prawda? - Krygując się niczym dziewczica, wyszeptwała: - Maryla Rodowska - i podała mu rękę do pocałunku.

- Tadeusz Nowakowski, bardzo mi przyjemnie.

- Proszę dalej, proszę do pokoju.

Borys wszedł do pokoju i bystrym spojrzeniem obrzucił pomieszczenie. Maryla bez przerwy wszystkich zapraszała, przepraszała, że nie jest tak, jak powinno być, ale to dlatego, że się nie spodziewała gości, jednym słowem buzia jej się nic zamykała. Borys chytrze wykorzystał w pewnym momencie zakłopotanie Maryli, podszedł do niej i zapytał:

- Przepraszam panią, gdzie tu jest kiosk, zapomniałem zabrać z domu papierosy.

Maryla przez moment szczerze się zmartwiła, że sama nie pali. Wy tłumaczyła mu jednak. Borys obiecał, że zaraz wróci. Wyszedł. Zbiegł szybko po schodach i pierwszego napotkanego przechodnia na ulicy zapytał, gdzie mieści się najbliższa kwaciarnia. Była niecałe dwieście metrów. 'Pobiegł we wskazanym kierunku, kupił kilka goździków przystrojonych kolorową wstążką, wracając kupił papierosy i przesadzając po trzy, cztery stopnie, bliski zemdenia wdrapał się na górę. Kilka razy głębiej odetchnął przed drzwiami, otarł pot z czoła i nacisnął gong. Nie musiał długo czekać, otworzył mu Henryk, który ujrawszy kwiaty w ręku Borysa, powiedział:

- No, bracie, jesteś bezkonkurencyjny.

Obie kobiety po wyjściu Borysa zamknęły się w kuchni, aby przyrządzić obiad, który w zasadzie od dawna był przygotowany i zdążył już ostygnąć.

- No i jak on ci się podoba? - spytała Jola z dziecinnym wytrzeszczeniem oczu.

- Wyglądasz przyjemnie, to trzeba mu przyznać, niejednej kobiecie może się spodobać, jest przystojny...

- A nie mówiłam?

- Jolu, a jak ja wyglądam?

Jola obrzuciła koleżankę krytycznym spojrzeniem, z uwagą szukała uchybień w jej makijażu i ubraniu.

- Wyglądasz cudownie, dawno cię takiej nie widziałam. Kiedy kobiety wróciły do pokoju, Borys wręczył Maryli kwiaty. Wyraźnie była mile zaskoczona.

- Och, kłameczuch z pana - powiedziała Maryla z wyrzutem.- Oszukał mnie pan! Miał pan pójść po papierosy - pogroziła mu palcem. - No nic, tym razem panu wybaczę.

Włożyła kwiaty do wazonu i postawiła pośrodku stołu.

- Proszę zajmować miejsca - komenderowała gospodyni. Borys i Henryk usiedli przy stole, zapalili papierosy. Henryk palił słabsze, Borys siekiery.

- No jak? - spytał I leniek szeptem, kiedy kobiety znowu zniknęły w kuchni.

Borys bezradnie rozłożył ręce, zrobił kilka nic nie znaczących gestów.

- Jakby ci tu powiedzieć - zaczął wymijająco. Maryla i Jola ukazały się w drzwiach pokoju niosąc półmiski z zimnymi zakąskami i butelkę gronowego wina. Potem znowu poszły do kuchni, chodziły razem krok w krok, zachowywały się niczym syjamskie siostry, jakby jedna drugą obawiały się zostawić z mężczyznami. Przyniosły cztery kieliszki. Wreszcie usiadły.

- Który z panów otworzy butelkę? - spytała Maryla i wyciągnęła rękę z korkociągiem w stronę Borysa. Dodała przy tym: - My, kobiety, nie mamy nawet tyle siły co najslabszy mężczyzna.

Borys wkręcił śrubokręt w korek, ścisnął butelkę kolanami i z hukiem otworzył wino, nalał w tanie szklane lampki.

- Zdrowie przemilej gospodyni!.....podniósł kieliszek

i wyciągnął rękę na środek stołu. Trącili się szkłem. Kobiety ledwie umoczyły usta, Henio wydoił całą zawartość lampki, i gdyby nic to, że Borys odstawił na bok nie tknięte wino, Heniowi porządnie by się oberwało od Joli. Potem podano obiad i drugą butelką wina. Po obiedzie rozochoczone kobiety odsunęły stół pod ścianę i wyciągnęły z kąta adapter, nastawiły płytę. Popłynęła muzyczka.

- Bardzo lubię tańczyć - powiedziała Maryla. - Jak byłam podlotkiem, nie opuściłam żadnej zabawy. Boże, jakie awantury miałam w domu przez te tańce.

- Od kogo.

- Od matki i od ojca.

- Ale ojciec cię nie bił?

- Bo nie wypadało. Był sołtysem na wsi. Czasami aż płakał ze złości.

- No, ja żebym miał taką córkę, jak ty, to nawet gdybym był ministrem...

- Zbiłbyś mnie?

Borys w odpowiedzi nieco mocniej przytulił do siebie Marylę, która przy każdym wykonywanym pas usiłowała narzucić mu swoje tempo. Tańczył w skupieniu, jakby z trudem przypominał sobie tę czynność. Było mu dobrze.

Od ponad dwóch lat po raz pierwszy obejmował kobietę, czuł ciepło jej ciała i miły zapach tanich perfum.

- Dlaczego jesteś taki poważny? - spytała Maryla z troską w głosie.- Jesteś niezadowolony?"

- Zawsze taki jestem.

- Uśmiechnij się, jest tak fajnie.

Spełnił jej życzenie. Wypadło to sztucznie. Zadzwonił telefon. Maryla przeprosiła Borysa i wyszła do przedpokoju, zamykając za sobą drzwi. Długo z kimś rozmawiała. Wróciła podenerwowana, z wypiekami na twarzy.

- Czemu jesteś taka zdenerwowana? - spytał Borys, obejmując ją w pól.

- Koleżanka do mnie dzwoniła, prosiła, żebym do niej przyszła.

W ciągu kilku minut wesoły nastrój opuścił Marylę. Wszyscy to zauważyli. Jeszcze raz nastawiono nową płytę i na tym zabawa się skończyła. Rogalscy poczuli zbierać się do wyjścia.

- Zostańcie - prosiła Maryla -jest jeszcze wcześniej.

- Na nas już czas - zarządziła Jola. - Wpadniemy do ciebie przy najbliższej okazji albo ty przyjedź do nas któregoś dnia po pracy.

- Moglibyście zostać chwilę dłużej - powiedziała Maryla z nieukrywanym wyrzutem.

- Borys może zostać, zabawić cię, na nas już czas.

- Borys, ty się nigdzie nie spieszysz, prawda? Zostań, proszę cię.

- Czego się nie robi dla pięknej kobiety - powiedział Borys ze śmiechem. - Widzę, że tego wieczora ja najlepiej z was wszystkich się ubawię. Zostaję.

Rogalscy pożegnali się i wyszli. Borys został z Marylą.

- Jak ja wyglądam? - spytała Maryla.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem, ujął za rękę, obrócił profilem i z miną jurora powiedział:

- Daj, Boże. każdej kobiecie tak wyglądać.

Jego słowa ponownie sprawiły Marylę w wesoły, beztroski nastrój. Posadziła go na krześle, a sama przeszła do kuchni. Po minucie wróciła z nową butelką wina. Borys otworzył butelkę i nalał do szklaneczek.

- Twoje zdrowie - powiedział.

- Twoje też.

Wypili. Borys zapalił papierosa. Siedzieli przy stole odstawionym pod ścianę i w milczeniu przyglądali się sobie.

- Czemu tak na mnie patrzysz?

- Bo mi się podobasz - odparł.

- Tobie chyba wszystkie kobiety się podobają, prawda?

- Nie wszystkie, ale ty mi się podobasz.

- Nie znamy się przecież.

- Po to, żeby się ktoś komuś podobał, to od razu trzeba się znać?

- Zatańczmy - zaproponowała Maryla.

Borys odłożył papierosa. Maryla nastawiła płytę. W pokoju rozległa się muzyka. Borys pocałował Marylę w rękę i przygarnął ją mocno do siebie.

- Chwileczką - powiedziała Maryla.

Puściła Borysa, zgasiła górne światło, zapaliła nocną lampkę i zasłoniła drukowaną kotarą okno.

- Tak będzie lepiej - i przykleiła się znowu do Borysa. Zarzuciła mu ramiona na szyję i wsparła głowę na ramieniu. Przytulał ją. teraz coraz bardziej bezwstydnie. W tańcu rozpiął jej sukienkę na biuście, jego prawa ręka natomiast przesuwała się wolno po jej plecach, biodrze i krągłym zadku. Płyta już dawno przestała grać, a oni spleceni ze sobą dalej kręcili się w kółko w tym samym rytmie. Uniósł jej twarz do góry i pocałował ją w rozchylone usta. Najpierw musnął ją delikatnie, a potem wpił się w nie z całej mocy. I choć tak w istocie nie było, w jednej chwili udawała nieprzytomną. Ułożył ją na wersalce, najpierw zdjął jej buty z nóg, a potem całą rozebrał. Nic uczyniła żadnego gestu w obronie, najwyraźniej pragnęła Borysa.

Pogoda zmieniła się z dnia na dzień. Borys obudził się o świcie i usiadł w pościeli. W pokoju na podłodze leżał prostokąt jaskrawego słońca. Uniósł lekko koldrę i jął przyglądać się śpiącej nago dziewczynie. Spała na brzuchu. Zaczął ją delikatnie muskać ustami po karku i plecach, a potem legł obok niej i z powrotem nakrył się koldrą.

Skrępowana Maryla krzątała się po mieszkaniu, Borys w spodniach i podkoszulku siedział na brzeжку wersalki, wciągał na nogi skarpetki i zakładał pantofle.

- Jaka ja głupia - powiedziała w pewnej chwili Maryla.- Spić się do tego stopnia, żeby nie wiedzieć, co robię.

Ale nie myśl sobie, nic jestem taka jak inne, co to od razu z pierwszym lepszym idą do łóżka. Pierwszy raz mi się to zdarzyło. Więcej się nie powtórzy. - Nie masz większych zmartwień?

- Co ty sobie teraz o mnie pomyślisz?

- To samo co przedtem.

- Ciekawa jestem.

- Że jesteś klawą dziewczyną. Nic żałuję, że tak się stało i zostałem u ciebie na noc.

- Jola i Heniek nie mają prawa o tym wiedzieć.
- A co im do tego? Nie jesteście dziećmi.
- Mogą wziąć nas na języki, a tego bym nie chciała. Nie znasz jeszcze Joli. Ją bardziej obchodzi czyjeś życie niż własne. Ja ją znam od lat.
- Wydaje mi się, że jest w porządku.
- Teraz tak, ale trzeba było poznać ją dwa albo trzy lata temu. Zjesz śniadanie?
- Nie, nie zdążę już, zrób mi coś do roboty.

Maryla przygotowała mu kanapki: chleb posmarowany masłem i poprzekładany szynką oraz kilka pomidorów, wszystko to razem zapakowała mu w celofanową torebkę. Na odchodnym pocałował ją w czoło i policzki.

- Postaraj się wyjść tak, żeby cię nikt nie widział -poprosiła.
- Daj mi swój telefon, zadzwonię po robocie. Wręczyła mu wizytówkę. Wymknął się chyłkiem z mieszkania Maryli.

W halki modnej kawiarni tłok był niemiłosierny. Młocie dziewczyny wyfiokowane wieczorowo przed wejściem na salę poprawiały przed lustrem fryzury. Borys pomógł Maryli zdjąć płaszcz i oddał go do szatni. Potem, podtrzymując ją pod rękę, poprowadził po szerokich, marmurowych schodach na pierwsze piętro, skąd dobiegały dźwięki orkiestry i ochrypli głos piosenkarki.

Wykupił karty wstępu i weszli na salę. Na parkiecie krążyło kilka par.

- Ober - zawołał Borys do przebiegającego w pobliżu kelnera i strzelił palcami, ale tamten nawet nie spojrzął w ich stronę, z tacą uniesioną naci głową pomknął dalej.
- Czego się napijemy? - spytał Borys.
- Nie wiem. Nigdy nic byłem w takim lokalu, dlatego zaproponowałam ci, żebyśmy tutaj przyszli. Bierz, co uważasz.
- Weźmiemy koniak gruziński, dobry i niedrogi.
- Może być.

Orkiestra przestała grać i zapalono na sali światła ukryte dyskretnie wśród girland. Ludzie rozeszli się do swoich stolików. Do stolika, przy którym siedzieli, podeszła jakaś para z parkietu. Młoda dziewczyna o głupim uśmiechu, szczupła i wysoka, oraz facet niższy od niej o głowę, łysy, obwieszony złotem niczym jakaś księżna. Na pierwszy rzut oka widać było, że on jest tutaj panem. Skłonili się siedzącym i zajęli dwa wolne miejsca, facet uśmiechnął się pewnie do swojej towarzyszki, a potem klasnął kilka razy w pulchne ręce i jak za uderzeniem czarodziejskiej różdżki przy stoliku zjawił się kelner.

- Butelkę martini i jakieś soki, no... - facet uczynił gest ręką, który miał znaczyć, że kelner z racji swego zawodu powinien domyślić się, co on ma na myśli.

Borys przy tej okazji również złożył zamówienie. Dwa podwójne koniaki i colę z lodu. Na tyle ich było stać, to znaczy Marylę było stać, bo on był jej gościem.

Kelner w mig zaserwował zamówienie. Ludzi wciąż przybywało. Zajmowali stoliki ustawione wokół parkietu. Jakiś mężczyzna skłonił się w stronę ich stolika. Borys pomyślał, że ukłon skierowany był do faceta siedzącego obok nich albo też do Maryli.

- To twój znajomy? - spytał.
 - Nie znam go, w ogóle nie utrzymuję znajomości z mężczyznami, a kobiet nie cierpię. Wszystkie one są głupie i podstępne. Jedną drugą utopiłaby w łyżce wody, gdyby mogła. Nie znasz jeszcze kobiet.
- Nagle Borysowi wydało się, że jakiś osobnik wśród tańczących przygląda mu się z uwagą. Udał, że nie dostrzega spojrzenia tamtego. Jednak zainteresował go ten człowiek, jego twarz wydała mu się znajoma. Zadał sobie pytanie, skąd go zna. Pamięć wzrokową miał dobrą, nigdy jednak nic miał przyjemności poznać tego jegomościa, chociaż musiał go gdzieś widzieć. Kiedy wracali do stolika, nieznajomy odprowadził ich spojrzeniem. Nie uszło to nawet uwagi Maryli.

- Co się stało? - spytała z niepokojem.
- A co się miało stać? - odpowiedział pytaniem na pytanie.
- Zauważyłeś tego faceta, co ci się tak przyglądał?
- Zauważyłem.
- Co to za jeden? Obojętnie wzruszył ramionami.
- Nie wiem, nie znam go.
- Dziwnie ci się jakoś przyglądał.
- Przesadzasz, co znaczy „dziwnie”. Normalnie.
- No dobrze, nic złość się już. Zmienili temat.
- Jak ci się tutaj podoba?

- Wcale mi się nie podoba - wyznała szczerze Maryla.- Nawet żałuję, żeśmy tutaj przyszli. Mogliśmy pójść gdzie indziej, gdzie mniejszy tłok.

- Sama chciałaś tu przyjść.
- Tak, bo nigdy tu nie byłam.

Dziewczyna od faceta obwieszzonego złotem po wypiciu kilku kieliszków poczuła się wiele swobodniej, pozwalała bez cienia żenady obmacywać się swemu adoratorowi, chichotała z byle powodu, pieszczotliwie poklepywała go po nalanej twarzy i ni to czule, ni to z drwiną, śmiejąc się zalotnie, powtarzała co chwila.

- Ty mój dzidziusiu.

Dzidzius zachowywał się podobnie jak jego towarzyszka. Bezceremonialnie, jakby poza nim nie było nikogo na całej sali.

Zbliżył się kelner.

- Dwie duże kawy pan będzie łaskaw - zarządził Borys.

Ulizany kelner o kocich ruchach i aparycji trzeciorzędnego sutenera postawił w mig kawy i dwie duże koniakówki napełnione napoleonem. Z przyklejonym uśmiechem zamierzał zniknąć.

- Ja tego nie zamawiałem - powstrzymał go Borys.

- Miałem takie polecenie.

- Od kogo?

- Od pańskiego przyjaciela.

Maryla przeniosła zdziwione spojrzenie z kelnera na Borysa. Kelner usunął się w cień. Siedzieli nad kawą, nie rozumiejąc, co to wszystko ma znaczyć. W pewnej chwili do ich stolika podszedł młody, elegancko ubrany człowiek i skłonił się siedzącym.

- Przepraszam państwa - powiedział przybyły, a potem zwracając się do Borysa, dodał - czy mógłbym pana prosić na sekundę?

- Pij ten koniak - powiedział Borys do Maryli i podniósł się od stolika w taki sposób, w jaki podwładni witają przełożonego. - Zaraz wracam. Przepraszam cię.

Wyszli z sali do hallu. Tu, gdzie nikt ich nie widział, przywitani się serdecznie.

- Cześć, Kozak - powiedział Borys. - Co słychać?

- O to samo chciałem ciebie zapytać - odpowiedział Kozak. - Jak żyjesz, kiedy cię wypuścili?

- Wyszedłem miesiąc temu. Jak sobie radzisz?

- Rozmaicie, raz lepiej, raz gorzej.

- Potrzeba ci pieniędzy?

- Nic.

Kozak jakby nie słyszał słów Borysa. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wydobył plik banknotów i odliczył z nich pięć tysięcy.

- Masz - powiedział, wyciągając rękę do Borysa.

- Nie chcę.

- Uuu... - Kozak zrobił zdziwioną minę i ze zgorzaniem popatrzył na Borysa. - Bierz, jak ci daję. Tyś mi kiedyś w życiu pomógł, chcę ci się zrewanżować.

- Dziękuję ci, ale pieniądze są mi naprawdę w tej chwili niepotrzebne. Pracuję, zarabiam.

- Ty pracujesz? - zdziwił się ponownie Kozak. - Nie do wiary! Taki człowiek jak ty i z taką głową?

- Jestem tokarzem w Ursusie.

- Nie, ja skonom za chwilę - zaśmiał się szczerze Kozak. - Borys wstąpił na drogę cnoty.

- A ty jak żyjesz? - zapytał Borys, chcąc zmienić temat.

- Jak widzisz. Nie najgorzej. Jakoś daję sobie radę.

- Jak dawno wyskoczyłeś? - zapytał Borys. Kozak zastanowił się chwilę.

- Czternaście miesięcy temu.

- A ja dopiero miesiąc. Odpierdziałem wszystko od dzwonka do dzwonka i na razie jestem czysty jak łąza. Chcę pospacerować trochę na wolności.

- No cóż, chciałem ci pomóc jak kumplowi, ale skoro nie chcesz...

- Jak będę potrzebował twojej pomocy, sam się zgłoszę.

- A co to za ludzie przy twoim stoliku?

- Tego łysego faceta i tej dziwki jego nic znam, jestem z tą, która siedzi obok mnie.

- A co to za jedna?

- Heniek Rogalski poznał mnie z nią.

- Przepraszam swoją panią na chwilę i podejdź do naszego stolika. Siedzą w tym samym rzędzie co ty, o trzy stoliki dalej.

- A z kim ty tam jesteś?

- Przyjdź, zobacz.

Rozstali się. Borys wrócił do swego stolika, Kozak poszedł do siebie. Borys zapatrzył się na moment w swój kieliszek z napoleonem.

- Coś się tak zamyślił? - spytała Maryla.

- Tak sobie - odparł wymijająco.

- Kto to był? - wypytywała dalej.

- Mój kierownik z pracy. Pij. Muszę cię na chwilę przeprosić, przypomniałem coś sobie.
Wstał i odszedł od stolika. Kozak siedział w większym gronie przy dwóch zestawionych stolikach. Poza Kozakiem było tu czterech facetów i trzy dziewczyny.

- Poznajcie się - powiedział Kozak. - To mój serdeczny kolega z ławy szkolnej, a to koledzy z pracy.
Przywitał się z kobietami, a potem z kolegami Kozaka. Podsunęło mu krzesło, a kiedy usiadł, podano kieliszek koniaku. Kozak wznosił toast.

- Za tych, co na morzu. Wypili.

- Borys jest technikiem w Ursusie - oznajmił Kozak obecnym, zupełnie jakby kogoś to interesowało.
Zacząła grać orkiestra, facet obwieszony złotem i jego pani poszli na parkiet. Maryla została sama przy stoliku. Jakiś facet podszedł do niej i poprosił do tańca. Odmówiła, wówczas natręt pochylił się nad stolikiem i wycedził przez zaciśnięte zęby:

- No chodźesz, ty...

Wówczas pełna gniewu wstała i podeszła do Borysa.

- Jak długo mam siedzieć sama? - spytała ostro. - Z kim tutaj przyszedłeś?
Marylu, pozwól, że ci przedstawię...

Nie dokończył. Maryla chwyciła go nagle za rękę i odciągnęła od stołu. Kozak na ten widok gwizdnął przeciągle i ze zdziwienia uniośł brwi wysoko. Kobiety zarechotały. Ludzie przy sąsiednich stolikach jęli się przyglądać wyraźnie ubawieni, jak Maryla popychała przed sobą Borysa.

- Przestań - szepnął z wściekłością Borys. - Nie jesteśmy tutaj sami.

- Sami? Jeśli natychmiast nic usiądziesz ze mną przy stoliku, to ja stąd wychodzę.
Ktoś od stolika krzyknął:

- Lej go!

- Uspokój się! - powiedział, ledwie panując nad sobą.

- Ja ci się zaraz uspokoje! Dorwałes jakieś dziwki i jesteś szczęśliwy. Wychodzę stąd.
Maryla nagle odwróciła się na pięcie, przemknęła pomiędzy tańczącymi i ruszyła prosto do wyjścia.
Borys w pierwszej chwili ruszył za nią, jakby chciał ją zatrzymać, potem jednak machnął ręką i wrócił do Kozaka. Sięgnął po butelkę z koniakiem i nalał sobie pełny kieliszek. Wypił jednym haustem.

- Powinieneś jak najszybciej się z nią ożenić - powiedział Kozak zgryźliwie.
Borys nie odpowiedział, zdenerwowany zapalił papierosa, a potem zwrócił się do Kozaka:

- Pożycz mi te pięć tysięcy.

Kozak sięgnął do kieszeni o pieniądze, odliczył pięć tysięcznotowych banknotów i położył przed Borysem na stole. Ten schował pieniądze i sposepniał. Utkwił spojrzenie w podłogę, potem przywołał kelnera i zamówił najpierw jedną, a po chwili drugą butelkę koniaku.

Kozak spoważniał, z uwagą ją przyglądać się Borysowi.

- Wiesz co - powiedział Kozak takim tonem, jakby coś sobie nagle przypomniał - teraz jesteś czysty, masz nowy dowód, mam dla ciebie pewną propozycję, zarobisz parę złotych, przyda ci się.
Borys nie unosząc głowy odpowiedział:

- Zrobię, co zechcesz, kiedy?

- To nic pilnego, jak będziesz mi potrzebny, sam cię odszukam.

- No, niech pan nie będzie taki smutny, proszę o to, niech się pan uśmiechnie - powiedziała przymilnie dziewczyna siedząca po prawej ręce Borysa.

Uśmiechnął się, odpowiedziała mu tym samym. Siedzieli jeszcze przy zastawionym stole, kiedy orkiestra dawno już przestała grać i zwinęła swoje instrumenty. Tej nocy Borys niespodziewanie wylądował u jednej z trzech dziewczyn.

Następnego dnia nie poszedł do pracy. Obudził się z potwornym bólem głowy i moralnym kacem. Jak człowiek ciężko powalony chorobą, z trudem podniósł się z tapczanu, i przesukał kieszenie ubrania rzuconego byle jak na krzesło. Znalazł dwie paczki papierosów dunhilów i resztę pieniędzy. Z pięciu tysięcy pozostało mu zaledwie dwa. Nie zmartwił się tym zbyt, schował pieniądze, zapalił papierosa, a potem znowu położył się obok śpiącej dziewczyny. Ćmił papierosa, rozmyślał o wczorajszym wieczorze. Za chwilę zgasił dopiero co zapalonego papierosa i przytulił się do śpiącej.

O świcie razem z pierwszą zmianą wysiadł z pociągu i w rozspanym tłumie ruszył do podziemnego przejścia. Przy wejściu na zakład ktoś delikatnie ujął go pod rękę i odciągnął na bok. Borys od pierwszej chwili rozpoznał tę twarz. Był to ten sam mężczyzna, który tak mu się przyglądał dwa dni temu na dansingu.

Nieznajomy uśmiechnął się uprzejmie. Stali przez moment w milczeniu.

-- Pan pozwoli, że się przedstawię - powiedział wreszcie nieznajomy. - Skowroński jestem.

- Bardzo mi przyjemnie, ale o co panu chodzi? Skowroński uśmiechnął się tajemniczo.

- Pan przedwczoraj był na dansingu, czy tak? Chyba się nie mylę?

Borys nie odpowiedział. Czekał, co tamten jeszcze powie.

- Tak czy nie? - dopytywał się Skowroński, jeszcze bardziej uśmiechnięty.

- Byłem, i o co chodzi?
- Był pan w towarzystwie.
- Byłem z narzeczoną.
- Nie, później przysiadł się pan do większego towarzystwa, jak już pana narzeczoną wyszła.
Nie pamiętam dokładnie, byłem po paru kieliszkach.
- Ja się, proszę pana, nie myślę, obserwowałem dokładnie wasz stolik, a nawet później, kiedy pan wyszedł z dziewczyną. Oczywiście nie mógł mnie pan widzieć, bo czekałem na was aż wyjdziecie na ulicę.
- Nie rozumiem.
- Wszystko panu wyjaśnię. - Ja spieszę się do pracy.
- Ja również, pracuję tu od lat, jestem kierownikiem technicznym na pewnym wydziale. Spóźnić zawsze się można, zna pan to powiedzenie „roboty nie zająć”.
- Panu chodzi o dziewczynę? Więc wyjaśnię, rzeczywiście byłem z moją narzeczoną, posprzeczaliśmy się trochę, ona wyszła, a ja przeniosłem się do drugiego stolika, przy którym siedziała dawna moja znajoma i z nią wyszedłem. To wszystko, co mogę panu powiedzieć.
- Nie - powiedział Skowroński nagle poważniejąc. - Nie chodzi mi o dziewczynę ani o pana narzeczoną, chodzi mi o tych panów, z którymi one siedziały. Nie znam ich.
- Zna pan i ja ich też znam. Znam ich od dość dawna.
- Więc czego pan chce?
- Ja ich znam z widzenia i nie mam do nich dościa, a pan ich doskonale zna. Widziałem na własne oczy, jak jeden z tych ludzi wręczył panu pieniądze.
- Był mi winien. Oddał dług.
- To już mnie nie obchodzi, powiem panu wprost, dlaczego pana zacząłem: oni mają dolary, a ja ich nie mam, mam natomiast pieniądze i chcę sobie kupić wóz zagraniczny w Pekao, a tam sprzedają tylko za dolary. Dobrze zapłacę, to wszystko, co miałem panu do powiedzenia. No, idziemy do roboty, po pracy zaczekam na pana przy wyjściu. Mam nadzieję, że mi pan pomoże. Nie zapomnę o panu. Bóg da, przysługa za przysługą, przejdzie pan na mój wydział, wtedy pomyśli się o szybkim awansie na brygadzystę albo może nawet na majstra.
- A w przeciwnym razie?
- Przyznam, że byłoby mi przykro. Widzi pan, ja tu znam kilka osób, rozumiemy się chyba doskonale, no, a pan pracuje tu niecały miesiąc, i jeszcze jedno, o naszej rozmowie proszą nikomu nie mówić.
Związani tajemnicą weszli na zakład.
Borys kilka razy dzwonił do Maryli, ale nie odbierała telefonu. Chciał się z nią koniecznie zobaczyć i dlatego po skończonej robocie wsiał w tramwaj i pojechał pod jej biuro. Pałac papierosy ukryte w dłoni, nerwowo przechadzał się po przeciwnej stronie ulicy i co chwila spoglądał na wyjście z budynku. Minęła już godzina czwarta, a nikt nie wychodził, dopiero w kwadrans później z budynku wysypali się ludzie, a wśród nich roześmiana Maryla w towarzystwie koleżanek. Ruszył za nimi, szedł w pewnej odległości, nie tracąc ich z oczu. Po chwili Maryla odłączyła się i przeszła na jego stronę. Zrównał się z nią, szli prawie ramię w ramię.
- Dzień dobry - powiedział.
Spojrzała na niego i odwróciła głowę. Nie przyspieszyła jednak kroku.
- Widzę, że wściekłość ci jeszcze nie minęła - odezwał się pojednawczo i uśmiechnął się.
- Odejdź ode mnie, nie chcę cię znać po tym, co zaszło.
- Ii, gdyby ludzie chcieli gniewać się na siebie o takie drobiazgi, to życie na ziemi zamieniłoby się w piekło. Wybiegłem wtedy za tobą, ale ciebie już nie było, do domu też nie pojechałaś, bo dzwoniłem.
- Bo wcale nie poszłam do domu.
- A co robiłaś sama o tej porze?
- To moja sprawa.
- Tak, tego wieczoru było przyjemnie.
- Tobie było przyjemnie, widziałam, jak się świetnie bawiłeś.
- No nic, raz nam nie wyszło, wyjdzie innym razem. Nie była pewna, czy przyjechał tu, by ją denerwować, czy są to próby pojednania, dlatego spytała:
- Co robiłeś w tej okolicy? - i dopiero teraz spojrzała na niego z zaciekawieniem.
- Przyszedłem, żeby ciebie zobaczyć, stęskniłem się za tobą.
Zaśmiała się, ubawiona tą odpowiedzią.
- Zapraszam cię na kawę.
- Skąd masz pieniądze? - zaciekawiła się.
- Załatwiłem sobie chwilówkę. To dokąd pójdziemy?
- Znowu spotkasz kolegów.
- Czego od nich chcesz, fajni ludzie, nie znasz ich, ale jak poznasz, zmienisz zdanie.
Pozwoliła się poprowadzić. Weszli do niewielkiej kawiarenki w śródmieściu. Zająli stolik z widokiem na ulicę. Tym razem ona spotkała jakąś parę, ukloniła im się, odpowiedzieli jej tym samym. Zanim podeszła kelnerka,

zapytała:

- Nic pytasz, co to za jedni? Wypili kawę i wyszli.

- Co robimy? - spytał.

- Nic wiem jak ty, ja idę do domu.

- Odprowadzę cię. Odprowadził i został.

Borys podniósł się z pościeli i pogwizdując wesoło poszedł do łazienki. Potem ubrał się i stanął przed lustrem, uczesał się i zaczął wiązać krawat. Maryla leżąc przyglądała mu się z uwagą, a potem spytała niby obojętnie:

- Dokąd to się kawaler wybiera?

- Muszę wyjść.

- Na łafry?

Przerwał wiązanie krawata i pytająco spojrział na tapczan, gdzie odkryta do połowy leżała Maryla.

- Co, znowu zaczynasz?

- Jak chcesz, to idź sobie i więcej nie wracaj, tyle ci tylko powiem.

- Umówiłem się.

- A ja ci powiem, że nie mogę z tobą w grzechu żyć.

- Kiedy ci to przyszło do głowy?

- W nocy.

- Noc jest do spania, a w ogóle to znasz chyba to powiedzenie, że jak ktoś chce napić się piwa, to nic musi od razu kupować całego browaru.

- Bydlę, skończone bydlę.

- Nic, bo uważam, że i tak jesteśmy małżeństwem, musimy się tylko zameldować gdzie należy, to wszystko.

Mnie już wszystko jedno, mogę się z tobą choćby jutro ożenić. Raz kozie śmierć.

- Nigdzie nic pójdziesz, jak pójdziesz, to ja wstaję i też wychodzę.

- Dobrze, nigdzie nic pójde - odparł z wściekłością.

Rozebrał się i położył znowu na tapczanie. Zadowolona z odniesionego sukcesu, poczęła łąsić się do niego.

Brutalnie odtrącił jej rękę. Była nieustępliwa, wyraźnie pragnęła mu dokuczyć. Nic odnosząc najmniejszego

sukcesu w swych zalotach, podniosła się obrażona. Umyła się, ubrała i wyszła. Wróciła z miasta z zakupami. W

mig zrobiła odświętny obiad i podała do stołu. Znalazła się też butelka wina. Rozkazała mu wstać, a kiedy

opierał się, zerwała z niego kołdrę. Ubrał się więc i obrażony usiadł do stołu. Jadł byle jak, tępo wpatrzony w talerz.

- Mówisz poważnie?

- Co ci nagle strzeliło do łba?

- O tej żeniaczce?

- U mnie słowo to jest słowo.

- To ja muszę się zastanowić, no i rodziny poradzić

- Radź się kogo chcesz, ja się nikogo nic będę radził. Powiedziałem i koniec.

Małe mieszkanie Maryli z trudem mieściło gości weselnych, byli wśród nich: rodzice panny młodej, rodzeństwo, dwa podlotki, berbec, starzy Rogalscy i Henio z Jolą, kilka koleżanek z pracy Maryli, Kubik z żoną, Skowroński, Kozak i jeszcze paru kolegów.

Od sąsiadów wypożyczono na tę okazję rozsuwany stół i kilka krzeseł. Mężczyźni od razu zasiedli do biesiady, natomiast podniecone uroczystością kobiety wierciły się po mieszkaniu niczym muchy w ukropie. Nic wiedziały, co się z nimi dzieje. Mężczyźni musieli przywołać do porządku, wtedy zajęły miejsca.

- No, panie młody, poczuj się pan gospodarzem. Borys nalał do kieliszków. Matka Maryli i jej koleżanki nieśmiało sięgnęły po nic, a kiedy wzniesiono toast za nowożeńców, ledwie umoczyły usta. Potem ktoś krzyknął: „gorzko, gorzko” i powtórnie wypito. Borys ucałował uszczęśliwioną Marylę ku radości zebranych.

-- A pan czemu nie pije - zwróciła się jedna z koleżanek Maryli do Skowrońskiego.

Uśmiechnął się nie tyle uprzejmie, co z wyższością.

- Prowadzę, proszę pani, nic mogę, jestem samochodem, rozumie pani.

- To dzisiaj trzeba było zostawić samochód w domu i przyjechać taksówką.

- Z wielką przyjemnością wypiłbym, ale mam jeszcze sprawę do załatwienia na mieście.

Kobieta popatrzyła na Skowrońskiego ze zgorzaniem i zapewne powiedziała mu jeszcze coś nieprzyjemnego, gdyby ich uwagi nie odwrócił młody Rogalski.

- To moja zasługa ten ślub - zawołał naraz Henio. - Borys to mój kolega.

Borys spojrział zimno na niego i gdyby mógł, to chętnie wytrzaszałby go po pysku.

- Twój kolega, ale Maryla to moja koleżanka. Też mam w tym udział.

Zabawa powoli się rozkręciła, do głów uderzył alkohol, poczęto opowiadać dowcipy, z których najbardziej chichotały podlotki.

Późnym wieczorem najpierw opuścił przyjęcie Kubik z małżonką, tuż za nimi Skowroński, który aż skręcał się, żeby nareszcie wsiąść do swego samochodu a potem wyszli Rogalscy, koleżanki Maryli i Kozak z kolegami.

Nikt nie miał już siły sprzątać mieszkania po biesiadnikach, zmieniono tylko kwiatom wodę i cała rodzina legła w poprzek na tapczanie.

Borys siedział w rozchełstanej koszuli z rozwichrzonym włosiem na brzegu tapczanu i w jakimś dziwnym zrezygnowaniu zapamiętał drapał się po piersi. Wsadził nogi w ranne pantofle i przeciągnął się. Maryla, zupełnie inna niż ta, którą nie tak dawno poznał, szwendała się po mieszkaniu.

- Nigdzie nie pójde - naraz stanowczo powiedział Borys.

- Pójdziesz, bo ja tak chcę. Chcę mieć dziecko. Inne kobiety mają, a ja co mam?

- Daj mi święty spokój.

- Nie dam.

- To postaraj się sama. Ja lubię dzieci u sąsiadów.

- U sąsiadów? Będziesz miał swoje!

- Dobrze, będę miał! Co za życie, codziennie od samego rana tylko awantury i kłótnie.

- Sam tego chcesz. Już zamówiłam wizytę u lekarza.

- U kogo?

- Jedna u nas w pracy podała mi adres specjalisty od tych spraw.

- Ja zwariuję!

Borys zaczął się ubierać. Wciągnął spodnie i pantofle, potem podszedł do lustra i przyjrzał się nie ogolonej twarzy.

- Jak ja wyglądam, nie poznaję się.

Przejechał ręką po zaroście, poszedł do łazienki, a kiedy wyszedł ogolony, rozkazał:

- Podaj mi czystą koszulę.

-- Zakładaj to. co masz, nie ma czystej.

Założył z przybrudzonym kołnierzykiem. Usiadł do stołu. Podała mu śniadanie, a kiedy ubrany wychodził z mieszkania, wetknęła mu w kieszeń pajdkę do roboty.

W milczeniu jechali taksówką przez miasto. Maryla widziała zdenerwowanie Borysa i pocieszała go, jak mogła.

- Nie denerwuj się. Ja byłam i nic mi się nic stało, zbadał mnie, jestem w porządku, ciebie musi też zbadać. U mojego lekarza w poczekalni kobiety opowiadały o jednej, że przez trzynaście lat czekała na dziecko i nagle...

- Ja też mogę poczekać.

- Ale ja nie.

Zatrzymali się przed okazałą, nowo wybudowaną willą. Borys zapłacił kierowcy i wysiedli. Na drzwiach przybita była tabliczka: Dr med. Specjalista endokrynolog.

- Wejdz - powiedziała do skazanego na gilotynę. - Ja tu na ulicy zaczekam na ciebie.

Nawet na nią nie spojrzął. Nacisnął klamkę i wszedł do elegancko urządzonego hallu; odprowadziła go wzrokiem. Wiedziony instynktem zapukał do jesionem obitych drzwi, usłyszał zaproszenie, wszedł do obszernego gabinetu, w którym za wielkim biurkiem siedział niziutki mężczyzna w rogowych okularach.

- Co panu jest?

- Chciałem się zbadać.

- Chorował pan?

- Nie.

- A rodzice?

- Nie wiem.

- W ogóle ktoś z dalszej rodziny? No, powiedzmy dziadek albo babka.

- Nie znałem ich.

- No tak - filozoficznie powiedział specjalista w zadumie i wstał zza biurka.

Był dużo niższy od Borysa.

- Pan pozwól tutaj - powiedział i wskazał mu drzwi. - Niech pan tam wejdzie, ja tu zaczekam.

Borys zamknął się w pokoju, gdzie na ścianach wisały powycinane z pism młodzieżowych młode dziewczyny w strojach bikini.

Kiedy wyszedł, lekarz podniósł się zza biurka i powiedział:

- Po wynik proszę zgłosić się jutro.

Borys rzucił na biurko pieniądze za wizytę i skierował się do drzwi.

- Do widzenia - usłyszał za sobą.

Do widzenia - rzucił nie odwracając się.

Wściekły wrócił do domu, odszukał jakąś nalewkę i wypił całą szklanekę, a potem bez słowa wyszedł z mieszkania. Tym razem nie zatrzymywała go. Pozwoliła mu wyjść.

W kilka dni później, kiedy wrócił z pracy, uradowana Maryla podała mu kopertę. Przeciął ją nożem i wydobyl z niej pismo na kredowym, firmowym papierze. Przeczytał je raz i drugi, Maryla usiłowała rzucić na nie okiem, ale była o wiele za niska. Uśmiechnął się do własnych myśli i oddał jej wynik badania. Przeczytała: Karta Badania, a niżej - rozpoznanie: Oligoasthenotcratospennia. Wnioski: obniżenie płodności.

W osłupieniu opuściła rękę z wynikiem badania. Zaśmiał się:

- No i co teraz?

- Ale to... Jestem pewna, badałam się u lekarza. Powiedział, że będę miała dziecko.

- Trzymasz wynik badania, przeczytaj go sobie raz jeszcze.

Twarz jej spięła się w jakimś dziwnym grymasie, patrzyła na niego z nieukrywaną nienawiścią.

Zaśmiał się raz jeszcze.

Z wynikiem trzymanym w rękę padła na tapczan i zanosła się spazmatycznym płaczem. Nie słyszała, jak wychodził, a kiedy doszła jako tako do siebie i spojrzała na wynik, w pasji podarła go na drobne kawałeczki i rozsypała po całym pokoju, potem pobiegła do telefonu i nakręciła numer. W słuchawce odezwał się niski głos.

- Robert, koniecznie muszę się z tobą zobaczyć. Co to znaczy niemożliwe? Muszę. Za piętnaście minut czekam na ciebie tam, gdzie zawsze.

Był wieczór, ulice złane deszczem odbijały w sobie kolorowe neony, latarnie i oświetlone wystawy sklepowe.

Borys szedł bez celu. Po raz pierwszy nie mógł uwolnić się od samotności. Dotąd nie znał tego uczucia. Wstąpił do mijanej kawiarni, ale była pusta. Na krześle, przy kontuarze, z głową wspartą na ręku drzemała niemłoda kelnerka w czerwonej sukni i przekrzywionej przepasce na głowie. Nic obudziła się nawet kiedy wszedł. Opuścił kawiarnię i znowu znalazł się na ulicy. Podszedł do niego

jakiś nie ogolony facet w obwisłej salopie i berecie na głowie, ociekający deszczem.

- Chcę dostać się do domu, potrzeba mi dziesięć złotych.

Borys bez słowa sięgnął do kieszeni i dał mu pieniądze.

Nieznajomy przyjął datek pokurczoną i jakby zmarzniętą dłonią i wetknął pieniądze do kieszeni palta. Chciał odejść, ale Borys zatrzymał go.

- Gdzie mieszkasz? - spytał.

Nieznajomy zamaszycie zatoczył półkole ręką, co oznaczało, że nigdzie.

- Na zaprawkę potrzebowałeś? Nieznajomy kiwnął przytakująco głową.

- A jak się nazywałeś?

- Kiedyś się nazywałem, teraz wołają na mnie Kubuś.

- Dokąd idziesz?

- No, zaprawić się, jak pan powiedział.

- W takim stanie nie wpuszczą cię do żadnej restauracji.

- Ja nie chodzę po restauracjach. To nie dla mnie. Znam lepsze miejsca.

- Ja też bym się napił.

- To idziemy na Zieleniak.

Borys wręczył mu pieniądze na wódkę. Kubuś zniknął momentalnie, ale za chwilę pojawił się znowu.

- Tak szybko? - zdziwił się Borys.

- Tutaj wszystkie przekupki handlują wódką. Sprzedają przyjezdnym chłopom, można też tu dostać coś na gorąco.

- Gdzie to wypijemy?

- Albo tu na miejscu, albo przejdziemy się do parku, żeby było romantyczniej. W parku lepiej, usiądziemy sobie na ławeczce jak ludzie.

- Coś tak się obsunął? - spytał Borys po drodze.

Kubuś jakiś czas nie odpowiadał, dreptał jak dziecko obok Borysa, a kiedy ten znowu powtórzył pytanie, powiedział:

- Kiedyś byłem wziętym w tym mieście zegarmistrzem. Miałem swój zakład, pracowali u mnie ludzie, ale pewnego dnia moja żona oczyściła mnie ze wszystkiego i dała dyla z gachem. Sprzedała nawet mieszkanie, o czym nie wiedziałem. Teraz mieszkam pod mostem, trzecie przęsło z brzegu. Oto cała moja tajemnica.

Weszli do parku, usiedli na ławce ukrytej wśród drzew, wokoło której pełno było potłuczonych butelek. Kubuś wyciągnął z zanadru zapieczętowaną fabrycznie butelkę i podał Borysowi, sam ją rozwijać z ociekającego tłuszczem pergaminu chleb i gorące jeszcze kotlety schabowe. Borys otworzył butelkę i podał Kubusiowi.

- Pij - powiedział. - Twoje zdrowie.

Kubuś wypił mniej niż połowę i sięgnął po chleb i mięso. Jadł z apetytem. Borys wypił tyle samo i też przekąsił. Resztkę wódki odstawili na ławkę i zapalili. Od razu poczuli się lepiej.

- Dziabnij jeszcze, ja dokończę i chodźmy stąd - powiedział Borys.

W tej samej chwili Kubuś poderwał się z ławki i pobiegł w pobliskie krzaki. Borys słyszał, jak Kubuś wyrzucał z siebie śmierć. Wrócił ze łzami w oczach, z trudem chwytając powietrze.

- Ale mnie rzuciło - powiedział. - Co oni za ścierwo sprzedają, słyszałem, że oni tą wódką robią z proszku.

- Przepity jesteś i tyle. Pijesz na pusty żołądek.

Borys wypił resztę z butelki i odrzucił ją daleko w krzaki. Wyszli z parku na ulicę, minęli targowisko. Było tu teraz jeszcze więcej wozów niż przedtem.

- Ale mi niedobrze - co chwila skarżył się Kubuś. -Aż mnie skręca w środku.

- Przejdzie ci. Dokąd teraz idziesz?

- Pod przeszło.

Borys przy pożegnaniu wręczył Kubusiowi jeszcze dwadzieścia złotych i rozstali się jak serdeczni przyjaciele. Maryla ze łzami w oczach siedziała przy kawiarnianym stoliku. Robert gładził jej rękę i uspokajająco tłumaczył łagodnie:

- Jesteś rozsądną dziewczyną, wiesz, w jakiej jestem sytuacji, nie powinniśmy wzajemnie komplikować sobie życia. Ja mam żonę i dwoje dzieci, ty masz męża. Powinnaś się teraz koniecznie uspokoić i postarać jakoś go przekonać, wpłynąć na niego.

- Nienawidzę was wszystkich, wszyscy jesteście jednakowi.

- Tak nie można mówić, przecież wiesz, że cię bardzo lubię. Ja na twoim miejscu dokonałbym zabiegu.

Gwałtownie wyrwała rękę z jego dłoni. Przyjrzała mu się uważnie i wstała od stolika. Spojrzał na nią ze zdumieniem, i wtedy, niespodziewanie, ujęła filiżankę z kawą. Wyglądało, że zamierza na stojąco wypić kawę, nie spodziewał się tego, co miało nastąpić. Chlusnęła mu resztkę kawy z fusami prosto w twarz i wolnym krokiem ruszyła do drzwi.

Maryla, Heniek Rogalski i Jola szli długim korytarzem w towarzystwie lekarza. Po drodze mijali pootwierane sale i schorowanych ludzi w podniszczonych piżamach, którzy przyglądali się idącym z zaciekawieniem.

- Mąż pani jest w ciężkim stanie i proszę, żeby pani nie zadawała mu zbyt wielu pytań - powiedział lekarz. W drzwiach zderzyli się z milicjantem ubranym w kitel.

- Nie wie od kogo kupił metyl - powiedział milicjant do lekarza.

- Daj mu pan teraz spokój - powiedział ostro lekarz.

Weszli do pokoju, w którym stały trzy łóżka. Borys leżał nieruchomo z opaską na oczach. Lekarz wskazał na niego. Maryla niepewnie usiadła na łóżku. Brak jej było słów, nie wiedziała, od czego ma zacząć i co mówić. Zdobyła się wreszcie na odwagę i dotknęła jego ręki. Po twarzy Borysa przemknęło coś, jakby słaby uśmiech.

- Borys - powiedziała - wszystko będzie dobrze. Lekarz powiedział mi, że szybko wyzdrowiejesz i wrócisz do domu.

Usiłował coś powiedzieć, ale ból mu nie pozwolił. Ujął jej rękę i delikatnie uściśnął.

- Przyjdę jutro, przyniosę ci coś dobrego. Wiesz? Heniek przyszedł z Jolą, są tu obok łóżka.

Słabym ruchem ręki pozdrowił ich. Lekarz uznał, że jak na pierwszą wizytę wystarczy. Maryla pocałowała chorego.

- Przyjdę jutro.

Delikatnie wysunęła swoją dłoń z jego ręki. Na korytarzu zwróciła się do lekarza:

- Czy on jest bardzo chory?

- Jest silny i to go uratowało. Inny na jego miejscu już by nie żył. Teraz robimy wszystko, żeby mu wzrok uratować.

Baca

I

Po chmurnej i deszczowej wiośnie nastąpiły cieplejsze i słoneczne dni, ale ludzie liczyli się jeszcze z możliwością nawrotu zimy. Pewnego dnia na dobre zza ciężkich, ołowianych chmur wyrzuciło anemiczne słońce i od tej pory to słońce z każdym dniem nabierało rumieńców. Coraz bardziej zaczęło przypiekać ziemię i ludzi. Nikt już nie przebiegał pustej ulicy skulony. Ludzie zrzucali z siebie ciężkie ubrania. Odważniejsze dziewczyny pokazywały się w letnich sukienkach, faceci w marynarkach narzuconych na ramiona. Zazieleniły się parki, a na skwerach młodzież szkolna zaczęła sadzić kwiaty. Nawet ptactwo przywędrowało z ciepłych krajów. Z dnia na dzień robiło się coraz cieplej, z nieba sączył się żar, a pod stopami ugiął się asfalt. Dni stawały się dłuższe. Po tygodniu pracy, w każdą niedzielę miasto od samego rana pustoszało, kto żyw co sił w nogach pędził z kocem pod pachą i wałówką nad rzekę, żeby zająć sobie lepsze miejsce. Ludzie opuszczali miasto pojedynczo, parami i całymi rodzinami. Szli pieszo nad wodę i do lasu, jechali na rowerach, a zmotoryzowani upychając się w wozach uciekali dalej od krzyków i rozgrzanych murów. Miasto ożywało dopiero wieczorem, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi. Ludzie zmęczeni odpoczynkiem, spieczeni po raz pierwszy promieniami słońca wlekli się do domów noga za nogą.

Po długiej i mroźnej zimie, a potem deszczowej wiośnie nastąpiło prawdziwe lato, wszyscy myśleli tylko o jednym, gdzie spędzić urlop. Ta myśl nie ominęła również małżonków Konowrockich, ludzi bezdzietnych w średnim wieku, zamożnych, którzy zjeździli całą Europę. Każdego roku odpoczywali w innym kraju. Nie byli tylko w Hiszpanii. Tego lata postanowili spędzić urlop w kraju. Upatrzyli sobie już nawet ustronne miejsce nad jeziorami, w pięknej poniemieckiej willi, ale nie wiedzieli jeszcze, co zrobić z psem. W poprzednim roku wracając z Węgier przez Czechosłowację kupili w górach szczenię, owczarka podhalańskiego. Konowrocki kupił go na prośbę żony. Szczeniak był rasowy. Miał czarne ślepka, czarny nosek i czarne łapki, był bezradny i pachniał jeszcze mlekiem matki. Konowrocka od pierwszej chwili, kiedy podniosła go z ziemi i niczym żywą maskotkę przytuliła do policzka, wiedziała już, że psiak ten będzie do niej należał. Tak też się stało. Kupili szczeniaka i przywieźli do domu. Od zeszłych wakacji szczenię wyrosło na potężnego psa o nieco niemrawych ruchach, żyjącego własnym życiem i nie interesującego się innymi psami. Kiedy Konowrocka wychodziła z nim na spacer do pobliskiego parku, ludzie nie raz i nie dwa zatrzymywali się, spoglądając z podziwem i zazdrością. Często przyłapywała się na tym, że niespostrzeżenie dla samej siebie, wiedzona jakimś instynktem, szła tam, gdzie zazwyczaj było najwięcej odpoczywających ludzi, wtedy niegroźnie lecz stanowczo przywoływała psa do siebie, a ten nie spiesząc się, spełniał życzenie swej pani i włókł się za nią przy nodze. Odprowadzani wzrokiem przechodniów szli w inne miejsce, gdzie było równie tłoczno.

Niekłamaną przyjemność sprawiało jej to, że ten biały olbrzym od razu rzucał się w oczy, nie sposób było nie dostrzec go wśród zgrai innych psów. Ludzie najpierw widzieli psa, a potem długo i ciekawie przyglądali się jego pani. Sprawiało jej także przyjemność, że zaczepiano ją na ulicy i pytano, gdzie go kupiła, ile ma lat i czym go karmi, tak było do tej pory. Teraz ulubieniec obojga stał się niespodziewanie prawdziwym utrapieniem. Pies, jak co dzień, kiedy wracali z pracy, witał ich radośnie, popiskiwał, łaścił się i wiernie wpatrywał w oczy. Musieli coś zdecydować, jeśli chcieli wyjechać na upragniony urlop, ale nie wiedzieli co zrobić z psem. Z rodziną, która ewentualnie zaopiekowała by się psem, byli skłócenii, obcy bali się powierzyć klucze od mieszkania. Przez psa pozostać w domu i nie mieć urlopu? Nie, to niemożliwe.

Oboje jednocześnie wpadli na ten sam pomysł, ale nikt pierwszy nie chciał wyjawiać swych myśli. Zżyli się z psem, on też przywiązał się do swoich właścicieli. Doszło wreszcie do tego, że przestali się z nim bawić, dawali mu tylko jeść i na tym koniec. Pies jakby wyczuł swoją sytuację. Nic lgnął jak przedtem do właścicieli, jadł co mu dali, szedł do swego legowiska w przedpokoju i walił się na nie ciężko, a potem ze spokojem przyglądał się państwu, jak pakowali rzeczy do wielkich skórzanych waliz.

W dniu wyjazdu Konowrocki zniósł bagaże do samochodu zaparkowanego przed domem. Część pakunków umieścił w bagażniku, część na tylnym siedzeniu, a resztę na dachu wozu. Potem Konowrocka dokładnie sprawdziła w mieszkaniu, czy krany są pozakręcane, czy światło i gaz wyłączone, następnie założyła psu obrozę i wzięła go na smycz. Pies uradowany, że idzie na spacer, zaczął merdać ogonem. Pani zamknęła dokładnie drzwi i windą zwiózła go na dół, gdzie w samochodzie czekał na nią mąż. Konowrocka puściła psa luzem razem ze smyczą. Pies podszedł do pobliskiego drzewka i zadarł nogę, a pani w tym czasie wsiadła do samochodu.

Konowrocki uruchomił silnik. Pies przyzwyczajony do częstych podróży z państwem na spacer, przestał sikać i podbiegł do samochodu, ale drzwi były zamknięte, a na jego siedzeniu leżała sterta pakunków.

Sytuacja, w jakiej się znalazł, była dla niego niezrozumiała. Do tej pory zawsze było tak, że to on pierwszy zajmował miejsce, a dopiero potem jego właściciele. Wsparł się przednimi łapami o karoserię i z żalnym piskiem spojrzął przez szybę do wozu. Skomleniem prosił ich, żeby go wpuścili do środka.

-- Jedź! - rozkazała Konowrocka.

Konowrocki wrzucił bieg, samochód ruszył z miejsca, z każdym metrem nabierał szybkości. Pies jakiś czas biegł obok samochodu, smycz biła go po łapach, zmęczony się i powoli zaczął zostawać w tyle, wreszcie dał za wygraną. Został. Konowrocki po raz ostatni ujrzał go jeszcze w lusterku, jak stał bezradny pośrodku drogi i patrzył za oddalającym się samochodem.

II

Konowroccy przybyli na miejsce przed wieczorem. Willa, w której mieli zamieszkać, ukryta była wśród głębokich lasów. Na tarasie w wiklinowych fotelach siedzieli jacyś ludzie i nasłuchiwali rechotu żab z pobliskiego jeziora. Konowroccy wysiedli z wozu i rozprostowali kości. Od stolika podniósł się opalony mężczyzna w średnim wieku / siwizną na skroniach, ubrany w krótkie, drelichowe spodnie, z tego samego materiału miał też rękawki do pół łokcia, sandały na nogach i furazerkę na głowie.

- Czym mogę państwu służyć? - spytał.

- Chcielibyśmy spędzić tu urlop.

- Jak długo państwo mają zamiar zostać?

- Miesiąc.

- Otrzymacie państwo najpiękniejszy pokój. Proszę za mną.

Gospodarz po wojskowemu obrócił się na pięcie i poprowadził gości do budynku na pierwsze piętro, do pokoju z widokiem na ogromne jezioro i mały trap rzucony w wodę oraz kilka łódek przycumowanych do niego.

Konowroccy rozejrzeli się po pokoju. Rzeczywiście był ładny. Stały tu dwa tapczaniki zasłane czystą pościelą, przy każdym szafka, a na nich nocne lampki, na ścianach wisiały oprawione w ramy reprodukcje obrazów znanych malarzy, przy wejściu była szafa na ubranie, a obok leżaki z podnóżkami.

- No, ładnie tu - powiedział Konowrocki. - Pan jest gospodarzem?

- Przyjechałem tu w czterdziestym piątym roku. Kiedyś wyglądało to wszystko zupełnie inaczej. Dom był zniszczony, a teraz sami państwo widzą. Proszę ze mną, pokażę państwu, gdzie się mieści łazienka.

Gospodarz zaprowadził ich w koniec korytarza.

- Proszę się rozgościć, przyślę zaraz dziewczynę, żeby pomogła państwu przenieść rzeczy do pokoju.

Zeszli na dół, po drodze gospodarz pokazał im jadalnię i poinformował, o której godzinie podawane są posiłki.

Konowrocki zdjął z dachu wielkie walizy i zaniósł na górę. Zjawiła się też dziewczyna do pomocy przysłana przez gospodarza. W trójkę szybko przenieśli wszystkie rzeczy do pokoju. Potem obmyli się po podróży i zeszli na taras, gdzie przy brydżu siedziało kilka osób.

Po kwadransie na taras wyszła pomoc kuchenna przepasana białym fartuchem i dzwonkiem oznajmiła obecnym porę kolacji. Brydżyści dokończyli grę i przeszli do jadalni. Zjawił się gospodarz, który posadził Konowrockich przy stole. Od tej pory aż do końca urlopu było to ich miejsce. Jedli w milczeniu. Od sąsiednich stolików co jakiś czas rzucano w ich stronę ciekawe spojrzenia. Po obfitej kolacji wraz z innymi gośćmi przeszli do sąsiedniej sali na telewizję. Później wieczorem, przed pójściem spać, Konowrocka powiedziała:

- Ciekawa jestem, co teraz robi nasz Baca, gdzie się podziewa?

Mąż nic nie odpowiedział.

- Tu nie moglibyśmy trzymać psa.

- Skończmy z tym tematem. Nie chcę o tym myśleć.

- Może masz rację. Chodźmy spać.

III

W chwili, kiedy samochód odjechał, Baca zmęczony biegiem zatrzymał się, oddychał z trudem. Z rozwartego pyska ściekała mu na ziemię piana. Potem zawrócił i poszedł pod blok, w którym wychował się i żył do tej pory i gdzie prawie wszyscy mieszkańcy znali go i lubili. Przywodził im wspomnienia dalekich ośnieżonych gór, zjazdów na nartach, a latem hal pełnych owiec. Najbardziej lubiły go jednak dzieci. Nie bały się go, głaskały pieszczotliwie po wielkim łbie, a niekiedy i on w przyływie dobrego humoru liznął któreś wielkim czerwonym jęzorem po buzi. Znały go też psy w osiedlu. Chętnie się z nim bawiły, Baca był łagodny, być może dlatego tylko, że były o wiele mniejsze od niego, podobnie zresztą jest u ludzi. Wielkie, silne chłopisko zazwyczaj jest dobrodusze i nie robi krzywdy słabszemu od siebie.

Ledwie Baca pokazał się samopas w osiedlu, natychmiast otoczyła go dzieciarnia. Jedne idące do szkoły oddawały mu swoje śniadanie, inne próbowały nawet częstować go cukierkami. Jakiś chłopiec podniósł wlokącą się po ziemi smycz i oprowadził go między blokami w nadziei, że odda go właścicielce, ale nigdzie jej nie spotkał, więc zostawił psa, a sam poszedł do szkoły.

Z nieba sączył się żar. Spragniony pies próżno szukał wody, zziębnięty, z wywieszonym jęzorem leżał na trawie w cieniu rozłożystej płaczącej wierzby.

Robotnicy z pobliskiej budowy przyszli do pawilonu handlowego po piwo. Kupili po butelce na głowę i wyszli ze sklepu na tyły budynku, żeby je wypić, i wtedy któryś z nich zauważył pośród zieleni drzew białego psa.

- Takiemu to musi być gorąco - powiedział jeden. - Męczy się w mieście.

- To weź go sobie na wieś - powiedział inny.

- Pić mu się chyba chce - odezwał się znowu pierwszy.

I nagle wzrok jego zatrzymał się na studziencie, wystającej z ziemi. Podeszedł do niej, odsunął metalowe wieczko i kluczem francuskim odkręcił lekko zawór - z ziemi popłynęła woda, potem podeszedł do psa i ze zdziwieniem zauważył przy nim smycz. Ujął smycz i podprowadził psa do źródelka. Pies łapczywie chleptał wodę. Po odejściu robotników Baca wrócił w cień drzewa. O zmroku dźwignął się z ziemi i poszedł pod zamknięte drzwi klatki schodowej. Usiadł na stopniu i cierpliwie czekał aż ktoś nadejdzie i wpuści go do wnętrza budynku. Nie musiał długo czekać. Wpuścili go na klatkę jacyś młodzi ludzie. Baca wszedł na górę i usiadł pod drzwiami własnego mieszkania. Długo i daremnie siedział. Wreszcie zwinął się w kłębek na słomiance. Późnym wieczorem przyszli sąsiedzi Konowrockich. Zdziwiło ich, że pies leży o tej porze pod drzwiami. Zadzwonili do Konowrockich. Raz i drugi, ale nikt im nie otworzył. Chwilę stali przed drzwiami, pogładzili opuszczone zwierzę, a potem weszli do własnego mieszkania. Następnego dnia rano wynieśli psu w misce pokruszonego chleba zalanego mlekiem. Potem wypuścili go na dwór. Przez kilka dni powtarzało się to. Karmili psa, wypuszczali go rano na dwór, pies wylegiwał się w cieniu drzewa przed blokiem, bawiły się z nim dzieci, nim poszły do szkoły, a i później gdy wracały do swych domów po lekcjach. Wieczorem pies znowu kładł się na słomiance przed drzwiami własnego mieszkania i cierpliwie czekał następnego dnia i powrotu swoich żywicieli. Któregoś dnia pies przyszedł pod drzwi bez obroży wybijanej ćwiekami i bez smyczy. Łagodny Baca pozwolił zdjąć z siebie akcesoria. Następnego nocy już nie wrócił pod drzwi. Nikt go już nie zobaczył na całym osiedlu. Pies gdzieś przepadł. Początkowo sądzono, że Konowroccy wrócili do poprzedniego zwyczaju i zaczęli zamykać go na dzień w mieszkaniu, ale nikt z lokatorów ich nie spotykał ani rano, ani po pracy.

Baca tymczasem wyruszył przed siebie, w miasto. Żywił się wszystkim, co dało się zjeść. Spał gdzie popadło. Zewsząd przepędzali go ludzie. Pozbawiony opieki powoli zaczynał dziczeć. Sierść jego przestała już być śnieżnobiała. Stała się szara. Po tygodniu Baca bardziej podobny był do zwykłego kundla niż do owczarka czystej rasy. Wiedziony instynktem, początkowo żywił się resztkami wyrzucanymi do kadzi z baru szybkiej obsługi, ale pewnego dnia zamknięto przed nim bramę. Po kilku dniach wędrówek po mieście jakimś cudem trafił znowu w okolice własnego osiedla. Ludzie, którzy go znali, z trudem rozpoznali w nim pięknego Bacę. Dzieciarnia obmyła psa wodą, przywracając mu częściowo jego dawny wygląd. Dostał jeść i znowu poszedł na niewiadomym kierunku. Nie odszedł daleko. Kilka ulic dalej znalazł życzliwych ludzi, którzy codziennie rano wystawiali mu przed próg mieszkania miskę z resztkami jedzenia. Karmili psa-przybłądę, ale nie mogli przygarnąć go pod własny dach. Pies był za wielki jak na ich mieszkanie. Mogli go tylko karmić i nic więcej. Któregoś pochmurnego dnia pies przyszedł do swoich żywicieli z jednym bokiem utyłym w jakichś smarach. Widocznie położył się gdzieś na pakulach wyrzuconych z jakiegoś warsztatu ślusarskiego. Tak, to nie był już ten sam pies co przedtem, do którego garnęły się dzieci i dorośli, żeby go choć dotknąć. Teraz na jego widok ludzie omijali go niczym trędowatego. Swoim wyglądem zamiast zachwytu, wzbudzał jedynie wstręt. Cudem trafił do sklepu, gdzie sprzedawano podroby. Zawsze przed tym sklepem siedziała sfera psów rozmaitej maści i rasy. Wszystkie bezpańskie. Obwąchiwały torby ludzi wychodzących ze sklepu z zakupami. Psy i ludzie stojący po podroby byli jednakowo biedni. Ludzie, przeważnie renciści, już we wczesnych godzinach rannych przychodzili pod sklep, ustawiali się w kolejkę i cierpliwie czekali aż przyjedzie furgon srebrnego koloru i dostarczy podroby. Psy też czekały, bo czasem tak się złożyło, że któryś z konwojentów dla zabawy rzucił wygłodniałym psom jakiś ochłap. Wtedy wszystkie się rzucały i gryzły jeden drugiego, rozlegał się skowyt, poszkodowany uciekał spod sklepu kulejąc, z podwiniętym ogonem, zwyciężał zawsze najszybszy albo najsilniejszy. Walka psów o żer podniecała konwojentów, a ludzie w kolejce przyglądali się temu apatycznie. Woleli stać spokojnie, a niekiedy śmiać się razem z konwojentem, nikt nie próbował zwrócić mu uwagi, bo ten w każdej chwili mógł dać mniej towaru do sklepu i wtedy nie dla wszystkich starczyłoby płuczek, mózdzku, nerek, flaków.

Któregoś dnia pod sklep z podrobami razem z furgonem dostawczym podjechał wóz zaprzęgnięty w konia. Na wozie siedziało kilku mężczyzn ubranych w waciaki i filcowe buty, na rękach mieli długie do łokci rękawice z grubej skóry. W rękach trzymali kije zakończone rzemiennymi pętlami. Zanim się psy spostrzegły, co im grozi, na ucieczkę było za późno. Jednemu czy dwóm cudem udało się uciec, ale tym, które walczyły o rzucony ochłap, nie udało się. Mężczyźni okazali się szybsi od zwierząt. W oka mgnieniu kilka psów zostało schwytych na pętlę. W wąskiej ulicy pośród wysokich domów rozległ się żałosny skowyt duszonych zwierząt. Zaskoczone psy szarpały się, przewracały po jezdni, ale ich obrona była daremna. Wśród tych nieszczęśników znalazł się Baca. Z niemałym trudem trzech ludzi wpychało go do klatki. Pies zapał się łapami o wąż, i może uwolniłby się od napastników, ale jeden z oprawców, widać bardziej doświadczony w tym fachu, dzielił go kijem kilka razy po grzbiecie, a potem siłą wepchnął mu łeb do wążu i jeszcze raz z całej siły grzmotnął po żebrach. Psy słoczone w małej klatce jęły się wzajem kąsać. Mężczyźni wsiedli na wóz, podcięli konia batem i odjechali. Dopiero teraz w kolejce rozległy się protesty. Oburzeni ludzie zaczęli mówić jeden przez drugiego:

- Do czego to podobne, żeby tak obchodzić się ze stworzeniami.

- Bardzo dobrze zrobiono - powiedział jakiś staruch pożółkły jak cytryna. - Jak ktoś chce mieć psa, to powinien dbać o niego, a nie wypuszczać go na ulicę. Za mojej młodości, droga pani - zwrócił się do wyondulowanej i wyszminekowanej damy, stojącej przed nim w kolejce - pewien pies wściekł się. Nie wiadomo czemu pogryzł swego

pana. Jego pan był moim nauczycielem, to było za cara, szkoła miała wtedy cztery oddziały, ale to była szkoła, nie to, co dziś. No więc pogryzł ten pies mojego nauczyciela, nauczyciel dostał wścieklizny, psa chłopci załukli widłami, ale nauczyciela nie wypadło dźgać widłami. Wściekły nauczyciel pogryzł własną żonę, a ta z kolei czworo swoich dzieci i jedno obce. Działo się to wszystko na wsi, madame może sobie wyobrazić, co wtedy było. Wszystkich, nauczyciela, jego żonę, ich dzieci i to obce, drągami zapędzili do starej stodoły stojącej z dala od wsi, w szczyrim polu. Zamknięto wierzeje i zanim posłano do miasta po lekarza, wszystkie psy pozabijano we wsi. Przyjechał lekarz i całe szczęście, że ten nauczyciel miał niechlą pensję i mógł zapłacić doktorowi za leczenie siebie, rodziny i tego dzieciaka, którego pogryzła jego żona. Szczęściem wszystko dobrze się skończyło, ale dajmy na to, że ten pies mnie by pogryzł i co wtedy? Umarłbym w nieopisanych męczarniach. Chodziłem do tej samej szkoły. - Kobieta z przerażeniem słuchała słów starucha, a kiedy skończył, całą jego wypowiedź skomentowała jednym zdaniem:

- Coś podobnego.

- Dlatego uważam, że dobrze się stało, jak się stało.

IV

Schronisko dla bezdomnych zwierząt mieściło się z dala od ulicy i osiedli ludzkich. Dotrzeć tam wcale nie było łatwo. Pół kilometra trzeba było brnąć w błocie po kostki,

przejąć po kilku deskach rzuconych byle jak przez bajora, potem skakać z cegły na cegłę.

Pochylona babina szła uparcie w stronę schroniska. Ubrana była w staromodną szubę do pół łydki, na głowie miała kwiecistą chustkę zawiązaną pod szyję, a na nogach sznurowane trzewiki. Z daleka usłyszała już głośnie ujadanie psów. Całe schronisko ogrodzone było wysoką siatką zabetonowaną u dołu, żeby jakiś pies nie wydostał się podkopem. Przy bramie stał pracownik schroniska, które swym wyglądem i położeniem bardziej przypominało więzienie dla zwierząt niż schronisko. Dozorca bez słowa wpuścił kobietę do środka i za bramą zapytał:

- Pani w jakiej sprawie?

Kobieta nieufnie spojrzała na mężczyznę. Powtórzył pytanie.

- Przyszłam kupić psa - wyjaśniła.

- To niech pani idzie do baraku, tam jest lekarz, on pani wszystko pokaże.

Poszła we wskazanym kierunku. Szła między klatkami pełnymi psów, prawie wszystkie czekały, rzucały się na siatki, gryzły się. Większe siedziały w boksach pojedynczo. Reprezentowano tu wszystkie rasy. Najwięcej było kundli, ale były też rasowe. Psy syberyjskie, pekińczyki, charty afgańskie, owczarki nizinne, niemieckie, czarne i podpalane, zwykle kundle i... owczarek podhalański. Wśród tej rozszczekanej zgrai on jeden zachowywał się godnie, nie miotał się po boksie, nie ujadał. Obojętny na wszystko wylegiwał się na wiązce słomy.

Pomiędzy klatkami kręcili się miłośnicy zwierząt. Ludzie dorośli i wyrostki. Jedni przyszli tu, by tylko popatrzeć, inni chcieli wypatrzeć sobie jakiegoś czworonoga i ewentualnie go kupić. Kobieta zanim weszła do baraku, obeszła wszystkie klatki raz i drugi, dopiero potem zaczęła jednego z pracowników schroniska.

- Panie - powiedziała - po ile wy te psy sprzedajecie?

- To zależy jaki pies. Wszystko zależy od rasy.

- No, ten biały na przykład.

- To drogi pies. -Ile?

- To kierownik sprzedaje. Ten pies będzie drogo kosztował. Odpasiony jest, sierść na nim aż błyszczy. Nazywamy go Góral. Niech pani pójdzie do kierownika, on pani powie szczegółowo.

Kobieta poszła do kierownika. Wytłumaczyła mu, o którego psa jej chodzi. Kierownik z uwagą przyjrzał się kobiecie, pomyślał nad czymś, jeszcze raz spojrzał na babinę, na jej odzienie i dopiero wtedy się odezwał.

- Ten pies kosztuje sześćset złotych. Jest u nas już od dwóch tygodni. My tu psa karmimy, szczepimy, wydajemy zaświadczenia własności.

- Sześćset złotych to cała moja renta miesięczna. Nic taniej?

- Niech pani sobie kupi tańszego psa.

- To nie dla mnie. To dla mojego wychowanka. Kiedyś wzięłam z Domu dziecka sierotę, zachorował chłopak, całymi dniami siedzi w domu, smutno mu jest i właśnie dla niego chcę kupić tego psa. Ja nie zawsze mogę siedzieć z chłopakiem w domu, często chodzę do ludzi na posługi, a tak to będzie miał psa i już nie będzie sam.

- Nie mogę pani taniej sprzedać.

Kobieta bez słowa wyciągnęła pieniądze, odliczyła żadaną sumę i położyła na biurku przed kierownikiem. Kierownik schował pieniądze do kieszeni, a potem wypisał kwit sprzedaży i wręczył go kobiecie. Dał jej jeszcze na dodatek jakąś starą obrozę i smycz oraz zaświadczenie o szczepieniu psa przeciw wściekliznie. Wyszli na zewnątrz i skierowali się w stronę boksu Bacy. Po drodze kobieta zwróciła się do kierownika:

- A co wy robicie z tymi psami, jak nikt nie kupi?

- Czasami zgłaszają się właściciele, a jak nie, to po trzech tygodniach oddajemy rakarzowi.

Kobieta sama weszła do boks, zapięła mu obrozę i wyprowadziła na zewnątrz. Pies szedł za nią posłusznie. Kobieta wyprowadziła go ze schroniska. Jakby nowe życie wstąpiło w zwierzaka. Stał się wesoły. Zaczął merdać

ogonem, kobieta też była uradowana zakupem. Doszli do przystanku i wsiedli w tramwaj.

V

Mimo pełni lata pogoda zmieniła się na jesienną. Dni stały się ponure, niemal codziennie padał deszcz, o wygrzewaniu się na słońcu nie było nawet mowy, co najwyżej krótki spacer i trzeba było wracać do domu. Jednym słowem Konowrockim tego roku urlop się nie udał. Po powrocie do domu zorientowali się, że ich mieszkanie jest jakieś inne, wyraźnie brakowało psa.

Spotykani sąsiedzi pytali Konowrockich, co się z nimi działo, a oni nie wiedzieli, co odpowiedzieć. Sąsiedzi mówili, że pies przez kilka nocy spał pod drzwiami na słomiance, a potem przepadł jak kamień w wodę. Byli zdania, że nie wykluczone, iż ktoś go ukradł. Radzili zgłosić na milicji albo pójść do schroniska dla bezdomnych zwierząt. Konowroczy skorzystali z tej rady. Zgłosili się najpierw do milicji, ale tam powiedziano im, że milicja ma pełne ręce roboty z ludźmi i nie ma czasu zajmować się psami. Wówczas pojechali do schroniska. Tam dowiedzieli się, że przed miesiącem był w schronisku owczarek jakiego szukają, ale kupiła go pewna kobieta. Kierownik podał im adres kobiety. Pojechali samochodem pod wskazany adres. Otworzyła im kobieta i spytała, czego sobie życzą. Ledwie Konowrocki odezwał się, pies poznał go po głosie i z piskiem radości rzucił się w stronę byłego pana.

- Przyszliśmy po swojego psa.

- To jest mój pies, kupiłam go - powiedziała kobieta. _ Nie oddam go za żadne skarby świata.

- To się okaże. Przyjdziemy tu z milicją i siłą psa zabierzemy.

- Nie kupiłam go dla siebie - wyjaśniła kobieta. Otworzyła drzwi do drugiego pokoju i zawołała: - Jacuś, przyjdź na chwileczkę do cioci.

Z drugiego pokoju wyszedł kaleki chłopiec, poruszał się z trudem.

- Dla tego chłopca kupiłam psa. To jest sierota, dla niego kupiłam tego psa. Jeśli państwo macie odrobinę serca, to go nie zabierzecie.

Konowrocka gotowa była zabrać Bacę, ale mąż wziął ją pod rękę i wyprowadził z mieszkania.

Zima stulecia

W robocie graliśmy w karty. Od rana do samego fajrantu, a po fajrancie wygrany przegranym stawiał gorzałką, butelkę albo i dwie z zakąską, potem szliśmy gęsiego w śniegu po kolana do zimnej pakamery przebierać się w wyjściowe ubrania i dalej, hajda na miasto. Tak było codziennie od miesiąca. Graliśmy, i nikt nie miał prawa nam nic zrobić. Graliśmy pod wiatami, po których hulał wiatr, a my siedzieliśmy przy rozżarzonych kosiakach i robiliśmy swoje. Śnieg zniecała pokrył zaspami całą Europę. Do tego doszedł wiatr i mróz siarczasty, sięgający u nas trzydziestu stopni poniżej zera, a komunikaty radiowe donosiły, że w słonecznej Italii na ulicach zamrzło kilkadziesiąt osób.

Graliśmy, bo nie było nic innego do roboty, nawet kierownik budowy nie miał nic do roboty. Stał przy kosiaku z twarzą czerwoną od żaru, grzał sobie ręce, tupał nogami i w milczeniu, jako że sam nie brał udziału w grze, przyglądał się, komu karta najbardziej idzie. Stał nie jak przełożony, ale jak ktoś przypadkowy. My nie mieliśmy roboty, on nie miał roboty i jeszcze paru majstrów, i nikt do nikogo nie miał pretensji. Ani on do nas o to, że siedzimy i gramy, ani my do niego, że nie siedzi w swoim biurze i nie robi tego, co powinien. Majstrowie siedzieli przy innych kosiakach i opowiadali ludziom o dawnych czasach, gdzie który u kogo terminował, a potem pracował i jak długo. Wspominali tych, co zginęli na wojnie, i tych, co prosto z wojska ożenili się z długimi Angielkami i zostali nad

Tamizą, i tych, co po powrocie z obozów popracowali trochę w Polsce i pomarli, bo nabawili się rozmaitych chorób. Było nas ponad stu i każdy miał zawsze coś ciekawego do powiedzenia. Każdy miał życiorys, którego na wolowej skórze nie dałby rady spisać, a co dopiero na jednej kartce formularza osobowego. Ludzie nawet i tej kartki formularza nie wypełniali do końca, pisali życiorys do połowy, że byli tu i tu. O pracy nie było mowy, bo w Polsce nikt na dobre jeszcze nie zaczął pracować, nie zdążył zamienić firmy na firmę, przedsiębiorstwa na przedsiębiorstwo. Zaczynaliśmy dopiero życiorys, a każdy miał już dobrze po trzydziestce. Była to pierwsza robota po wojnie. Nikt z nas nie szukał lepszej roboty, nikt z nas nie wyjeżdżał za chlebem do innego miasta, bo nie było potrzeby, wszędzie było jednakowo. Roboty było po uszy, tylko ludzi nie było. Ja miałem ogromne szczęście, że mnie Niemcy nauczyli fachu, a takich fachowców na obróbkę kamienia po wojnie zostało niewiele. Może ze trzysta w całym kraju. Tu, że nas znalazła się setka pod wiatą, to cud boski, bo i tego mogłoby nie być.

Do tej budowy, co tu ukrywać, siłą niemal sprowadzano ludzi z całego kraju. Rozdzielano rodziny, żonie zabierano męża, dzieciom ojca, obiecywano dobre zarobki i rzeczywiście tak było, słowa dotrzymano. Przyjezdnych umieszczano w hotelu robotniczym, każdy miał na żelaznym, wojskowym łóżku dwa szare, wytarte koce i zagłówek wypchany słomą. W pokojach stały łóżka piętrowe, a między nimi poniemieckie szafki, w których trzymano pod kluczem ubrania, buty i żywność. Wszystko razem. Nie było soboty, żeby do kogoś nie przyjechała w odwiedziny żona. Przyjeżdżały zazwyczaj zmordowane podróżą, niektóre jechały półtorej doby. Przyjeżdżały, kiedy my byliśmy w robocie. Woźna w hotelu miała obowiązek wydać takiej kobiecie klucz do pokoju męża. Było tam niekiedy dziesięć łóżek, no i kawy do syta. Z niemałym trudem włąziła taka babina na pierwsze piętro mężowskiego

łoża, z trwogą spoglądała w dół, a potem z rozpaczą kładła się na posłaniu w ubraniu i butach i cierpliwie czekała na swego wybawcę. Nim się jednak doczekała, to zmorzył ją sen. Czasem zamiast męża, do pokoju wchodził nagle jakiś nieznajomy z przekleństwem na ustach. Spozrzęglszy kobietę na „grządce” jak nazywaliśmy pierwsze piętra, długo i zawile przeproszał ją i przyrzekał, że zaraz sprowadzi jej chłopca. Wybiegał co sił z baraku, gnał znajomym traktem w stronę roboty, dopadał zainteresowanego szczęśliwca na drodze, z trudem łapiąc powietrze, oznajmiał radosną nowinę i sztafeta się zmieniała. Teraz mąż biegł co tchu do baraku. Stopniowo pokój wypełniał się nieznajomymi, a mąż przedstawiał kolegom żonę. Potem wspólnie przy jednym stole zasiadano do kolacji. Smutne były noce z soboty na niedzielę. Żelazne łoża na pierwszym piętrze trzeszczały, reszta przewracała się z boku na bok nie mogąc zasnąć, ale nie było na to rady, tak musiało być. Zdarzało się niekiedy, że przyjeżdżały dwie albo trzy kobiety naraz i wtedy to naprawdę w pokoju zaczynał się „meksyk”. W niedzielę przed wieczorem, mężowie odprowadzali swoje żony na stację, oddawali im zarobione pieniądze, część tylko zatrzymując sobie na wyżywienie do następnej wypłaty. Małżonkowie długo żegnali się na dworcu, jedno drugie upominało, żeby uważało na siebie, mąż pozdrawiał dzieci, wspominał, by pilnowała, czy chodzą do szkoły i odrabiają lekcje, wreszcie wsadzał zapłakaną żonę do pociągu, a sam ze ściśniętym sercem wracał do hotelu.

Tak było latem, a teraz w zimie trudniej było dostać się do nas. Teraz, mimo ciężkich mrozów, o wiele łatwiej byłoby mężczyźnie dojechać do domu, choćby i na kraniec Polski, ale nikt z nas nie mógł ruszyć się z miejsca. Tu na budowie obowiązywała wszystkich dyscyplina. To nic, żeśmy nic nie robili i różnili w karty, ale codziennie rano każdy z nas musiał przyjść na budowę i przychodziliśmy. Musieliśmy podpisywać listę obecności. Codziennie przed godziną siódmą przekraczaliśmy wysoką bramę, gdzie stał uzbrojony wartownik, opatulony w długi, ciężki, sięgający do ziemi kozuch, w butach filcach - na które na wzór niemiecki miał jeszcze wciśnięte słomiane ochraniacze. Temu wartownikowi musieliśmy pokazywać swoje przepustki i brnąć po kolana w śniegu, wchodziliśmy do pakamery przebierać się, a potem dalej pod wiaty, rozpalaliśmy kosiowniki, no i wtedy dopiero

siadaliśmy do kart.

Często zaglądali do nas jacyś ludzie z pogadankami. Uświadamiali nas, jak tylko mogli, każdy na swój sposób pieprzył co innego, oni mieli rację i my mieliśmy swoją rację. Jedni odchodzili, drudzy przychodzili, zawracali głowę, latem przerywali robotę na pogaduszki. Teraz w mrozy żaden z nich nie miał odwagi zajrzeć do nas, kiedy siedzieliśmy bez roboty. Zarabialiśmy przy budowie nie najgorzej i teraz płacono nam średnią z ostatnich trzech miesięcy.

A stało się to wszystko dlatego, że nie było desek i papy, bo roboty byłoby w brud. Nie było desek i koniec, a w tym cała tajemnica. Deski i bale poszły na rusztowanie. To, cośmy latem i jesienią zrobili, trzeba było zamontować na ścianach. Płyty i bloków kamiennych zwalono nam sporo. Dopóki była pogoda, wszystko było w porządku, na jesieni przyszły deszcze. Szydłowiec pił wodę do syta, ile tylko chciał. Piły płyty i bloki. I nagle, niespodziewanie, jak gdyby zza węgła, zwała się na nas zima. Najpierw wszystek materiał zawiąło śniegiem, a potem chwycił mróz i potrząsał nam z dnia na dzień nasze kamienie. Mróz chwycił, a woda zawarta w kamieniu dokonała reszty. Porozsadzała wszystko. W okamgnieniu z dziesiątków ton zdrowego budulca zrobiła się kupa gruzu.

O dostawie nowego materiału nie mogło być mowy. Wiele samochodów utknęło w śniegu na trasach. Teraz nikt nie był w stanie nam pomóc. Musieliśmy czekać zmiłowania niebios.

Któregoś dnia nie wiadomo kto i skąd, przysłał nam przewodniczącego rady zakładowej. Po co, cholera wie. Był to starszy człowiek, zniedołężniały zupełnie, nie znający się na rzeczy, nic nie potrafił załatwić, nawet po „linii związkowej”, nie mówiąc już o sprawach czysto zawodowych. Całymi dniami latał po budowie z poszarpaną teczką pod pachą, w której miał całe swoje biuro. Zanim poznaliśmy jego prawdziwe nazwisko, ktoś nadał mu przydomek „Gonzales” i tak to zostało.

Gonzales zaczepiał ludzi, gdzie tylko mógł, i pod różnymi pretekstami starał się wyłudzić od nich pieniądze na składki związkowe. Zaczepiani tłumaczyli mu, że chwilowo nie mają pieniędzy, bo nie pracują, tłumaczyli, żeby poczekał do wiosny, do chwili, kiedy zaczną pracować, wtedy wszystkie zaległe składki uregulują. Któregoś dnia Gonzales niespodziewanie wpadł pod wiatr i ujrzał pułę na kamieniu, przyciśniętą mniejszym kamieniem.

Grający zalegali ze składkami. Gonzales niczym żbik podskoczył i zgarnął wszystkie pieniądze do kieszeni.

Zaskoczeni ludzie popatrzyli po sobie osłupiali. Jeden tylko Rogalski, przedwojenny fachowiec, zwany Kindziorem dlatego tylko, że był łysy jak kolano, nie stracił głowy. Ciężko podniósł się ze swego miejsca, ujął Gonzalesa mocno za rękę w okolicy łokcia, podprowadził pod belkę podtrzymującą strop, na której wisiały stalowe winkle, wziął jeden z nich i spokojnym głosem, który normalnemu człowiekowi mógł zmrozić krew w żyłach, powiedział:

- Gnojku, połóż te pieniądze tam, gdzie leżały. Radzę ci jak kumpel kumplowi, bo jak nie, to ci tak przypieprzę tym oto narzędziem po plecach, że cię rodzona matka nie pozna.

Gonzales zrozumiał, że skończyły się żarty. Położył pieniądze w tym samym miejscu i przycisnął je tym samym i kamieniem, żeby ich wiatr nie porwał.

- Dobrze - pochwalił Kindzior, a potem pchnął Gonzalesa i dodał: - Jazda stąd!

Gonzales poszedł jak zbity pies. Stracił autorytet i stał się pośmiewiskiem. Normalny człowiek odszedłby z roboty, ale Gonzales nie mógł tego zrobić, choćby dlatego, że ktoś stał za jego plecami, ktoś, kto wsadził go do nas na to stanowisko. Zglupiał do reszty. Pewnego dnia, chcąc choć w części odzyskać utracony autorytet, przyniósł pod wiatr teczkę pełną wódki i kanapek domowej roboty. Wypito wódkę przyniesioną przez Gonzalesa. Od tej pory wszyscy mówili mu po imieniu, ale inne sprawy się nie zmieniły. Doszło do tego wreszcie, że został naszym chłopcem na posyłki, biegał na ulicę do budki po papierosy, do sklepu po chleb i kawałek jakiejś wędliny. Często dostawał od nas opieprz za to, że zbyt długo nie wracał.

- Ciebie, Gonzales, to najlepiej byłoby po śmierci posłać, wtedy człowiek pożyłby jeszcze kilka godzin - mawiali. Gonzales tłumaczył się często, że w sklepie była kolejka, no i te cholerne baby ciężarne i kaleki, ci zawsze i wszędzie mają pierwszeństwo.

Spotkałem Gonzalesa po latach. Zmienił się bardzo. Nie wiem czemu, ale żal zrobiło mi się człowieka. Gonzales mówił z goryczą o swoich „plecach”. Gdyby nie ci ludzie, to wziąłby się za jakąś uczciwą robotę i wszystko byłoby w porządku, był wtedy jeszcze dość młody, żeby się czegoś nauczyć, a teraz już na wszystko za późno. Narzekał, że zmarnował życie na głupstwach, na gadaniu głupot ludziom mądrzejszym od siebie. Potem wyjechał do Kanady na zaproszenie syna i tam pozostał.

Mieliśmy w robocie jeszcze jednego magika. Ten wodzirej z trudem mówił po polsku. Wyrzucono go z Francji za jakieś ciemne sprawy. Nam wstawiał farmazon, że wyrzucono go za komunizm. Po skończeniu budowy, zatrudnił się na własną rękę w tepepeerze jako magazynier. Rozpił się i w jakiś czas potem zmarło się biedakowi. Był u nas jeszcze jeden dziwak. Człowieczek nieduży, o pomarszczonej twarzy noworodka. Brał udział w rewolucji w 1905 roku. Wielokrotnie więziony za caratu i po pierwszej wojnie światowej. Nazywaliśmy go Len. Człowiek ten od dawna przeszedł na emeryturę, ale był na tyle żwawy, że w domu nie mógł usiedzieć, zawsze go gdzieś gnało. Ciągle miał jakieś sprawy do załatwienia.

Mimo podeszłego wieku, a może właśnie dlatego, był nieustępliwy, jeśli chodziło o załatwienie czegoś dla na-

szego przedsiębiorstwa, w którym kiedyś pracował i skąd odszedł na emeryturę. Znał nas wszystkich i masę innych ludzi, których myśmy nie znali. Miał kolegów sprzed wojny, ludzie ci w ową zimę stulecia zajmowali wysokie stanowiska. Miał do nich dostęp i wykorzystywał dawne znajomości dla dobra przedsiębiorstwa. W naszej dyrekcji liczono się z jego zdaniem i na niego liczono. Gdzie diabeł nie mógł, tam Len poradził. Do pewnego stopnia pozwolono mu nawet rządzić przedsiębiorstwem. Kiedyś wziął mnie w gruzy na wódkę. Przyniósł ze sobą ćwiartkę i kiszzone ogórki na zakąskę. Ja wyciągnąłem swoją połówkę i rozsiedliśmy się na ceglach. Pijąc z butelki, zastanawiałem się, dlaczego Len właśnie mnie zaprosił na tę biesiadę. Starszy był ode mnie ze trzy razy, na budowie przecież miał sporo kolegów w swoim wieku. Mógł pić z nimi, a jednak mnie sobie wybrał. Potem doszedłem do wniosku, że jest mi to nawet na rękę, dzięki niemu załatwię sobie lepszą robotę jak mrozy puszcza. To znaczy lżejszą robotę, ale lepiej płatną. Tak, to zaproszenie było mi na rękę, tym bardziej że jak tutaj szliśmy widziało nas kilku kolegów i kierownik.

Len żując bezzębnymi ustami zlodowaciałego ogórka zapytał zniecała:

- Gdzie mieszkasz?

- W hotelu.

- Ile zarabiasz?

- Teraz nic, a latem różnie.

- A co robisz z pieniędzmi?

- A co mam robić? To co wszyscy.

- Powinieneś odkładać na czarną godzinę.

- Jestem jeszcze młody, mam sporo czasu.

- Masz dziewczynę?

- A po ci mi dziewczyna, gdzie ją przyprowadzę, do hotelu?

- Mam siostrzenicę, jest w twoim wieku. Zrozumiałem od razu, że tą „czarną godziną” była jego siostrzenica, której ani przedtem, ani potem nie ujrzałem na oczy.

Na tym nasza rozmowa się skończyła. Ja poszedłem pod wiatę do chłopaków, a on wstąpił do biura.

Jeszcze tej samej nocy mróz zelżał, a następnego dnia słońce wyjrzało zza chmur, ale ja już nie poszedłem do roboty. Spakowałem swoje manatki. Wiedziałem doskonale, że nie mam już po co chodzić na budowę, skoro odtrąciłem rękę jego siostrzenicy.

Party przy świecach

Życie nie miałooby sensu, Gdybyśmy nie żyli wśród wariatów.

Byłoby kłamstwem twierdzenie, że Niuniek z Aniołkiem żyli przez cały okres małżeństwa w bezprzykładnej zgodzie. Ludzie, którzy znali ich od lat mogliby powiedzieć coś niecoś na ten temat. Najwięcej mieliby do powiedzenia bezpośredni sąsiedzi za ścianą, z jednej i drugiej strony ich mieszkania, lokatorzy mieszkający pod nimi i nad nimi. Niuniek z Aniołkiem zajmowali dwa małe pokoiki z ciemną kuchnią, a wiadomo powszechnie, że nie raz i nie w jednym małżeństwie „brak przestrzeni życiowej” prowadził do kłótni i wielu tragedii życiowych. Przy byle sprzeczce, która miała nieraz miejsce pomiędzy Niuńkiem a jego żoną, Aniołkiem, lokator z góry, żeglarz z zamiłowania, który od jesieni ubiegłego roku zaczął budować w swoim mieszkaniu jakąś arkę Noego, zaczynał walić czymś ciężkim w podłogę aż u Niuńka, zawieszony u sufitu chiński żyrandol chwiał się na wszystkie strony, a sąsiad z dołu przybiegał z rozwianym włosom na głowie, w rozchełstanej koszuli na piersi i bamboszach wciśniętych na bosc nogi i kułakiem zaczynał walić do ich mieszkania, że o mało nie wylatywały drzwi razem z futryną. Wówczas Aniołek przerywała kłótnię z Niuńkiem, poprawiała włosy przed lustrem i tak wyfiokowana otwierała drzwi sąsiadowi z dołu i ze zdziwioną miną pytała natręta, czego sobie życzy. Sąsiad zbity z pantałyku, miast mówić prosto z mostu o co mu

chodzi, zaczynał gubić się, dobierać słowa, wreszcie ni w pięć ni dziewięć, zaczynał od rzeczy:

- Pani wybaczy, ale jest już po „dobranocce”, właśnie układamy dzieci do snu, my z żoną doskonale rozumiemy, że państwo macie sobie coś do powiedzenia...

Znudzona bełkotem sąsiada Aniołek, przerywała mu w pół słowa i radziła:

- Panie, idź pan do jasnej cholery, dopóki jestem dobra. Już nieraz panu mówiłam, żeby pan przestał tu przychodzić zwracać mi dupę. Obiecuję, że jeśli pan tego nie zrozumie, co do pana mówiłam tyle razy, to złożę na pana doniesienie do dzielnicowego, że pan mnie nachodzi.

-Ale ja...

- Nie ma tu żadnego ale - mówiła Aniołek. - Pisz pan do gazet, niech budują domy o grubszych ścianach. A pan myśli, że ja nie słyszę, kiedy w nocy pan dosiada tę swoją kwokę? Słyszysz! Każde słowo słyszysz! Słyszysz te: Ech, och i to ojej, ojej, oj, j, j... Gdybym chciała latać do pana za każdym razem, to byś pan przez ruski miesiąc oka nie zmrużył, ale ja nie latam jak ze sraczką, bo uważam, że z lokatorami trzeba umieć współżyć.

Oniemiałemu sąsiadowi Aniołek zatrząskiwała drzwi przed nosem i nie szła już do pokoju, gdzie siedział Niuniek, ale zamykała się w łazience z półwanną i nie zapalając światła, siedziała w ciemnościach do momentu, aż ją wściekłość opuściła.

Tego dnia od samego rana oboje szykowali się na przyjęcie Ganków.

Aniołek po śniadaniu zarządziła:

- Kąpiemy się, Niuniek. Wejdiesz do wanny, ja cię zamoczę, namydlę i potoknę, upuszczę ci trochę brudu, a potem będzie zmiana, ja wejdę i ty mnie wypucujesz. Dam ci po myciu czystą bieliznę, żebyś nie śmierdział, czyste skarpety - i jak powiedziała, tak zrobiła.

- Po kąpieli człowiek inaczej od razu oddycha - zauważył Niuniek.

- To zrozumiałe - zgodziła się z nim Aniołek. - Kiedy myśliśmy się w miednicy najpierw do pasa, potem od pasa, marzyłam o wannie. Obiecywałam sobie, że będę się pluskać dwa razy dziennie, ale to guzik prawda. Wanna jest, a człowiek brudem porasta. Człowiek wiecznie zaganiany, nigdy nie ma chwili czasu dla siebie, a kiedy mógłby się porządnie wykąpać, to zawsze jakieś lichy kogoś przyniesie, albo człowiek sam do kogoś polezie - bez wythnienia mówiła Aniołek. - Nie wiem, co my, Niuniek, zrobimy. W przyszłym tygodniu w całym osiedlu będą rury w domach wymieniali. Na klatce schodowej administracja wywiesiła już ogłoszenie.

- Przestań gderać - upominał ją Niuniek, któremu mydło dostało się do oczu. - Że też ciebie język nie zaboli.

Po kąpieli Niuniek wytarł się do sucha ręcznikiem frotte, aż całe jego ciało, zawsze trupio blade, przybrało kolor świeżego befsztyku.

- No, jak się czujesz? - spytała Aniołek. - Jak młody bóg!

Włożył na siebie skarpety i czystą bieliznę, przygotowaną zawczasu przez Aniołka.

Niuniek, chude, wysokie chłopisko o pociągłej twarzy i zaawansowanej łysinie postępującej od czoła, wciągnął sztuczkowe spodnie, jakich od lat nikt w mieście nie nosił, a które dla koneserów w modzie męskiej ostatnio stały się prawdziwym rarytasem. Włożył prawie nowe pantofle, które raz czy dwa miał na nogach, białą koszulę ze sztywnymi mankietami i takim samym kołnierzykiem, zapiął spinki mankietów, w szlufki spodni wciągnął pasek, prezent gwiazdkowy od Aniołka. Ogolony, wymyty, ubrany po świątecznemu w dzień roboczy, zasiadł do stołu i sięgnął po papierosy leżące na serwantce.

Nie spiesząc się wydobyl jednego z paczki, starannie rozwałkował w palcach i osadził w srebrnej cygarniczce, przypalił go, i jak człowiek zmęczony całodzienną pracą, bezsilnie opadł na oparcie krzesła.

Z łazienki dobiegał śpiew Aniołka.

- Co ci tak wesoło - spytał.

Nie otrzymał odpowiedzi. Aniołek zajęta czymś w łazience widać nie dosłyszała jego pytania.

- Pospiesz się! - ponaglał ją.

Tym razem dosłyszała i odpowiedziała ze złością:

- Dokąd się spieszysz? Listę podpisać?

Zamilkł. Z doświadczenia wiedział, że żona mu w niczym nie ustąpi i podtrzymywanie takiej rozmowy doprowadzić może do kłótni.

Spojrzał na paznokcie, nie było co prawda za nimi „żałoby”, ale po kąpielach były długie i białe. Z szuflady stołu, przy którym siedział, wyciągnął nożyczki, starannie poobcinał paznokcie, odłożył nożyczki na miejsce i sięgnął po telegram, jaki nadesłał Gańko.

Z uwagą przeczytał go raz i drugi. Gańko zapowiadał swój przyjazd na godzinę siódmą wieczorem. Przyjechać miał z żoną i córką oraz z jej mężem, świeżo upieczonym inżynierem budowlanym.

Przyjeżdżali na dzień lub dwa i Niuniek miał się przez ten czas nimi opiekować. Przyjść po przyjeździe i przemocować. W dzień oprowadzić po sklepach i komisach.

- Nie miała baba kłopotu - powiedział do Aniołka, która akurat wyszła z łazienki i ukazała mu się w nowym komplecie bielizny.

- Skąd ty masz te szmaty? - zaciekawił się. - Nigdy przedtem nie widziałem ich na tobie.

Spojrzała na niego pobłaźliwie.

- Ładne szmaty - powiedziała z wyrzutem. - Zawsze, na każdym kroku chcesz mi dokuczyć. Kupiłam to kiedyś w „Modzie Polskiej”. Dziś za ten komplet musiałabym zapłacić z połowę swojej pensji.

- Cichaczem przede mną wydajesz pieniądze na różne fatalaszki, a ja chodzę jak dziad w jednym ubraniu świętek i piątek.

- Tobie nie warto nic kupować - zawyrokowała Aniołek. - Wszystko pali się na tobie. Jak nie poplamisz, to dziury powypalasz papierosami, a jak ja sobie coś kupię od czasu do czasu, to noszę całymi latami.

- Kupisz, rzucisz do szafy i mole mają wyżerkę. Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby wyrządził jej wielką krzywdę tym, co powiedział. Od kilku lat co najmniej rozmawiali ze sobą w ten sposób. Ktoś stojący z boku i przysłuchujący się ich rozmowom, mógłby odnieść wrażenie, że ci ludzie celowo sobie dokuczają, prowokują się, że nie stać ich na wzajemną uprzejmość.

Niuniek wzdragał się na samą myśl, co go czeka jeszcze dzisiejszego wieczora. Nagły przyjazd Ganków był mu zupełnie nie na rękę, ale nie było innego wyjścia. Szczęściem w nieszczęściu stało się to, że zdobył mieszkanie, że miał ich gdzie przyjąć i przemocować. Taka była umowa. Za to oni zaopiekują się nim i Aniołkiem, kiedy przyjadą na urlop na wieś.

Niuniek od wczoraj rana stał się chwilowym posiadaczem cudzego mieszkania. Trzech ogromnych pokoi z widną kuchnią, przestronnego hallu i dużej łazienki wyłożonej włoską glazurą.

Niuniek, w tajemnicy przed Aniołkiem z „zaskórniaków”, dokonał pewnych, niezbędnych zakupów. Nie licząc się z groszem, kupił w „Delikatesach” kilka butelek zagranicznych wódek, najlepszą czekoladę w rodzimym wydaniu, kilka puszek portugalskich sardynek, owoce południowe, różne gatunki wędlin, pieczywo normalne i słodkie, kawę, herbatę, no i oczywiście kilka paczek doskonałych papierosów, których same celofanowe opakowania przyciągały spojrzenia palaczy.

- Gańkowie są mi dzisiaj potrzebni jak dziura w moście - odezwała się Aniołek. - Ani to moja rodzina, ani też bliscy znajomi.

- Potraktujemy ich dzisiaj jako zło konieczne, ale musimy być dla nich uprzejmi. Ty, Aniołku, szczególnie powinnaś być uprzejma, a jeśli już nie, to powinnaś przynajmniej stwarzać takie pozory. Musisz ich podjąć jak przystało na panią domu.

- Gdzie mam ich przyjąć i czym? - spytała. Niuniek rozejrzał się po mieszkaniu.

- Za dużo mamy gratów - stwierdził. - Trzeba by połowę wyrzucić. Nie ma się gdzie ruszyć. A o podejmowaniu tutaj gości nie ma co myśleć. Tu można tylko orła wywinąć i to z podkurczonymi nogami. Gdybyśmy mieli małe dzieci...

Aniołek spojrzała na Niunika jak na szaleńca.

- Ty masz chyba gorączkę! - powiedziała. - Dzieci na stare lata! Dobrze, nie ma co! Sam jesteś jak dziecko, koło którego trzeba chodzić. Popatrz na tę dziewczynę z parteru. Do ósmej klasy chodzi. Dziecko! Piersi i biodra ma większe ode mnie. Wieczorami zbiera się ich na klatce cała wataha. Koledzy i koleżanki. Z butelki piją wino, które nazywają „bałaganem”, i kopczą papierosy. Co z tych dzieciaków wyrośnie? Że też rodzice na coś takiego pozwalają.

- Podobno chodzi ona do jakiejś specjalnej szkoły, gdzie normalny śmiertelnik nie ma prawa wstępu.

- Wiadomo. Tatuś fisza, a matka pomywaczka w knajpie trzeciej kategorii. Zresztą, po co jej nauka?

- Tak nie można mówić, że po cholere człowiekowi nauka. Jednemu jest niepotrzebna, a drugiemu może się kiedyś w życiu przydać. Na starość jak znalazł.

- Tobie się przydała. Jak plaster...

- Ale i nie zaszkodziła. A poza tym przestań. Daj spokój. Dzisiaj z tobą nie można nawet porozmawiać jak z człowiekiem.

- Jeśli chodzi o Ganków i o to, gdzie ich przyjmujemy, to nie martw się, Aniołku. Niuniek o wszystkim pomyślał. Niuniek ma głowę nie od parady. Niuniek myśli!

- Coś ty znowu wykombinował?

Aniołek z niepokojem spojrzała na Niuńka. Niuniek uśmiechnął się tajemniczo.

- Wszystkiego dowiesz się, Aniołku, we właściwym czasie. Nie bądź w gorącej wodzie kąpana - pouczył ją. -A na razie włóż coś na siebie, nie chodź w negliżu i daj coś zjeść.

- Zostało od wczoraj kawałek kurczaka z rosółem, dogotuję trochę makaronu, może być?

- Musi, jak nie ma nic innego.

- Będziesz miał śniadanie razem z obiadem. Aniołek przeszła do kuchni, skąd dochodziły odgłosy przesuwanych na kuchni garnków i brzęk talerzy w zlewozmywaku, a potem ku zdumieniu Niuńka znana piosenka szwedzkiego zespołu „Abba”, w wykonaniu Aniołka.

- Wyłącz się! - powiedział Niuniek.

Aniołek stanęła w drzwiach pokoju z talerzem w ręku.

- Czemu krzyczysz?

- Trzeszczysz jak stara płyta.

- Ja ci nie przerywam, kiedy drzesz się w niebogłosy: „Lance do góry, szable w dłoń”!

Były to słowa ulubionej piosenki Niuńka. Często ją śpiewał, ale nigdy za głośno.

Aniołek z pogardą popatrzyła na męża, który nie wytrzymał tego spojrzenia, jak niepyszny opuścił głowę i z wymuszonym zainteresowaniem ją oglądać swoje wąskie dłonie.

Odruchowo sięgnął po papierosa. Zapalił i chciwie zaciągnął się.

- Już kopcisz! - upomniała go Aniołek. - Zaraz zabiorę i schowam te papierosy.

Aniołek uczyniła krok do przodu z nieodpartym zamiarem uczynienia tego, ale Niuniek okazał się szybszy.

Chwycił paczkę leżącą przed nim na stole i schował do kieszeni.

- Włóż przynajmniej do cygarniczki tego papierosa i przestań mi grać na nerwach - ostrzegła go.

Usłyszał. Osadził papierosa w srebrnej cygarniczce.

- Palisz jak wariat. Jednego po drugim.

- Przestań gderać i idź do kuchni. Tam twoje miejsce.

- Popatrz na siebie! Jak ty wyglądasz! Stary dziad się z ciebie zrobił, zupełnie nie dbasz o siebie. Zobaczysz! Niedługo wywiozą cię bramą gospodarczą z kartką u nogi. Przekonasz się, ale będzie już za późno.

- Raz kozie śmierć!

- To zdychaj, tylko mnie przy sobie nie męcz - rozszłoszczona do ostateczności zniknęła w kuchni, a po kilku minutach postawiła przed Niuńkiem na stole talerz z gorącym jedzeniem. Obok położyła łyżkę i powiedziała:

- Jedz! -A ty?

- O mnie się nie martw. Ja sobie radę dam.

- Jak w tej piosence.

- Jestem już wykończona, ledwie dyszę. Przyprawy są już w środku.

- Ja, Aniołku, mam inne podniebienie. Podaj mi sól i pieprz.

- Jedz takie, jakie jest. Próbowałam.

Siorbnął wrzątku z talerza. Skrzywił się. Z obrzydzeniem patrząc na talerz, powtórzył swą prośbę.

Wbrew sobie, z pogardliwym uśmiechem, spełniła jego życzenie. Postawiła przed nim pieprz i sól. Niuniek, chcąc jej dokuczyć, przesolił i przepieprzył potrawę. Zamieszał łyżką w talerzu i zabrał się do jedzenia.

-I jak ci smakuje? - spytała złośliwie. Pokiwał głową z uznaniem.

- Może być, da się zjeść. Chcesz spróbować? - swą propozycją załamał Aniołka.

- Głupi! - usłyszał w odpowiedzi. -Jesteś mój i ja za ciebie będę decydowała. Będę robiła to, na co będę miała ochotę.

W pozornym zdenerwowaniu położył łyżkę na talerz i odsunął go na środek stołu.

- Nie będę jadł! - krzyknął prawie. - Ciągłe wyprowadzasz mnie z równowagi! I jak tu żyć z tobą pod jednym dachem.

- To wyprowadź się! Idź, dokąd cię oczy poniosą, dostaniesz jeszcze ode mnie błogosławieństwo na drogę.

- Łatwo powiedzieć: idź sobie! Rozbijemy mieszkanie, to sobie pójdę choćby jutro.

Aniołek przyniosła dla siebie z kuchni talerz zjedzeniem. Usiadła naprzeciw Niuńka, który sięgnął po nowego papierosa. Zapalił go i zamyślił się.

Jedząc spytała go:

- Nad czym tak dumasz?

Zanim odpowiedział na pytanie, przyjrzał się jej chwilę, zaciągnął się, odetchnął z ulgą, jakby zrzucił z sumienia jakiś ogromny ciężar.

- Myślę o tobie, sobie i ludziach. Czasami nie mogę pojąć, jak to się stało, że akurat mnie przytrafiła się na żonę. A było i jest tylu innych facetów na świecie. Atrakcyjnych, ustawionych, z samochodami, badylarzy, „cinkciarzy”. Różnych dyrektorów z willami.

- Ale ja ciebie kocham - powiedziała.

Aniołek, podobnie jak przed chwilą Niuniek, przestała jeść. Łokciami wparła się w blat stołu, na splecionych dłoniach oparła podbródek i wpatrzyła się w Niunika.

- Kocham cię, wariacie - powtórzyła - inna na moim miejscu dawno wypięłaby się na ciebie.

- Powinnaś to zrobić.

- Ja nogi za próg, a ty wziąłbyś sobie drugą!

- Oooo nie! - zawołał Niuniek.

- Beze mnie zginąłbyś jak pies Pluto. Ja ci to mówię.

- Do końca życia nie związałbym się już z żadną kobietą. Umiem gotować równie dobrze jak ty albo jeszcze lepiej, posprzątać po sobie też potrafię, przeprać... Więc do czego potrzebna mi jest kobieta? Po to tylko, żeby się z nią wiecznie kłócić? Rozumiem ludzi, którzy powiązani są ze sobą miotem. Wówczas facet jest rzeczywiście bez wyjścia i kobieta może robić z nim, co jej się podoba.

- Głupi jesteś - podsumowała jego wywód.

- A co do ludzi - przerwał jej Niuniek - to kiedy zjawiają się Gańkowie, miej ich na oku. Ukradkiem patrz im na ręce. Nie znamy ich na tyle, żeby im bezgranicznie ufać. Ludzie są rozmaici. Jednemu nagle spodoba się to, drugiemu co innego... Wystarczy chwila nieuwagi. Ty pilnuj ją, a ja będę czuwał nad resztą.

- Że też ja, cholera, zawsze pozwolę zrobić ci coś takiego. .. - warknęła Aniołek.

- Drogi Aniołku - zaczął Niuniek z perswazją. - Jeżeli zależy ci na urlopie spędzonym na wsi, to inaczej nie możemy postąpić. Musimy ich przyjąć jak najlepiej. Ba! Szczególnie ty powinnaś pokazać się z jak najlepszej strony. Znasz tę zasadę: „Jak cię widzą, tak cię piszą.”

- Nie martw się! Już ja ich przyjmę odpowiednio -zapewniła Aniołek takim głosem, że Niuniek spojrzął na nią z niepokojem.

- Ty mi nie zrób jakiegoś głupstwa. Gańkowie to ludzie wsiowi, w prostej linii od naszego praszczura Piasta Kołodzieja. Dla nich przeżycie jednego dnia w milionowej aglomeracji, to nie w kij dmuchał.

- Jesteś jak dziecko, nie znasz ludzi.

- Dałbym głowę za to, że do tego przyjazdu przygotowywali się kilka dni.

- Tak Bogiem, a prawdą, to nie rozumiem - odezwała się w zamyśleniu Aniołek - po jaką cholereę oni tu przyjeżdżają. Taki świat drogi tłuc się autobusem, pociągiem. Powinni siedzieć w siole i wachać maciejkę. Czy oni nie rozumieją, że tym swoim przyjazdem nikomu nie robią przyjemności, a wręcz przeciwnie?

- Może przyjeżdżają po zakupy, a może chcą iść razem do teatru? Wszystko jest możliwe. To nic, że Gankowie są ludźmi wsiowymi, ale swoje życie wewnętrzne też mają.

Aniołek obrzuciła męża lekceważącym spojrzeniem, zebrała talerze ze stołu i przeszła do kuchni.

Niuniek wykorzystał nieobecność żony. Jak tylko mógł najciszej podniósł się od stołu, podszedł do bieliźniarki i wyjął z niej po jednej sztuce bielizny pościelowej, wyciągnął koszulę ze spodni, opasał się bielizną i na powrót wkasał koszulę w spodnie, dopiął mocniej paskę, a potem znowu usiadł na swoim miejscu.

Siedząc przy stole, z nieodłącznym papierosem osadzonym w srebrnej cygarniczce, słyszał kroki żony w przedpokoju, skrzyp otwieranych drzwi szafy. Aniołek po raz drugi jakby zapomniiała o obecności męża i zaczęła podśpiewywać znany sprzed lat szlagier: „Przeleć mnie”.

Aniołek stanęła w drzwiach pokoju z sukienką, którą zamierzała włożyć na siebie.

- W tej mi będzie dobrze? - spytała.

Niuniek popatrzył na żonę, a potem powiedział z uznaniem:

- Co byś nie założyła na siebie, to i tak będziesz wyglądała jak...

- Nie chciałabym wyglądać gorzej od Gankowej.

- Lepiej od ciebie z pewnością nie będzie wyglądała. Masz tych szmat pełno w szafie, jest w czym wybierać. Nie to co ja. Jedno przedwojenne ubranie nabyte na ciuchach

za psi grosz od handlarza starzyzną, w którym chodzę w świętek i piątek, na przyjęcia oficjalne i święta państwowe.

- Nie narzekaj. Miałbyś nie takie ubranie i niejedno, gdybyś nie tracił pieniędzy na lewo i prawo. A poza tym czy tobie warto coś kupić? No powiedz? Zrobiłam ci sweter i co? Ja robiłam go przez cztery zimy, a tyś go w jeden sezon zniszczył.

- Gdybym miał kilka na zmianę...

Niuniek pomyślał, że po tej zgryźliwej uwadze Aniołek nabierze wody w usta i zajmie się sobą. Przeliczył się jednak.

Aniołek usiadła, Niuniek widział na jej twarzy wysiłek myślenia.

- Tobie coś kupić, to jakby wyrzucić pieniądze w błoto. Przyniósłbyś raz więcej pieniędzy, to bym się zastanowiła co z nimi zrobić.

- Kraść nie pójdę, a zarobić nie jest lekko.

- Zmień pracę, masz fach w ręku, idź na pofajrant do prywaciarza.

- Łatwo powiedzieć: rzuć pracę! Rzucić pracę, pójść do prywaciarza i harować na niego na „dziko” bez

ubezpieczalni, bez urlopu, a niech nogę złamię czy rękę i co wtedy? Do kogo pójde na skargę? A poza tym nie jestem już młody, nie mam dwudziestu lat.

- Co ty wygadujesz? Dlaczego od razu miałbyś rękę albo nogę łamać. Ludzie latami pracują i zarabiają.

- Niech pracują. Ja nie chcę pieniędzy. Mnie wystarczy to, co zarabiam.

Aniołek znalazła tę śpiewkę od co najmniej dwudziestu lat. Popukała się znacząco wskazującym palcem w czoło, podniosła się z miejsca i zamknęła w łazience.

Niuniek słyszał szum suszarki do włosów, potem plusk wody. Podniósł się więc od stołu, w kuchni znalazł nowe papierosy, które żona schowała przed nim, żeby tyle nie palił, i kiedy Aniołek wyszła z łazienki, zastała go z papierosem w ustach, ale nic nie powiedziała, najwidoczniej zapomniała, że zakazała mu tyle palić.

Aniołek ukazała się Niuńkowi w całej krasie. Miała na sobie wieczorową suknię z długim rękawem, twarz podmalowaną, włosy uczesane jakby dopiero co była u fryzjera. Była gotowa do wyjścia, tyle że na nogach miała wciąż jeszcze te same przydeptane bambosze.

-I jak ci się podobam? - spytała zalotnie. Zbliżyła się do Niuńka i wbrew jego niechęci usiadła mu na kościstym udzie. Jedną ręką objęła go za szyję, drugą zaś uniosła mu podbródek i spojrzała w oczy.

- Teraz jesteś podobna do ludzi.

- Opatrzyłeś się, łajdusie. Zawsze byłam podobna do ludzi. Jeszcze dziś niejedną młódkę zapędziłabym w kozi róg. Nie mówiłam ci o tym, ale w zeszłym tygodniu w tramwaju jakiś smarkacz nie mógł ze mnie oka spuścić.

- Musiał to być zupełny debil albo też niewyżyty homoseksualista. I coś ty zrobiła, Aniołku?

- Broniąc czci dumnie wysiadłam z tramwaju.

- Dziwna jesteś. Trzeba było jechać dalej.

- Tak we mnie wlepił gały, że musiałam wysiąść na pierwszym przystanku.

- Jest to zupełnie normalne. Tacy gnoje lubią starsze panie, bo one mają pieniądze, i odwrotnie, młode dziewczyny lubią starszych panów.

- Nic ci nie można powiedzieć, wszystko zwulgaryzujesz - powiedziała oburzona Aniołek i demonstracyjnie wstała Niuńkowi z kolan. Odetchnął z ulgą.

- O której oni przyjeżdżają? - spytała.

- Wieczorkiem, ale musimy wcześniej wyjść.

- Dokąd?

- Tam, dokąd oni przyjadą. Niuniek zatoczył ręką po mieszkaniu.

- Gdzie ich tu przenocujesz?

Aniołek rozejrzała się dookoła, spojrzenie jej zatrzymało się za oknem na domach stojących w słońcu.

- Dla nas dwojga wystarczy.

- Dla nas dwojga, dla nas dwojga, ale dla sześciorga już nie wystarczy.

Aniołek zaszepiła się.

- Widziałas, Aniołku, ich dom na fotografii, którą nam przysłali? Cała rodzina zebrała się przy samochodzie na tle tego domu! Piętrowa kamienica, wtedy jeszcze nie wykończona, ale do tej pory z pewnością już wykończyli. Mamy do nich jechać na lato. Wieś, kury, jaja, śmietana, mleko, grzyby. Grosza nie wydasz, a to się liczy.

Musimy przyjąć ich jak najlepiej.

- A czy mnie ktoś przyjmuje jak najlepiej?

- Będą mieli w stosunku do nas zobowiązanie. Spędzą u nas dzień lub dwa, a potem przez miesiąc będą mieli nas na karku. Dlatego musimy się postawić, żeby nie pomyśleli sobie, że my w mieście, jesteśmy golcami.

Niuniek wprowadził Aniołkę w chłodną, szeroką klatkę schodową wyłożoną kolorowym marmurem. Sam ubrany był w lakiery, sztuczne spodnie, jakich nikt od dawna nie nosił, w marynarkę z wywatowanymi ramionami, na głowie miał „idena”. Aniołek była w długiej wieczorowej sukni, na ramionach miała narzutkę, a na głowie figlarny kapelusik założony fantazyjnie na prawe ucho, na nogach oczywiście zgrabne pantofelki na wysokim obcasiku. Oboje do złudzenia przypominali parę z amerykańskich gangsterskich filmów.

Niuniek trzymając Aniołkę pod rękę, poprowadził ją na pierwsze piętro. Z klatki schodowej wiodło czworo drzwi do czterech mieszkań. Drzwi były szerokie, mocne, z ciemnego dębu. W miejsce klamek zamontowano mosiężne kule, stanowiące zarazem zamki.

Niuniek podszedł do jednych drzwi i wydobył z kieszeni kluczem otworzył zamek, a potem napał na nie z całej siły. Drzwi bezszelestnie ustąpiły. Wówczas Niuniek zapalił w przedpokoju światło i wprowadził Aniołkę do przestronnego hallu. Drzwi same zatrasnęły się za nimi i znaleźli się jakby w jakimś sejfie.

Aniołek stała bez ruchu, wystraszona spoglądała na Niuńka, który zachowywał się jak u siebie w domu.

- Aniołku - zawołał. - Rozluźnij się i poczuj wreszcie panią!

Ujął ją za ramię i pociągnął w głąb mieszkania. Poddała się niczym zahipnotyzowana. Puścił ją wolno na środku obszernego pokoju o dwóch weneckich oknach, i zapalił światło. Wielki żyrandol napełnił pokój światłem.

Aniołek ciekawie rozejrzała się wkoło. Pośrodku pokoju, pod żyrandolem, stał okrągły stół z rzeźbionymi nogami, a przy nim sześć krzeseł z wysokimi oparciami i siedzeniami obitymi skórą. Pod ścianami stało kilka mebli w stylu simmlerowskim. W pokojach pachniało czystością.

Aniołek w skupieniu lustrowała każdy szczegół mieszkania.

- J jak ci się to wszystko widzi? - wyrwał ją z odrętwienia Niuniek.

Aniołek nie od razu odwróciła głowę w jego stronę, a kiedy to uczyniła - zresztą bardzo wolno - w oczach miała spojrzenie człowieka jakby nie z tego świata.

Powoli dochodziła do siebie i kiedy minęło pierwsze zachłyśnięcie się niecodzienną sytuacją, wróciła szybko do równowagi, a jej reakcja była zupełnie odmienna od tej, jakiej spodziewał się Niuniek.

Nieufnie, jakby bojaźliwie, rozejrzała się dookoła, czy aby nikt nie usłyszy tego, co powie, i z jej piersi wyrwały się słowa jak dzwon:

- Niuniek! Czyje to mieszkanie?

- Czy to ważne? - odparł ze śmiechem. - Grunt, że jest. -I poczuł jak ten grunt usuwa mu się nagle spod nóg

- Odpowiesz mi czy nie? Bo zobaczysz, co zrobię z chwilę z ciebie i tego mieszkania.

- Aniołku, proszę cię, uspokój się na litość Boską. Jesteś w cudzym mieszkaniu, a nie u siebie w domu. Czy wiesz, kto może stać tam, za drzwiami?

- Nic mnie to nie obchodzi, wiem tylko jedno, ty, łajdusie, że to mieszkanie jest jakiejś dziwki! Pachnie tu na wet dziwką!

- Nie chcę ci robić przykrości, Aniołku, ale to zapach twoich perfum.

Zaskoczona jego bezczelnością-jak jej się wydało -uniosła lekko prawą rękę do góry, pochyliła głowę i pociągnęła kilka razy nosem przytkniętym do pachy.

- To nie są moje perfumy! Nachyl głowę i powąchaj

- Nie muszę, Aniołku, znam je na pamięć.

W przystępie naglej wściekłości dopadła drzwi drugiego pokoju, otworzyła je na oścież, zupełnie jakby spodziewała się zastać za tymi drzwiami zaskoczoną parę za kochanych. W pokoju, do którego zajrzała, stał pośrodku szeroki tapczan, a na nim była zmietoszona pościel. Wyglądało, jakby ktoś podniósł się przed chwilą z łóżka i opuścił mieszkanie. Obok tapczanu stała nocna szafka i łamana lampa. To było całe umeblowanie pokoju. Aniołek wiedziona kobiecą ciekawością zajrzała do następnego pokoju. Tu, poza wersalką i jedynym obrazem wiszącym na ścianie, nie było zupełnie nic. Obraz przedstawiał łysego mężczyznę z bujną siwą brodą, ubranego w mundur z epoletami. Z twarzy spoglądały jedynie groźne, wielkie czarne oczy, albowiem malarz, jakby zapomniał w pośpiechu namalować nos i usta, zakrył więc te elementy wielką brodą, i to wszystko.

Aniołek na widok portretu szybko wycofała się z pokoju i cicho zamknęła drzwi, jakby w obawie, że kogoś zbudzi. Nie spuszczaając spojrzenia z drzwi, za którymi pozostał obraz, przejęta dziwnym niepokojem, stanęła koło Niuńka i spytała wystraszoną głosem:

- Czyj to obraz?

- Podoba ci się?

- Straszny!

- To dziadek gospodarza. Carski generał, Aniołku, rozejrzyj się dobrze po mieszkaniu, żeby Gańkowie, kiedy przyjdą, nie pomyśleli sobie, że nie jesteś panią domu. Pokoje znasz, a teraz pokażę ci kuchnię i łazienkę. Niuniek ruszył pierwszy jako bardziej obeznany z mieszkaniem, a Aniołek tuż za nim. Każda nowa rzecz wprawiała ją w zachwyt.

- Ho, ho! - zawołała. - Kuchnia z oknem! A tu, co jest w tych szafkach?

Na ścianie w równym szeregu wisały szafki, w których gospodarz przechowywał naczynia kuchenne. W jednej z nich Aniołek natrafiła na starannie poukładaną zastawę stołową.

Jak każdej kobiecie, tak i jej oczy zabłysły pożądaniem. Delikatnie wzięła ze sterty jeden z talerzy, odwróciła dnem do góry i powiedziała z miną rzeczoznawcy:

- No tak. Tego się spodziewałam: import z Francji.

- Kupił to za grosze, drugi gatunek - wyjaśnił Niuniek.

- Ja i takiego nie mam.

- Nie płacz. Kupię ci kiedyś - obiecał, jak obiecywał wiele innych rzeczy.

Postawiła talerz na miejsce i pociągana przez Niuńka, znalazła się w łazience wyłożonej importowaną glazurą w niebieskim odcieniu. Było tu dość miejsca na wielką wannę, wiklinowy kosz na brudną bieliznę, pralkę automatyczną oraz małą leżankę, na której można odpocząć po wyjściu z kąpieli.

- Czyje to mieszkanie?

- Mojego szefa.

- Łżesz. Oszukujesz mnie na każdym kroku. Teraz rozumiem, gdzie ciebie cholera nosi, kiedy ja siedzę samiuteńka w domu jak ten kolek. Dobrze, że tu przyszłam. Trafię tu teraz z zawiązanymi oczami.

- Dał mi klucze od mieszkania, żebym podlewał mu kwiaty.

- Przestań mi wreszcie robić wodę z mózgu. Ty i kwiaty. Pomyślałby kto.

- Miał chłop żonę...

- Umarła.

- Nie, okradła go i uciekła z kochankiem.

Aniołek spojrziała na Niuńka z politowaniem, jak na człowieka, któremu Pan Bóg rozum odebrał.

- Tak na oko babka niczego. Przystojna, zadbana, z prezencją. Można by się pokazać z nią tu i tam.

-I gdzie jeszcze?

- Czego chcesz ode mnie?

- Bo tak właśnie o niej mówisz, że aż przyjemnie posłuchać ciebie. „Zadbana, z prezencją.” I co z nią teraz?

- Nic. Rozpiła się do imentu. Czasami przychodzi do nas do pracy „na fleku”, pożyczyc od męża pieniędzy na wódkę dla kochanka.

-I on oczywiście daje.

- A ty byś nie dała na jego miejscu? - spytał Niuniek ze zdziwieniem.

- Zmieniłabym robotę, ale łeb bym ci rozwalila.

Aniołek od chwili przekroczenia progu mieszkania, zastraszona i tym strachem spięta w sobie, w miarę upływu czasu, powoli zaczęła przeistaczać się w panią domu. Jakby zupełnie zapomniała, gdzie się znajduje, chętnie dokonałaby przemeblowania całego mieszkania.

Niuniek powiedział do niej w pewnej chwili:

- Ten ręcznik będzie dla Ganków, a ten dla nas. Żeby się w nasz ręcznik nie wycierali, zabierzemy go do swego pokoju. Oni wszyscy niech się wycierają w jeden. U siebie na wsi też chyba wycierają się wszyscy w jeden.

Przeszli do pokoju stołowego. Aniołek jeszcze z narzutą na ramionach, Niuniek zaś z ręcznikiem w ręku.

- A co z pościelą? - spytała Aniołek. - Ja nie myślę spać w czyichś brudach.

Niuńkowi powoli wracała pewność siebie. Uśmiechnął się do Aniołka.

- O jakich brudach ty mówisz? Kto każe ci spać w czyjejs pościeli? Niuniek ma głowę! Niuniek pomyślał wcześniej o wszystkim.

W dziwnym jakimś podnieceniu rzucił na stół ręcznik trzymany w ręku, szybko zdjął z siebie marynarkę, rozpiął koszulę od dolnego guzika aż po krawat, wymotał się z bielizny, jaką był opasany i podał ją oniemiałemu Aniołkowi.

-Trzymaj!

- Co to takiego?

- Pościel, pod którą będziemy spali. Ty i ja. Niuniek zaśmiał się głośno szczerze ubawiony.

- Jak to? Nie poznajesz? Własnej pracy nie poznajesz? Spójrz na te herby! Toż to twój posąg, Aniołku. To mi wniosłaś w posagu i starą zbitą pierzynę.

Chwilę stali pośrodku pokoju w głębokim milczeniu. Ona z naręczem bielizny, on w rozchełstanej na piersiach koszuli. Ona bezradna, bliska płaczu, on obojętny na to wszystko, co za chwilę może się wydarzyć.

Niuniek zawsze pełen inicjatywy i tym razem zachował zimną krew. Szybko wksał koszulę w spodnie i popehnął lekko Aniołka w stronę sypialni.

- Bierzemy się za robotę - powiedział. - Szkoda czasu. Niuniek szybko ściągnął z kołdry brudną podpinkę gospodarza i rzucił ją na podłogę, to samo zrobił z poszewką i prześcieradłem i pomógł Aniołkowi zasłać tapczan. Potem Niuniek brudną bieliznę upchnął w koszu w łazience, umył ręce i wytarł je w ręcznik przeznaczony dla Ganków. Kiedy Niuniek zajął się poznawaniem radia i adapteru oraz przeglądaniem płyt, Aniołek zaczęła plądrować kuchnię. W lodówce zawalonej jedzeniem i różnymi gatunkami wódek natrafiła na kilka puszek szprot i portugalskich sardynek. Wzięła jedną i zaczęła ciekawie oglądać, próbowała odczytać napis na wieczku, ale był w niezrozumiałym dla niej języku, więc dała spokój. Z puszką w ręku weszła do stołowego.

- Niuniek, spójrz, szproty nawet są- usłyszał nad sobą zdziwiony głos Aniołka. - Boże - westchnęła. - Jak dawno nie jadłam szprot. Zapomniałam już nawet jak one smakują.

- To otwórz sobie i zjedz - zezwolił rozdrażniony Niuniek. - Możesz zjeść całe pudełko nawet bez chleba.

Wciśnij cytrynę i zjedz. Tylko uważaj, nie poplam podłogi, a najlepiej będzie, jak zaścielemy całą podłogę starymi gazetami. Gańkowie z pewnością przyjadą w zabłoconych butach.

Niuńkowi udało się wreszcie włączyć radio, a później podłączyć do niego adapter z kolumnami. Potem na chybił-trafił wziął jedną z płyt leżących obok i nastawił.

W mieszkaniu rozległa się dzika, murzyńska muzyka. Cały pokój aż drżał od tam-tamów.

Zadowolony Niuniek podniósł się z klęczek, rozprostował obolałe nogi i z dumą spojrzął na Aniołka zajadającego się szprotami.

Aniołek nabrała szprot na łyżeczkę i zwróciła się do Niuńka:

- Otwórz buzię!

- Dziękuję.

- Od Aniołka nie weźmiesz?

Odsunął się od niej. Z przedpokoju przyniósł cały plik starych tygodników i zasłał nimi podłogę. Od rozłożonego na podłodze papieru w pokoju zrobiło się jaśniej. Usiadł przy stole i zapalił papierosa.

- No i jak ci smakowało? - spytał, kiedy wyrzuciła puste pudełko do kosza w kuchni.

- Pyszne.

- Ja spróbuję, jak rąbnę sobie przedtem kielicha.

- Staraj się nie upić - ostrzegła. - Nie lubię spać z tobą, kiedy jesteś na cyku. Jedzie od ciebie takim zajzajerem, że nie daj Bóg.

- Powiedziałbym ci też coś miłego, ale wolę dać spokój.

- To nie mów. Lepiej nic nie mów.

Na chwilę oboje zamilkli, ale tylko na chwilę, bo czas płynął nieubłaganie, a oni byli jeszcze w polu z przygotowaniem przyjęcia.

- Bierzemy się za robotę - powiedział Niuniek. - Pomogę ci trochę.

Niuniek przygasił papierosa, resztę niedopałka odłożył na popielniczkę na „zaś” i razem z Aniołkiem przeszli do kuchni, gdzie Niuniek wyjął z wiszącej szafki dwa wielkie półmiski na kanapki.

Niuniek kroił chleb maszynką i smarował masłem, Aniołek zaś krajała wędliny i „po swojemu” układała na półmiski: pieczony schab, szynkę, polędwicę, pasztet kupiony przez Niunia w „Garmażerce”. Potem, kiedy wszystko było poukładane, Aniołek przybrała mięsivo papryką i liśćmi sałaty. Pocięła też w „gwiazdy” frukta i poukładała na talerzykach.

Niuniek wziął się do alkoholu. Litr śliwownicy łąckiej, którą przywiózł mu znajomy z gór, przelał do pustych butelek po „Matadorze”, które znalazł kiedyś w swoim domu na klatce schodowej. Butelki wyglądały imponująco. Zanim zakręcił je i schował do lodówki, spróbował z jednej i podał Aniołkowi, żeby też umoczyła dzioba. Spróbowała trunku i dech jej na moment zaparło.

- A idź ty do jasnej cholery - wykrztusiła ze łzami w oczach, kiedy tylko udało jej się wydobyć z siebie słowo.

- Bardzo dobre - powiedział. - Gańko gówno się pozna czy to koniak, czy zwykły bimber. Nie pił łąckiej, a tym bardziej „Matadora”. A gdyby się nawet i poznał, że to bimber, to i tak nic nie powie bo mu nie będzie wypadało. O siódmej wieczorem wszystko było gotowe na przyjęcie gości. Stół nakryty białym obrusem, na nim ustawione półmiski z zakąskami, a na talerzykach, oprócz cytrusów, dwie puszki sardynek. Przed każdym krzesłem nakrycie, a obok kieliszki do wódki i wina.

- Usiądźmy i odpocznijmy chwilę przed libacją- powiedział Niuniek.

Usiedli przy stole. Oboje poczuli nagłe zmęczenie. Do Niunia nawet wrzaskliwa muzyka, jakby przestała docierać. Całodzienne napięcie, w jakim się znajdował, ustąpiło, wyzwalając w nim jakiś dziwny, błogi stan.

Niespodziewanie stał się obojętny na wszystko. Nie oczekiwał już w napięciu przyjazdu Ganków, byłoby mu teraz nawet na rękę, żeby nie przyjechali. Poszedłby po kolacji zaraz spać.

Aniołek coś do niego mówiła, widział jej poruszające się usta, ale nie chciał mu się nawet jej słuchać. Ocknął się nieco, kiedy prawie krzyknęła:

- Mówię do ciebie. -Co?

- Że ci, co nie powinni, żyją jak ludzie. Czym oni na to sobie zasłużyli?

Niuniek z zainteresowaniem spojrzał na żonę.

- Nigdy nic takiego od ciebie nie słyszałem.

- A po co tu słowa. Wystarczy się rozejrzeć dookoła, żeby dojść do takiego wniosku.

- Kogo masz na myśli?

- Z tobą to nawet porozmawiać nie można - powiedziała urażona -ja do ciebie mówię, a ty jak ślup. Mówię, że niektórzy ludzie żyją sobie jak się patrzy. Niczego im nie brakuje, na wszystko ich stać. Rozbijają się po świecie, jeżdżą na wycieczki zagraniczne, a tu człowiek siedzi jak ta mumia, nosa nie wysadzi poza miasto.

Ubawiła go pretensja, z jaką wypowiadała te słowa.

- A dokąd chciałaś pojechać?

- Wszystko jedno. Byle gdzie. Nawet do Niemiec. Tam coś wywieźć, sprzedać, kupić i tu sprzedać. Sporo ludzi tak robi i z tego żyje.

-To jedź.

Gańkowie zwalili się całą rodziną. Gańko z żoną oraz ich córka Krycha ze swym mężem, świeżo upieczonym inżynierem budowlanym.

Gankowa, kobieta czterdziestoletnia z okładem, przy kości, wyglądem swym przywodziła na myśl bardziej antałek po piwie żywieckim niż jakąkolwiek postać ludzką. Tułów osadzony na pałkowatych nóżkach - pozostałość po nie leczonej w dzieciństwie „angielce” - zwieńczony jajowatą głową, przy byle poruszeniu kołysał się na boki niczym karzełkowaty manekin na szrudłach. Masywne ręce zakończone były rozbitymi pracą dłońmi o krótkich palcach i splekanych paznokciach. Natura obdarzyła ją puculowatą twarzą, w której tkwiły ciemne oczy, niczym przy-smalone paciorki, ufnie, po dziecięcemu, spoglądające na ludzi.

Gankowa, najniższa z obecnych, przy powitaniu z Aniołkiem wspięła się na palce i szczerze ucałowała ją w obydwie policzki, a następnie, jak to czyni większość kobiet, machinalnie poprawiła świeżo umyte, rozsypujące się włosy. Na pierwszy rzut oka z łatwością można się było domyśleć, że ona jest głową rodziny.

Gańko, jak każdy niemal człowiek społeczności wiejskiej pochodzący z Polski B, przyjechał w garniturze „jak z młodszego brata”. W kusych spodniach, ledwie, ledwie zakrywających cholewki trzewików, lnianej koszuli rozpiętej pod szyją i przyciasnej marynarce.

Na widok tego monstrum, Aniołek o mało nie wybuchnęła serdecznym śmiechem, powstrzymała się jednak i z

powagą pani domu podała Gańce rękę do pocałowania. W momencie powitania Niuniek zauważył na ręce Ganki tani zegarek z importu, z busolą, na pasku.

Krycha, dwudziestotrzyletnia córka Ganków, po szkole pielęgniarstwa, dziewczyna, jak to się mówi, „krew z mlekiem”, rozkochana była do granic nieprzytomności w swoim ślubnym. Za przykładem matki z największą rozkoszą ujarzmiłaby swego oblubieńca, ale on z gleby raczej piaszczystej, w niczym niepodobny był do gliny, z której ulepiony był jej rodzony tato.

Młoda dziewczyna ze swobodą przywitała się z gospodarzami, natomiast jej małżonek, inżynier bądź co bądź, jak przystało na inteligenta pierwszego pokolenia przywitał się oziębło. Z trudem ugiął karku przy pocałunku ręki Aniołka. Niuniekowi ścisnął dłoń do tego stopnia, że ten o mały włos nie wrzasnął z bólu.

Po ceremonii powitania, które miało miejsce w przedpokoju, Niuniek wskazał przyjezdnym łazienkę, ręcznik i mydło, i poradził żeby się obmyli z brudu po podróży.

Aniołek nie omieszkała wtrącić swego zdania:

- Ja zawsze myję ręce, czasami po kilka razy, kiedy wracam z miasta. Człowiek na każdym kroku dotyka tylu rzeczy, wita się z różnymi ludźmi, a wiadomo czym kto pachnie? Ludzie na ogół są roznośicielami wielu zarazków.

Po „toalecie” Niuniek, jako gospodarz, poprosił przyjezdnym w głąb mieszkania. Kiedy weszli do stołowego i każdy upatrzył sobie miejsce przy stole, inżynier jako budowlaniec rozejrzał się dookoła, zerknął na wybrankę, potem na Niunika i nie ukrywając zawiści, powiedział:

- Szczerze zazdroszczę państwu tego mieszkania. Takie mieszkanie, w takim punkcie, na dwoje bezdzietnych ludzi, to prawdziwy skarb.

- Proszę, siadajcie - Niuniek gestem wskazał krzesła.

Młodym nie trzeba było dwa razy powtarzać, starzy natomiast zajmowali swoje miejsca ostrożnie, jakby były one podłączone do sieci wysokiego napięcia lub też stanowiły swego rodzaju zapadnię.

Kiedy już wszyscy zajęli miejsca, Niuniek z uśmiechem wyciągnął rękę na środek stołu, gdzie między półmiskami zjedzeniem górowała butelka po koniaku „Matador”. Chwytał ją u spodu lewą ręką, prawą zaś z nie małym wysiłkiem zaczął odkręcać metalową zakrętkę.

- Tego jeszcze chyba żeście nie pili - powiedział. - Oryginalny „Matador”!

Niuniek, niczym czarodziej, błysnął przed oczami siedzących etykietą na butelce.

- Co to za wódka? - spytał Gańko.

- To koniak, tato - wyjaśnił inżynier.

- To się nazywa trunek! Niebo w gębie!

Niuniek zachwalał „łacką” takim głosem, jakby chciał powiedzieć: „Trzymajcie się, ludziska.”

- Ja tego nie piję - z przerażeniem powiedziała Gankowa i pulchną dłonią zakryła kieliszek.

- Co, mama zwariowała? - zwrócił się do niej inżynier.

- Tego dużo się nie pije, kochana - zapewniał Niuniek. - To za drogi trunek, żeby się nim upijać. Tym człowiek się delektuje. Niechże pani weźmie tę rękę z kieliszka.

Po tym przemówieniu Gankowa pozwoliła nalać sobie trochę bimbru na dno kieliszka, a po minucie, kiedy wzniesiono toast za zdrowie przyjezdnym i gospodarzom, na twarzy Gankowej wystąpił rumieniec koloni źle wypalanej cegły.

- No i jak? - zwrócił się do niej Niuniek.

- Ja nie zwyczajna, panie Bało. Jak raz na rok wypiję kieliszek, to wszystko. Mój stary, to co innego.

Aniołek zachęcała do jedzenia.

- Proszę się częstować. Niech każdy bierze to, na co ma ochotę. Wszystko trzeba zjeść, nic tu nie może się zmarnować. Świń nic mamy.

I do Gankowej:

- Niechże pani je, pani zmęczona podróżą.

Po wykończeniu „Matadora”, Niuniek pobiegł do kuchni po posiłki. Przyniósł karafkę winiaku.

- Teraz spróbujemy polskiej wódeczki - oznajmił rozochocony Niuniek. - Co jak co, ale wódeczkę mamy doskonałą, i nie tylko wódeczkę. W świecie słyniemy z trzech rzeczy: polskiego żołnierza, polskiej wódki i polskich dziewczyn. Polki zawsze miały i mają powodzenie, nawet u cudzoziemców. Kiedyś wyczytałem w gazecie, że podczas najazdu tureckiego najlepsze w miłości były polskie branki. Do dziś podobno zachowały się sułtańskie kroniki, w których jest mowa, że nasze białogłowy nie miały w tych rzeczach sobie równych.

- Co ty za głupstwa wygadujesz, Niuniek! - odezwała się zgorziona Aniołek. - Stary chłop, a tak bredzi. Nie dziwiłabym się młodemu. Wstydzilibyś się. Nie jesteś sam, są kobiety.

- Jesteśmy dorośli, dzieci tu nie ma - odparł Niuniek.

- No, tego by jeszcze brakowało: dzieci, wódka i gadanie o głupstwach.

- Wolę gadać o tych rzeczach niż o polityce.

- Te sprawy nie są takie głupie, jakby się mogło wydawać - poparł Niunika inżynier. - Ja na przykład nigdy nie słyszałem, że o Polkach pisano w tureckich kronikach. Zgadza się z panem Bało, że Polki mają powodzenie. U

mnie na roku było kilka dziewczyn, zresztą bardzo ładnych, które nie chciały mieć kontaktu z Polakami, a uganiały się za Murzynami, Arabami i turystami.

Aniołek spojrzała z nieukrywaną nienawiścią na inżyniera.

- Jest pan jeszcze młody - powiedziała, siląc się na spokój - pożyje pan, zmieni pan zdanie na wiele rzeczy.

- Jestem człowiekiem już ukształtowanym. -I co z tego? Ile pan ma lat?

Inżynier nie od razu odpowiedział. Odczekał chwilę, jak przed podjęciem życiowej decyzji.

Niuniek ponownie nalał w kieliszki wznosił toast:

- Niech żyją nasze białogłowy!

Mężczyźni opróżnili swoje kieliszki, kobiety wypily tylko do połowy.

- Ty, Niuniek, przyhamuj z tym pić - upomniała go Aniołek. - Ubzdryngolisz się i będzie po herbacie. A propos, kto z państwa napije się kawy, kto herbaty? Ręka do góry, kto kawę?

Jedna tylko Gankowa poprosiła o herbatę. Siedziała milcząca przy stole, z wypiekami na twarzy. Aniołek kilka razy na próżno usiłowała nawiązać z nią rozmowę, wreszcie dała za wygraną. Kobieta od lat przyzwyczajona do wczesnego kładzenia się i rannego wstawania, zmęczona podróżą, najedzona do syta, ledwie siedziała na krześle, resztkami sił usiłując dotrzymać towarzystwa. Jednak zmęczenie było silniejsze, bo ani się spostrzegła, kiedy oczy same jej się zamknęły. Zdrzemnęła się na minutę, co nic uszło uwagi Aniołka. Podniesiony głos Niuńka obudził ją. Gankowa poruszyła się, pociągnęła nawet łyk herbaty, żeby się rozbudzić, ale na niewiele to się zdało. Co chwila zapadała w drzemkę, a Aniołkowi, która to wszystko widziała, nie wypadało powiedzieć, żeby położyła się w drugim pokoju, bo byłoby to równoznaczne ze stwierdzeniem, że jest już późno i należy kłaść się spać.

Aniołek przestała obserwować Gankową i wdała się w rozmowę z Krychą.

- Dawno jesteście po ślubie? - spytała Aniołek, jakby to miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie.

- Już sześć miesięcy - odparła z dumą Krycha. - Za dwa miesiące powinniśmy rodzić. A w ogóle, to przed ślubem kolegowaliśmy się z Heniem przez trzy miesiące.

- Jak na sześć miesięcy ciąży, to pani wygląda bardzo, ale to bardzo ładnie - stwierdziła Aniołek ku zadowoleniu Krychy. - Wcale po pani nie widać, że jest pani ciężarna.

- A państwo macie dzieci? - spytała Krycha.

Aniołek spojrzała na nią zaskoczona pytaniem. Krycha szybko zorientowała się, że popełniła nietakt. Myślała już, jak naprawić błąd, kiedy Aniołek widząc jej zakłopotanie, przysłała z pomocą:

- Urodzić jakiegoś bękarta? A po co nam to? Dzieci są dobre u sąsiadów. Dziś, w moim wieku, nie zniósłabym krzyku małego dziecka.

- Ja się z panią nie zgadzam - zaproponował inżynier, który nagle wtrącił się do rozmowy. - Uważam, że dziecko zawsze pozostanie dzieckiem.

- Racja - powiedziała Aniołek - tylko sądzę, że u wielu ludzi okres dojrzewania przedłuża się do samej starości. Ile pan ma lat? -powtórzyła pytanie.

- Dwadzieścia dziewięć.

- A nieprawda, bo dwadzieścia siedem - sprostowała Krycha. - Jak dziecko, zawsze dodaje sobie lat. Zapuścił włosy, wąsy, brodę, żeby starzej wyglądać.

- Jeszcze jest młody - pocieszyła ją Aniołek. - Nie ma się czym przejmować. Z czasem wyrośnie z tego, a póki co, jaskiniowcy są w modzie.

Inżynier zamilkł, Aniołek również. Przy stole na moment zapanowała cisza, którą przerwał Niuniek.

- Aniołku - powiedział - zrób mi jeszcze kawy.

- Zrobię ci herbaty. Na noc pić tyle kawy to niezdrowo. Nie zaśniesz.

Niuniek nic nie odpowiedział. Wstał od stołu i przeszedł do kuchni, skąd po chwili wrócił z puszką soku grapefruitowego.

- To jest też dobre - stwierdził. - Komu nalać?

Nie czekając na zgodę biesiadników, wlał każdemu do kieliszka po wódce.

- No to zdrowie karmiących matek - wznosił toast. Wypili sok, popili wódką.

- A jak wam się żyje na wsi? - Niuniek niespodziewanie zwrócił się do Ganki.

Gańko w zakłopotaniu potarł ręką czoło. Chwilę się zastanawiał, a potem z wolna, jakby z niechęcią, zaczął opowiadać Niuńkowi o życiu na wsi.

- Ano, żyje się jakoś - zaczął Gańko. - Jak to na wsi. Roboty zawsze huk, od świtu do nocy. Przez cały tydzień człowiek chodzi jak w kieracie. W niedzielę trochę się odpoczywa, ale też niewiele, bo bydlę trzeba nakarmić, trzodę, piórowate, no i sam człowiek też musi coś zjeść. Jednym słowem chłop dziś na wsi ma lepiej niż kiedykolwiek. Czasem się narobi, a czasem nie. Chłop ma teraz wiele do gadania, nie to co kiedyś. Chłop ma traktor do roboty, a robotnikowi po co w mieście traktor, dokąd nim będzie jeździł? Chłop do traktora ma przyczepę, narzędzia. Chłop w oborze ma krowę, a robotnik? Minęły czasy, kiedy w wieżowcach trzymano świnię w łazienkach. Chłop od krowy ma mleko, już nie musi kupować mleka w sklepie, ma kury, jaja, owoce są darmo, kartofle. Chce mięsa? Świniaka zabije, ma schab, szynkę, kurę może zarznąć, cielaka. Chleba nie opłaca

się piec, bo codziennie jest świeży w geesie. Robotnik nic nie wyniesie z fabryki, bo pójdzie do ciupy, a ja z pola mogę wziąć, co mi się podoba i nic nikomu do tego. Chcę postawić oborę czy chlewnię - idę do banku, biorę pożyczkę na materiał i buduję. Ot, co. Lekarza mam za darmo. Przychodzi na ten czas kłeska. A niech przychodzi, co mi tam. Czort z nią! Gradobicie, powódź czy susza, wszystko jedno. Dajmy na to powódź: woda zabiera mi z pola snopy żyta czy pszenicy. Pies ją drapał. Ja patrzę tylko, żeby mnie nie zabrała. Po powodzi przychodzi susza, a wraz

z nią likwidator szkód. Ja witam go w progu obejścia jak rodzzonego brata. Flacha wjeżdża na stół i coś gorącego. Jak jest fajny chłop, to dopisze coś od siebie i szafa gra. Nazajutrz jadę z kwitem do PZU. Tak, Niuniuś kochany, to nie ta sama wieś co kiedyś, że chłopą zamykali za „ziarka”. Chłop dzisiaj jest panem. Potrzeba mi pieniędzy? Sprzedaję morgę golizny jakiemuś z miasta i są pieniądze. Jakby na wsi było tak źle, to by nie uciekali z miasta na wieś. Przyjedziesz w lecie z żoną, to zobaczysz na własne oczy. Wszyscy się budują na potęgę. Stare, drewniane rudery rozwalają i stawiają nowe z cegły. Jest ciepła woda, gaz, łazienka, telewizor. Popatrz w telewizji, jak się chłopci budują i co mówią. Była nędza, a co jest? U nas we wsi jest siedemnaście samochodów na trzydzieści cztery gospodarstwa. Trochę gorzej jest z życiem kulturalnym, ale z tym i w mieście, prawdę mówiąc, nie jest najlepiej. To samo nadają w telewizji dla was, co i dla nas.

Mamy klubo-kawiarnię. Po pracy, kto chce, a chcą prawie wszyscy, może spotkać się przy małej czarnej, pogadać

o tym i owym, posłuchać muzyki z płyt. Starzy grają sobie w warcaby i szachy, młodzi bębnią w ping-ponga, aż kura idzie, inni ćwiczą na instrumentach muzycznych, aż łeb pęka. No, i tak to jest, Niuniuś.

Gańko z gospodarską troską w głosie opowiadał o życiu swojej wsi, a kiedy skończył, sięgnął po papierosy leżące przed nim na stole.

- O, nie - powstrzymał go Niuniuś. - Jesteś moim gościem, Józiu. Pozwolisz, że ja cię poczęstuję. Przygotowałem coś ekstra na tę okazję.

Niuniuś sięgnął do kieszeni i wyciągnął paczkę papierosów w celofanie. Obejrzał pudełko ze wszystkich stron, choć oglądał przy kupnie w „Delikatesach”, odpieczętował i pstryknął palcem serdecznym w denko. Z pudełka wysunął się do połowy elegancki papieros z filtrem.

- Dunhill - powiedział Niuniuś. - Amerykańskie. Nigdy ich jeszcze nie paliłem. Raz trzeba spróbować.

Niuniuś poczęstował Gańkę, inżyniera i sam zapalił. Gańko od lat przyzwyczajony do sportów, zaciągnął się i zaniósł suchym kaszlem. Łzy popłynęły mu do oczu.

- A niech to cholera - zaklął i z jakąś złością spojrzął na papieros.

- Jak ci nie smakują, Józefku - powiedział Niuniuś - to zgaś i zapal swojego.

Gańko nie należał do ludzi, którzy od razu się załamują. Pociągnął jeszcze dwa razy nie zaciągając się.

- Tego świństwa nie da się palić - stwierdził i zapalił sporta.

- Tacie nie smakują te papierosy - odezwał się inżynier - bo tata nie wie, co dobre. Dla taty najlepsze są sporty, bo „sport, to zdrowie”.

Gańko spojrzął na zięcia takim wzrokiem, jakby miał na końcu języka słowa: „Ty gnojku zasrany, jaki ja dla ciebie tato?”

Powiedział natomiast, co wszyscy usłyszeli:

- Nie dadzą się palić przez te perfumy.

- Nie dokończyłeś, Gańko, o tym, jak wy tam żyjecie.

- A co tu kończyć? - zastanowił się Gańko, co by jeszcze powiedzieć. - W tej klubo-kawiarni dyskutujemy nad tym, cożeśmy zrobili do tej pory, co jest, a co by się jeszcze przydało. Wszyscy chętni są do roboty, bo wiedzą, że robią dla siebie. Przyjeżdżają różni prelegenci z odczytami, słuchamy ich, potem rozmawiamy z nimi. Raz był nawet jakiś literat, Domański, czytał nam swoje wiersze, owszem, nie powiem, potem długo mówił nam o Fredrze i Wyspiańskim, zahaczył o Mickiewicza, wziął pieniądze i odjechał. Niepotrzebnie mówił nam o tym Fredrze i Mickiewiczu, bo to bez przerwy w telewizji wystawiają, aż się rzygać chce. To chyba wszystko.

- Rozumiem - powiedział Niuniuś. - Jednym słowem na nadmiar kultury nie narzekacie.

- Raz nawet była u nas Rodowicz ze swoim zespołem i śpiewała tę swoją piosenkę: „Och, jakbym chciała damą być”. Ludzie do dzisiaj ją wspominają. Dzieciarni rozdawała swoje podpisy.

Inżynier znudzony opowieścią teścia, wyciągnął z kieszeni nowego „Szaradzię”, długopis, i gdzieś od środka zeszytu począł rozwiązywać krzyżówkę. Bez reszty oddał się rozrywce, ale co chwila zwracał się do zebranych o pomoc.

- Powiedźcie mi państwo, jak się nazywa rzeźbiarski młotek drewniany. Zaczyna się na „ka”, a kończy na „1”. Sześć liter.

- Na „ka”? Sześć liter? - łamał sobie głowę Niuniuś. Spojrzął na Aniołkę, która robiła dobrą minę do złej gry. - Kiedyś wiedziałem, wiem o co panu chodzi. Taki drewniany okrągły młotek.

- Może inaczej. Więzienie na osiem liter? Też zaczyna się na „ka”.

- Kryminał - odezwała się niepewnie Aniołek.

- To by się zgadzało - powiedział uradowany inżynier.

- Kazamaty też mogą być - podsunął Niuniek.

- Niech będzie kryminal - powiedział inżynier i wpisał kryminal w puste pola.

Na tym się urwało. Zebrani nie byli w stanie pomóc inżynierowi w rozwiązywaniu krzyżówki. Zniechęcony więc schował „Szaradziście” do kieszeni. Niuniek zwrócił się do niego z pytaniem.

- A co pan, inżynierze, myśli robić na wsi ze swoim wykształceniem?

- Wszystko przemyślałem, panie Niuniku. Od początku do końca. Przejmę ziemię teścia i wezmę się za gospodarowanie. Specjalizacja, to jest to, na co obecnie trzeba się nastawić. Trzeba iść z prądem, a nie odwrotnie. W ciągu trzech miesięcy zakręcę się przy papierach technika-rolnika. Kiedy będę miał już papiery w kieszeni, wtedy wystąpię z podaniem do banku o pożyczkę na rozwój hodowli trzody chlewnej. Świnie nam są potrzebne, panie Niuniku. Należy stawiać na świnie i świnie popierać, laki widzę początek. Zaprojektuję i postawię chlewnię na jakieś dwieście sztuk.

- Powiadasz pan...specjalizacja.

-Tylko! Ogląda pan czasem w telewizji, jak pokazują chłopca. Co on mówi o gospodarowaniu? Jak ktoś ma łeb na karku, wie jak podejść, z której strony, ten nic zginie. Szybko upora się z trudnościami. Wszyscy pójdą mu na rękę i będą pokazywać go jako wzór gospodarności. Wszystko można zrobić, panie Niuniku, tylko trzeba chcieć i umieć.

- No, z tego co pan mówi, to ma pan wielkie plany -przyznał Niuniek.

- Są warunki, żeby postawić wieś do góry nogami. Do niedawna ludzie uciekali ze wsi do miasta, teraz jest odwrotnie. Chętnie wróciliby na wieś, ale przyzwyczaili się do miasta. Zdobyli jaką-taką pozycję w pracy, a nawet wysokie stanowiska, i tego wszystkiego nie mogą od razu rzucić, ot, tak sobie, zlikwidować, spakować mancie i wrócić na wieś.

- Cieszy mnie, że ma pan tyle zapału - powiedział Niuniek. -Jest pan młody, ma pan młodą żonę, życie przed wami. Rodzice, dopóki będą mogli, to zawsze wam pomogą.

- A co tam będzie do pomocy? Co tylko będzie możliwe, to się zmechanizuje. Karmę będą rozprawdzać podajniki, coś się wykombinuje, żeby uprzętało nawóz, z pod-ściółką to samo.

-'łacie, za jakiś rok, dwa, kiedy dobrze się podstarzeje, a ja już stanę na nogi, załatwię posadę gminnego inseminatora. Będzie miał na starość odpowiednie zajęcie. Robota lekka, nasienie mu dostarczą do domu i czego jeszcze można żądać.

- Ja nie będę żadnym inseminatorem - stanowczo sprzeciwił się Gańko. - To nie dla mnie robota. Nie będę na stare lata krów zapładniał. Wystawiłbym się na pośmiewisko ludzi.

- Pieniądze nic śmierdzą- zauważył cierpko inżynier.

- To też trzeba umieć robić, robota delikatna, byle kto tego nie zrobi. Poślemy tatę na kurs, a po kursie tata będzie miał roboty po uszy. Będzie miał swoje pieniądze na drobne wydatki.

Niunikowi niespodziewanie strzelił do głowy niecodzienny pomysł, może pod wpływem alkoholu, a może znudziły go projekty inżyniera.

Podniósł się od stołu i sztywnym krokiem podszedł do regału, na którym stało kilka ozdobnych świec. Wybrał z nich trzy najefektowniejsze i postawił na stole pomiędzy półmiskami z jedzeniem, zapalił, a potem zgasił światło.

- Tak będzie o wiele przyjemniej - stwierdził. - Tego nie było w programie, to przyszło samo.

- Party przy świecach - powiedziała Aniołek.

Następnym gwoździem programu była muzyka. Niuniek podszedł do adaptera i wybrał ze sterty płytę w wykonaniu Kunickiej. W mieszkaniu rozległ się głośny śpiew, który zupełnie zagłuszył rozmowy biesiadników.

- Wyłącz ją! - rozkazała Aniołek. - Nastaw coś lepszego.

Długo szukał „czegoś lepszego”, aż wreszcie znalazł. Z głośników popłynęły dźwięki „Lakomparsyty”.

Niuniek poderwał z siedzenia Aniołka. Przycisnął ją mocno do siebie i poprowadził w rytm tanga po rozestanych gazetach krokiem wytrawnego fordansera.

- Uważaj na podłogę, żebyś szpilekami nie porysowała

- upomniał.

Aniołek tak lawirowała, że podczas całego tańca ani razu nie stanęła pantoflem na gołej podłodze. Za przykładem gospodarzy ruszyli w tany młodzi. Przy stole pozostał Gańko z rozspaną żoną.

Gdzieś w połowie płyty ostry głos dzwonka u drzwi wejściowych popsuł nagle nastrój biesiady. Tańczący zamarli w pół obrotu. Ktoś uparcie dobijał się do drzwi. Zaskoczony niespodziewanym gościem, Niuniek spojrzął na Aniołka, na inżyniera i jego żonę, uśmiechnął się nawet do nich jakoś uniżenie, przepaszająco, i jak zawsze w nie-szczęściu jest szczęście, tak i teraz się stało. Wypity alkohol dodał Niunikowi odwagi. Poprawiwszy włosy i krawat, dziarsko ruszył do przedpokoju, a za nim podążyła Aniołek. Po cichu, na palcach, podszedł do drzwi i ostrożnie wyjrzał przez wizjer. Aniołek stanęła tuż za nim tak, że czuł jej rozgrzany oddech na karku.

Za drzwiami stał w pidzanie jakiś rosły mężczyzna w sile wieku, a obok niego kobieta, odziana tak jakby przed chwilą wyskoczyła z pościeli, z włosami zakręconymi na wałki.

- Dzwon, Zenek - usłyszeli stanowczy głos kobiety. Choć pora nie była jeszcze późna, to Niuniek wyczuwał, że wizyta ta nie wróży nic dobrego. Nic było innego wyjścia, jak tylko otworzyć drzwi przybyszom i zapytać, o co

chodzi. Gestem dał znak Aniołkowi, ażeby wróciła do pokoju, a kiedy to uczyniła, Niuniek chrząknął w kulak, zabezpieczył drzwi łańcuchem jak przed złodziejami i dopiero wtedy otworzył. Przez powstałą szparę spytał przybyłych, czego sobie życzą.

- Jesteśmy sąsiadami - odparł mężczyzna. - Chcielibyśmy z panem zamienić kilka słów.

- Ze mną? - zdziwił się Niuniek.

- Oczywiście - powiedział mężczyzna. - Ale krępuje nas takie traktowanie. My na klatce, pan za drzwiami.

Niuniek odbezpieczył drzwi z łańcucha, wpuścił nieznanym do przedpokoju i to go zgubiło. W przedpokoju sprawy potoczyły się błyskawicznie. Nieznajomy przedstawił się Niuńkowi.

- Minkowski jestem, a to moja żona.

- Słucham państwa - powiedział Niuniek uprzejmie, z życzliwym uśmiechem na twarzy.

Przybyłym ten uśmiech wystarczył za wszystko, zwłaszcza mężczyźnie, który, jak się można było domyśleć, był nie najgorszym psychologiem.

W powietrzu wisiała sensacja, której Niuniek nie mógł przewidzieć, no bo w jaki sposób, a tym bardziej nic był w stanie jej zapobiec.

Kobieta jak kobieta, w średnim wieku, nic specjalnego, w tłoku by uszła. W twarzy, oprócz wytatuowanej kropki na wysokości lewego oka, miała coś niepokojącego. Kobieta czekała na słowa męża. Z jego ust na głowę Niuńka lada chwila miały posypać się słowa mowy ojczystej, cięższe od kamieni, wypowiedziane krótko i dobitnie, w uniesieniu i poparte gestem tak, ażeby sąsiedzi zamieszkujący tę klatkę schodową wybiegli w odpowiednim momencie ze swych mieszkań i posłuchali, co jej mąż miał do powiedzenia Niuńkowi na temat stosunków dobrosąsiedzkich.

- Bardzo mi przyjemnie poznać państwa - powiedział Niuniek i z szacunkiem ucałował rękę kobiecie.

Minkowski nic krępując się swego ubioru, zajrzał do pokoju, gdzie w półmroku przy migotliwym blasku świec siedzieli Gańkowie i Aniołek.

- Bece - powiedział Minkowski. - To ja widzę tutaj większe towarzystwo! Czemu siedzicie po ciemku? Prąd wam wyłączyli czy co?

Zaskoczeni biesiadnicy z nieukrywaniem zdziwieniem przyjęli przybyłych, a inżynier powiedział nawet:

- No, panie Niuniek, coraz bardziej pan mnie zaskakuje. Jak widzę to humor pana nie opuszcza. Świece były, przebierańcy są, ciekaw jestem, co pan nowego jeszcze wymyśli.

Minkowski zerknął na inżyniera i wycodził przez zęby.

- Te! Uspokój się lepiej! - a do Niuńka: - Widzę, panie kolego, żeście sobie urządzili bibkę!

- Mała uroczystość - wyjaśnił Niuniek nieśmiało.

- Bardzo ładnie - pochwalił Minkowski - party przy świecach. Teraz rozumiem skąd te hałasy i wrzaski, które nic pozwoliły mi oka zmrużyć.

- Pan wybaczy, drogi kolego - zaproponował Niuniek.

- Chciałem panu wyjaśnić - zaczął Minkowski zwracając się do Niuńka - jestem pracownikiem państwowym i od lat chodzę do pracy na oznaczoną godzinę. Jak do tej pory zwierzchnicy nigdy nie mieli do mnie o nic pretensji, nawet tyle co brudu za paznokciem, i nic chciałyby, żeby mieli przez was. Od trzech lat pracuję na noc, a raz w miesiącu mam jedną wolną i właśnie dzisiaj, kiedy mam te jedną wolną noc i powinienem spędzić ją z żoną, jak nakazuje Kościół, to pan, panie kolego, wydaje przyjęcie na cześć jakichś tam kmiotów! Nie mogę.

Zdenerwowałem się! Muszę się czegoś koniecznie napić.

Minkowski wymownie zerknął na stół.

- Może herbaty? - spytał Niuniek.

Minkowski spojrział na Niuńka jak na niedorozwinięte dziecko.

- Herbaty? - zdziwił się. - Kto dzisiaj pije herbatę?

- Może kieliszek czegoś mocniejszego dobrze panu zrobi? - zaproponował nieśmiało Niuniek.

Minkowski złożył usta w ciup, przymrużył oczy i jakby przez chwilę zastanawiał się nad propozycją Niuńka.

- A wie pan, może pan ma nawet rację. Niuniek przyniósł z kuchni czysty kieliszek.

- Oooo - odezwał się z niezadowoleniem Minkowski. - Pan wybaczy, drogi kolego, ale ja nie jestem przyzwyczajony do picia z naparstków. Lubię pić po męsku. Może być szklanka albo angiela. Oczywiście sam nic będę pił. Napijiesz się ze mną, Lidka! - zwrócił się do żony.

- Z tobą zawsze - odparła pani Lidka.

Niuniek przyniósł z kuchni dwie setki z cienkiego szkła i nalał w nie z butelki stojącej na stole.

- Zdrowie obecnych!

Minkowski trącił się z żoną i Niuńkiem, siedzącym powiedział: „szulim” i jednym haustem opróżnił kieliszek.

Pani Lidka poszła za przykładem męża. Minkowski po wypiciu, zamiast przekąsić, powąchał wierzch dłoni, w której trzymał kieliszek.

- Proszę przekąsić - powiedziała Aniołek podsuwając talerz z zakąskami.

- Po pierwszym nie przekąszam - powiedział Minkowski. Pani Lidka spojrziała na talerz. Nie mogła jakoś zdecydować się, wreszcie wybrała kanapkę z polędwicą.

- Gdzie pani dostała polędwicę? - spytała, zwracając się do Aniołka.
- Jak to gdzie? - zdziwiła się Aniołek. - Pełno jest w sklepach. Polędwicy, szynki, baleronu. Czego tylko dusza zapagnie. Żeby tylko pieniądze były.
- Ma pani jakieś chody?
- Broń Boże! Żadnych. Proszę, niech pani usiądzie - powiedziała Aniołek robiąc jej miejsce obok siebie.
- Nie, dziękuję. W pracy wysiedzę się, że aż mnie, za przeproszeniem, tyłek boli.
- Aaaa...
- Ja nigdy państwa tutaj nie widziałam, a mieszkam tu od dziesięciu lat.
- A my od pół roku - powiedziała Aniołek.
- No, to panie kolego - zabrzmiał głos Minkowskie-go. - Polej pan na drugą nogę. Późno się robi, czas spać.
- Dopiero piętnaście po dziesiątej - zauważył Niuniek.
- Lidka, napijesz się?
- Chętnie.

Niuniek nalał wszystkim w kieliszki. Znowu wzniesiono toast. Tym razem pito zdrowie gospodarzy. Aniołek zapaliła światło. Zgaszono świece i odstawiono je na miejsce. Adapter sam dawno się wyłączył. W blasku światła elektrycznego Minkowski przyjrzał się uważniej obecnym.

Jego spojrzenie zatrzymało się na Gańce, jego niemodnym ubraniu, ogorzałej twarzy i spękanych rękach. Minkowski podszedł do Ganki z kieliszkiem w ręku.

- Ja - powiedział z uśmiechem - napiję się z ojczulkiem. Nigdy w życiu nic piłem jeszcze z soltysem! Wypijemy za sojusz robotniczo-chłopski.

Gańko obojętnie spojrzał na Minkowskiego, który uniósł kieliszek do góry.

- No - ponaglił Minkowski.

- Jestem starym ludowcem i z gówniarzami nie będę pił wódki.

Śmiała odpowiedź Ganki zmroziła Minkowskiego. Spróbował nawet uśmiechnąć się do żony i Niuńka, ale uśmiech ten wypadł bardzo blado.

- Mówi się trudno — powiedział pogodzony z losem i sam wychylił kielicha.

Po ripoście Ganki wszyscy zamilkli. Spodziewali się najgorszego, i co śmieszniejsze, że podobnie myśleli Gańko i Minkowski.

- Drogi sąsiedzie - odezwał się Niuniek.

- Nie jestem pańskim sąsiadem - uciął krótko Minkowski. - Nigdy przedtem nie widziałem pana w tym mieszkaniu, a byłem tu nic raz i nie dwa. Znam tu każdy kąt. Chociaż, o ile dobrze sobie przypominam, spotkałem pana w zeszłym roku na jesieni na dole przy wejściu. Prowadziliście się pod rękę z tym łachmytą Kowalczykiem, który wręczył panu klucze do tego mieszkania. Kowalczyk to stary hochsztapler. Najpierw daje komuś klucze do swego mieszkania, mówi, że wyjeżdża na dwa, trzy dni, na ten czas melinuje się u swojej przyjaciółki, a potem powiada, że ten ktoś go okradł do imentu. Grozi milicją, a frajer, bojąc się prawa i kompromitacji, płaci za swoją głupotę jak za zboże. Tak, tak, panie kolego - powiedział Minkowski na zakończenie.

Po tyradzie Minkowskiego Aniołka ogarnęły nagle czarne myśli. Niemal z nienawiścią spojrzała na Ganka.

Dopiero teraz w jego twarzy dostrzegła chytre ślepkę, czego przedtem nie zauważyła. Spojrzała na jego żonę walczącą z maligną, córkę pozbawioną wszelkich cnót kobiecych, nadmiernie rozrośniętą, i jej głupkowatego męża.

Spojrzała na swojego. Wyraźnie unikał jej wzroku. Aniołek doskonale znała strusi charakter Niuńka. Wiedziała doskonale, co w tej chwili czuje i myśli. Uprzednie napięcie nerwowe opuściło go nagle. Nawet wypity alkohol przestał działać, Niuniek oklapł i zdał się na łaskę losu.

W tej sytuacji, zdawałoby się bez wyjścia, w Aniołka wstąpił bies. Przejęła inicjatywę w swoje ręce.

- No, drodzy państwo - powiedziała głosem uprzejmym, lecz stanowczym zwracając się do Minkowskich - było nam bardzo miło, ale nadeszła pora rozstać się. Późno się zrobiło. My też chcemy wypocząć.

Minkowski, u boku którego stanęła pani Lidka, spojrzał zimno na Aniołka. Kobieta bez mrugnięcia powiek patrzyła mu prosto w oczy. Nic wytrzymał jej spojrzenia.

Minkowski szybko ocenił sytuację i pozycję na jakiej się znalazł. Bez określonego uśmiechu i z wymuszoną grzecznością zwrócił się do Aniołka z prośbą:

- Pozwoli pani skorzystać z telefonu?

Aniołek przez chwilę zastanowiła się, jakby ważyła w myślach swoją decyzję.

Minkowski powtórzył pytanie już nic tak pewny siebie.

- Dzwon pan - odezwała się krótko, jak do kogoś w kolejce do automatu.

Skinieniem głowy wskazała Minkowskiemu aparat. Podszedł do telefonu i z pamięci nakręcił numer. Niemal natychmiast odezwał się skrzekliwy głos w słuchawce.

- Komenda? - spytał Minkowski. Znowu zatrzeszczało w słuchawce.

- Chciałem mówić z porucznikiem Kozłowskim - powiedział Minkowski. - Ach to pan! Mam szczęście! Kto mówi? Ha, ha, ha - zaśmiał się Minkowski. - Nic poznaje mnie pan? To ładne! „Złota buźka” mówi, panie

poruczniku. Nic się ze mną nie dzieje. Pracują nad sobą, jak mi pan porucznik radził. Panie poruczniku, zgłaszam interwencję! W moim domu jacyś ludzie urządzili sobie pijaństwo. Spać mi nic dają! Kiedyś, dałbym powąchać im loki, ale za pana namową zszedłem już z tej drogi. Chcę żyć spokojnie i pracować dla dobra ojczyzny. Niech pan przyśle jakiś patrol. Adres pan zna. Dobranoc. Życzę spokojnego dyżuru.

Minkowski odłożył słuchawkę i spojrzął na żonę.

- Zaraz przyjadą- powiedział. Będzie spokój. Idziemy spać, Lidka. Dobranoc państwu.

Nikt nie odpowiedział. Wyszli w milczeniu. Po ich wyjściu nikt jakoś nie miał odwagi odezwać się pierwszy.

Zupełnie załamany Niuniek nalał sobie wódki do szklanki po herbacie i zapalił papierosa. Zdawał sobie sprawę, że koniecznie musi coś powiedzieć. Obecni to wyczuli.

- Nic nie mów - odezwał się znieca Gańko. - Wszystko wiemy. Jest jak jest i inaczej nie będzie. Dla mnie to nawet na rękę, że tak się stało, a nie inaczej.

- Co ty pleciesz, Gańko? Co ci jest „na rękę”?

- Bo widzisz, Niuniek, zaszła drobna pomyłka. Pamiętasz list, który ci przysłałem, gdzie ja stoję na fotografii, moja rodzina i sąsiedzi?

- Mam tę fotografię przy sobie - powiedział Niuniek. Sięgnął do portfela, wyszukał zdjęcie, przyjrzał mu się uważnie i przez stół podał Gańce. Gańko na widok odzyskanej fotografii uśmiechnął się z zadowoleniem.

Obejrzał ją z obydwu stron. Nie była nigdzie załamana.

- Bo widzisz, Niuniek - powiedział Gańko chowając fotografię do portfela - zaszła drobna pomyłka. Ten samochód i ta willa to naszych sąsiadów. Tych, co stoją obok nas. Oni chcą wysłać to zdjęcie do krewnych za granicę. Ile o ten kawałek papieru było gadania, to nie masz pojęcia.

- Ja myślałem, że to twój samochód i dom - powiedział zawiedziony Niuniek.

- Na taki samochód i dom to trzeba mieć pieniądze - wyjaśnił Gańko.

- To gdzie ty nas przyjmiesz, jak przyjedziemy na urlop? - zaniepokoił się Niuniek.

- Miejsca jest dość - zapewnił Gańko. - Jak będziecie chcieli spać w izbie, to proszą bardzo, a jak nic, to w stodołę na świeżym sianie.

- Człowieku! - zawołał Niuniek. - Na stare lata do stodoły? Dawno przestałem być harcerzem.

- W takim razie będziecie spać u sąsiadów. Załatwię to. Do nas będziecie przychodzili na posiłki.

- No, ładnych rzeczy ja się dowiaduję! - powiedział Niuniek z wyrzutem. - Bajera na bajerze jedzie i bajerem pogania.

- Moja chałupa to jest ta, popatrz. - Gańko wyciągnął z portfela pośliską fotografię. Niuniek długo przyglądał się zdjęciu.

- Przecież to jakaś stodoła!

- A dymu nad poszyciem nie widzisz?

Niuniek w milczeniu oddał Gańce fotografię i ze skwaszoną miną nalał w kieliszki. Wypili na dobranoc i wtedy, po raz drugi tego wieczoru, rozległ się dzwonek.

Tym razem nic było żadnych wątpliwości kogo Bóg prowadzi.

- Idź, otwórz - powiedziała Aniołek do Niuńka.

Do mieszkania weszło dwóch rosłych, umundurowanych milicjantów. Obydwaj byli w stopniu sierżantów.

Uważnie rozejrzeli się po mieszkaniu, stole i obecnych.

- Co tu się dzieje? - zapytał starszy wiekiem.

- Jak pan widzisz - powiedział Niuniek. - Nic.

- Było doniesienie.

- Łobuz doniósł - odezwała się poirytowana Aniołek.

- Wiemy - zgodził się milicjant. - Łobuz nic łobuz, ale jest „na prawie”. Jest u siebie, nie awanturuje się, śpi we własnym łóżku. Nikt na niego doniesienia nie złożył.

- Kto jest właścicielem mieszkania? - spytał.

- Wyjechał - powiedział Niuniek. - Chwilowo ja się opiekuję.

Milicjanci wylegitymowali obecnych, spisali personalia.

- Co z tego będzie? - spytał Niuniek.

- Warn nic - powiedział sierżant. - Właściciel będzie miał nieprzyjemności, że z mieszkania odpłatnie zrobił melinę.

Źle zakończył się tak dobrze rozpoczęty wieczór. Po wyjściu milicjantów, wszyscy udali się na zasłużony odpoczynek. O świcie Gańkowie, nie chcąc budzić Niuńka i Aniołka, bez pożegnania, cichaczem ulotnili się z mieszkania.

Świca

Na drugi dzień po świętach przy budzie z piwem u Ślepego Olka spotkałem Stefana Cykuladę. Stał w waciaku, gumiakach i uszance na głowic. Jego księżycowy uśmiech pokryty był kilkudniowym zarostem, pod niskim, mocnym czołem w wąskich szparkach głęboko tkwiły bure ślepka o przekrwionych białkach. Cykulada miał swój świat. Ludzkie sprawy go nic obchodziły, a ze swoich też nikomu się nie zwierzał. Nie był wylewny ani małomówny. Był w sam raz. Po tym świecie chodził sobie tylko znanymi ścieżkami

i nikt do niego nic miał o to pretensji. Dzielnicowy Tufta dawno już dał mu spokój, bo Cykulada był na wymarcu i nie nadawał się do żadnej roboty. Przywitał się ze mną, i, o dziwo, podał mi rękę, co mówiąc prawdę było dla mnie nic lada zaszczytem. Cykulada nie z każdym się witał, a już na pewno z nikim się nie żegnał. Jak chciał odejść od chłopaków, to odchodził, nikt go nie pytał, dokąd idzie. Jak chciał przyjść pod budę, to przychodził, mówił „cześć” i na tym rozmowa się kończyła. Od tej strony znały go wszystkie chłopaki w dzielnicy, nikt się temu nic dziwił. Spytałem, jak żyje, spojrzał na mnie jakby mnie nie znał. Browar? Skinął głową. Wziąłem dwa duże z sokiem i korzeniami. Potem jeszcze dwa. Piliśmy w milczeniu. Jemu to milczenie nic przeszkadzało, a mnie chciało się z kimś pogadać, choćby i z samym Cykulada.

- Jak spędziłeś święta?

Mogłem się domyślić, jak spędził święta, ale spytałem. Cykulada w grymasie wykrzywił swoje porozbijane usta i wydusił przepitym głosem:

- Święta, święta i po świętach. Można powiedzieć były i nic ma - zamilkł, a po chwili dodał tępo patrząc pod nogi: - Gniję ja sobie w opakowaniu na koju w swojej kapciorce, przychodzi do mnie Smarowany Miodem i przynosi ze sobą dwa błota. Wypiliśmy to. Potem wtacza się mój braciszek, Kindzior. Targa ze sobą znowu trzy. Razem było pięć. Ja padłem, a Smarowany Miodem wyszedł razem z Kindziorem. Budzę się rano, język kołkiem mi stoi, pić mi się tylko chce. Pić i pić, a wstać do kranu boję się, bo nie dojdę. Orła wywinę. Chcę zasnąć, nic mogę. Leżę i myślę o różnych rzeczach, i o tym, że gdzieś tam daleko parę godzin temu w barłogu urodził się Chrystus, a ja, jego wcielenie, muszę zdychać w barłogu. On golusieńki w kołysce bez chleba, a ja w waciaku na koi i też bez chleba. Jemu rozmaici królowie niosą dary, a mnie kto co przyniesie? Nikt i nic. I kiedy tak myślałem, ktoś zapukał do drzwi. Nie wiedziałem kto, ale wiedziałem, że nikt obcy tu nie przyjdzie, tylko swój. Krzyknąłem: „Wejść”. Wparował Kindzior. Podał mi wody raz i drugi, zapaliłem papierosa i zakotłowało mi się we łbie. Powoli zacząłem dochodzić do siebie. Kindzior okrakiem rozsiadł się na taborecie i zaczął nawijać mi makaron na uszy, inaczej mówiąc nawijać z bębna na kłębek i tak z kłębka po nitce doszliśmy do samego końca, a na końcu Kindzior zapytał, czy mam w domu jakiś piterek. Worków miałem do jasnej cholery z czasów, kiedy byłem jeszcze silny i młody, i roznosiłem węgiel po mieszkaniach. Miałem ich całą kupę, ale wszystko brudne. To Kindziorowi nic przeszkadzało, że były brudne, grunt że były, i to było najważniejsze. Spytał, czy mam coś do jedzenia i picia na święta. Nie miałem nic do jedzenia i picia. Kindzior poderwał mnie z wyrka. Dałem mu worki. Kindzior wybrał dwa najmocniejsze i największe, trzepnął nimi w mieszkaniu, a potem złożył jeden na drugi i zwinął w rulon, wsadził pod marynarkę i pchnął mnie przed sobą. Wyszliśmy z mieszkania. Nigdzie żywej duszy, w pustych ulicach paliły się tylko latarnie. Przyspieszył kroku, jakby spieszyło mu się do pociągu, był młodszy i dlatego nie mogłem za nim nadążyć. Z trudem łapałem mroźne powietrze. Kindzior mówił, że jak się pospieszymy, to będziemy mieli sporo jedzenia i coś do wypicia. Wlokłem się za nim noga za nogą, a on mnie opieprzał i jeszcze przyspieszał kroku. Szliśmy znajomymi ulicami, obok znajomych domów, w których mieszkali znajomi ludzie. Minęliśmy kilka przecznic i w pewnym momencie weszliśmy w park. Kindzior prowadził mnie na skróty. Przeszliśmy na tory i znowu szliśmy. Kindzior nagle zatrzymał mnie na skrzyżowaniu biednych uliczek brukowanych kocimi łbami, gdzie mniej było świateł ulicznych, więcej za to domów odrapanych z tynku, pochylonych komórek i gołębników połatanych wokół przerdzewiałą blachą. Kazał mi zostać na świcy, a sam z workami wszedł do podwórka. Od dziecka znałem tu wszystkich ludzi. Nieraz pędziłem tymi uliczkami za fajera, ale to było kiedyś, a dziś jest dziś. Od tamtej pory świat się zmienił, a ludziom się w głowach przewracało. Wtedy byłem jeszcze dzieckiem, a teraz stoję na świcy i to jest najważniejsze. O Boże miłosierny! Żebyś ty wiedział, jak na kradzieży czas szybko leci. Przyszliśmy tu z Kindziorem po ciemku i ani się człowiek obejrzał, a już zrobiło się widno. Zgaszono ostatnie latarnie, a ja nie mogłem się stąd ruszyć, bo Kindzior kazał mi stać na świcy. Czekam i czekam, Kindziora ni ma. Czekam jedne pół godziny, drugie pół godziny, a jego jak nie ma, tak nie ma. Myślę sobie, co robić? Odejdę? Będzie niecharakternie. Zostanę? A może Kindzior zrobił mnie w konia? Tak źle i tak niedobrze. A po co Kindzior tu przyszedł! Może po gołębie! Na jaką cholere mu w święta akurat gołębie. Co on z ptakami będzie robił! Nie, on tu co innego miał na

oku. Wchodzę ja w podwórko, patrzę, buda z gołębiami zamknięta. Staję ja za komórką i z daleka widzę, jak stara Kraszewska w papilotach kręci się po kuchni, widzę też, że drzwi otwarte są do sieni. Czekam, aż stara odwróci się od okna. Zrobiła to, wtedy ja do sieni. Drzwi do piwnicy są uchylone. Jak złodziej włązę do piwnicy po cichutku, po cichutku, na palcach, i co widzę? W ciemnościach pali się świeczka. Pod ścianą w kucki siedzi

Kindzior, a pomiędzy nogami ma gąsiorek z nalewką. Śpiewa sobie po cichutku. Obok Kindziora stoi naładowany piterek. Kindzior jak mnie zobaczył, daje mi gąsiorek, powiada, żebym spróbował, co to jest. Spróbowałem. No tak, nalewka na orzechach, ale co dalej? Patrzą ja na tę zdobycz i serce mi się kraje, normalnie kraje. Kindzior nie wyjdzie stąd na własnych nogach, a zostawić go nie mogę, bo będzie zasyпка. Zostawić ten cały majdan? Szkoda. I co ja mam robić, co mam robić, myślę sobie. Próbuję przemówić do Kindziora, ale on mnie nie chce słuchać, śpiewa sobie coraz głośniejsze. Nic wiem, czy tam na górze go nie słyszą, ja słyszę, jak Kra-szewska chodzi mi po łbie. Ratuje nas tylko to, że ona jest przygłucha, ale jak usłyszy i obudzi rodzinę! Jak amen w pacierzu żywi z tej piwnicy nie wyleziemy. A - myślę sobie - raz kozie śmierć! Biorę ja Kindziora pod pachę, w tę samą rękę gąsiorek z nalewką, pod drugą rękę worek z zawartością, gaszę świeczkę i na chłama wychodzę z piwnicy. Udało się, wyszliśmy, ale nic wracam tędy jak przyszedliśmy, ruszyłem w lewą mańkę. Aby jak najdalej, aby jak najdalej. Odtargałem Kindziora jakie pół kilometra, a może i więcej, i zostawiłem go na działkach w krzakach. O tej porze nikt tu się nie kręci, nikt go nie znajdzie, a jak nawet - to i tak mu nic nie zrobią bez towaru, Kindzior pójdzie w zaparte. Prześpi się kapkę, to trafi do mnie. Zarzuciłem worek na plecy, w rękę nalewkę, spory taki gąsiorek, i poszedłem do domu. Usiadłem na kojku, rąbnąłem sobie sztukana, zapaliłem papierosa i czekam. Czuję jak mi się ciepło robi w środku. Odałem trochę z gąsiorka do butelki i schowałem. Kindzior niech myśli, że aż tyle wypił. Zajrzałem do worka. Było tam sporo różności. Szynka, poledwica, sucha kielbasa, normalna, bekon, konfitury rozmaite, wina domowej roboty, ciasta, nawet bańka z bigosem. Chleba tylko nie było. Zawiązałem worek, wstawiłem do kąta i nakryłem go gazetami. Koło południa z pretensją przyleciał Kindzior, że niby jak ja mogłem zostawić go na działkach, ale rozgrzałem go nalewką, potem napaliłem pod kuchnią, odgrzałem żarcie i tak zaczęliśmy pierwszy dzień świąt. Pod wieczór przyszli nawet goście. Smarowany Miodem ze Sroką Złodziejką. Balowaliśmy przez okrągłe dwa dni do wczoraj do obiadu. Stefan wylał resztkę piwa z kufła i oddał go w okienku Ślepemu Olkowi. Wrócił do mnie. Zapaliliśmy.

- To co ty chcesz, Stefan - powiedziałem. - Miałeś dobre święta.

Nie spojrział już na mnie. Machnął ręką. Z obrzydzeniem splunął.

- Do czego to podobne, żebym ja, stary chłop, dźwigał młodego nygusa. To co z tego, że braciszek'? Nic z tego. A poza tym, w tym worku była babka pistacjowa z takim zakalcem!

I Stefan uniósł na wysokość mojej twarzy brudny palec wskazujący.

Sroka

Sroka wróciła z nocy. Wyglądała jakby ją ktoś przepuścił przez wyżymaczkę. Podkrążone oczy, tusz rozmazany na powiekach, szminka rozmazana na pełnych wargach, włos rozczochrany u niej był; wierzchnie odzienie wymięte i umazane w jakimś smarze. Po tej nocy wyraźnie postarzała się o dobre dziesięć lat. Jechało od niej alkoholem. Kołysała się przede mną na wysokich szpilkach ćmiąc papierosa z filtrem. Głupio mi było stać ze Sroką w biały dzień na ulicy przed własnym domem, gdzie wszyscy ludzie znali mnie od dobrej strony. Musiałem kłaniać się znajomym unizenie; pozornie nic się nie działo, równie uprzejmi byli dla mnie, ale ich oczy. ..ich oczy mówiły za nich. co mieli na myśli i co z wielką ochotą chcieliby mi powiedzieć. Jednak szli dalej z siatkami pełnymi porannych zakupów. Sroka jeszcze raz się zaciągnęła papierosem, zaczął tlić się filtr, w powietrzu uniósł się zapach palonych szmat. Odrzuciła niedopałek i powiedziała;

- Daj szluga.

Dałem jej papierosa i ognia. Sroka, kryjąc ciemne, wielkie oczy pod opuchniętymi powiekami przed dymem papierosa, powiedziała do mnie ni to z rezygnacją, ni to ze złością:

- Tak, kotku. Nazbierało się tutaj rozmaitej hołoty z całego świata. Pan Bóg widać musiał zwariować, skoro tyle nieszczęścia zgromadził w naszej dzielnicy. Kiedyś mieszkali tutaj porządni ludzie, a dziś? Sam popatrz! Każda pani

magister, każdy z tych fagasów wielki urzędnik za pięć złotych z własnym atramentem.

Sroka wyraźnie była rozżalona. Coś leżało jej na wątrobie, ale nic wiedziałem co.

Zastanowiła się nad czymś, zaciągnęła się papierosem, potem spojrzała na mnie uważnie.

- Jedno ci powiem, kotku, że jak tak dalej pójdzie, to człowiek w biały dzień będzie się bał wyjść na ulicę.

- Sroka, jesteś nagarowana, idź do chaty i przekimaj się trochę, to ci dobrze zrobi. Radzę ci.

Uśmiechnęła się kwaśno.

- Szkoda życia. Tajm tu tajm - powiedziała.

Tym stwierdzeniem zatkała mi usta. Chciałem się od niej uwolnić, w myślach gorączkowo szukałem pretekstu, ale nic nie mogłem wymyślić, a Sroka nic należała do istot ziemskich, które ot tak sobie można było odstawić i pójść dalej. Stałem na rozstajnych drogach, przybierając fałszywy uśmiech.

- Może kawy się napijemy!' - zaproponowałem w nadziei, że odejdziemy spod mojego domu.

W odpowiedzi zaśmiała się ochryplym głosem:

- Kotku, ty w całym swoim zaszranym życiu nie wypijeś tyle kawy, co ja tej nocy; od wczorajszego popołudnia nic innego nic robiłam, tylko piłam, piłam do tej pory. Piłam wódkę i kawę, i kochałam się. Ale nic masz mi czego zazdrościć, daję ci słowo.

Patrzyłem na Srokę i żał mi jej było. Odgadła widocznie moje myśli, bo powiedziała:

- Kotku, nic zezuj tak na mnie, bo jaglicy dostaniesz. Sroka wie, co robi. Sroka była i na wozie, i pod wozem. Spałam w bramie z nocnym stróżem spod „Jubitera” i z byłym ministrem, w stogu siana na autostopie i w apartamencie hotelu „Orbis”, ze zwykłym oświetleniowcem od filmu i niejednym reżyserem. Kiedyś to będę musiała napisać: daję ci głowę, że jeszcze na tym interesie dobrze zarobię.

W pewnej chwili zaśmiała się szczerze, widać przypomniała sobie coś zabawnego; czekałem co powie.

Powiedziała:

- Kiedyś znalazłam się w hajlajfie.

Sroka zaczęła nawijać mi makaron na uszy, inaczej mówiąc zaczęła nawijać z bębna na kłębek, a jeszcze inaczej wciskać mi mowę.

- No więc siedzę ja ubrana jak się patrzy, jakichś trzech palantów, których nie znam, pewien znany reżyser z żoną i jakieś dwie początkujące damulki. Siedzimy w hallu dla gości hotelowych. Panowie małymi łyżkami z namaszczeniem sączą harcerzyki, pani reżyserowa i damulki siorbią groszek, a ja jak zwykle fuła z butelki. Cholernie nie lubię pić ze szklanki. Rozmowa toczy się jak młyńskie koło. Z gaduły, zamiast sypać się pszenna mąka, z której byłby chleb, sypią się otręby, których i świnie nie chciałyby zeżreć. Jestem pustecka, a napiłabym się czegoś. Damulki łącznie z żoną pana reżysera popijają kawusie, ujmują delikatnie dwoma paluszkami kruche uszko porcelanowej filiżanki, przy czym mały palec kokieteryjnie unoszą ku górze. „Nic — wyrzucam sobie - Sroka, miej się na baczności. Popadłaś w sfery wyższego towarzystwa. Sroka, wpadłaś między wrony, musisz krakać jak i one.” Wszyscy zajęci są drętwą gadką, nikt na mnie nie zwraca najmniejszej uwagi. Nagle naszła mnie myśl, żeby podbechtać to wysokie konsylium. Niby od niechcenia powiadam tak, aby wszyscy słyszeli:

- Postanowiłam pisać pamiętnik, oczywiście, że nie od dnia dzisiejszego ani też od jutra, ale zamierzam sięgnąć pamięcią kilka lat wstecz. To jest mniej więcej od piętnastego roku mojego życia. Podobno największym walorem wszystkich napisanych pamiętników jest ich szczerłość. Pewien redaktor obiecał poprawić to, co napiszę i umożliwić druk odcinkami w swojej gazecie. Kiedy opowiedziałam mu w skrócie moje życie, gorąco zaczął mnie namawiać, żebym zaczęła pisać, że będzie to rewelacja, jeżeli już nie w skali krajowej, to przynajmniej w granicach naszego miasta. „Będzie to kij wsadzony w mrowisko” -- tak się wyraził.

Reżyser przerwał machlojki ze swoimi kompanami, i spojrzał na mnie uważnie, potem uśmiechnął się i niepew-

nie powiedział:

- A to byłoby zabawne.

- Jak dla kogo - odparowałam i spojrzałam wymownie na żonę reżysera. Jeżeli będę miała dość odwagi i napiszę wszystko tak, jak myślę, ze wszystkimi szczegółami, to jak amen w pacierzu mój pamiętnik będzie podstawą do kilkudziesięciu rozwodów, a może nawet ktoś zrobi z tego scenariusz do filmu.

Reżyserowi zrzedła mina. Raptem stracił pewność siebie. Wstałam od stołu i przeszłam przez bar do hallu, gdzie szerokie marmurowe schody prowadziły w dół do toalety.

- Sroka, zaczekaj! - usłyszałam za sobą znajomy głos. Obejrzałam się, przede mną stał reżyser, wziął mnie pod rękę i odprowadził na bok, przez chwilę w milczeniu patrzył mi w oczy, potem na jego bladej, gładko wygolonej twarzy pojawił się słaby uśmiech.

- Ty poważnie myślisz o pisaniu pamiętnika? - spytał niepewnie.

- Podobno na pisaniu można dobrze zarobić. Ja mam ciekawy materiał. Widziałam to i owo, byłam tu i tam. Wiele aktorek pisało pamiętniki, nie umiały pisać, ale zawsze znalazł się dobry duch, który poprawił to, co napisały, i na tym pisaniu wyszły na swoje.

- Mogę cię poratować finansowo, ale o tym, co było, zapomnij. - Reżyser sięgnął po portfel, odliczył dziesięć tysięcy złotych i wcisnął mi pieniądze lekką rączką. Nie oponowałam.

- Jesteś fajna dziewczyna, zawsze będę służył ci pomocą.

Z zadowoloną miną, że ubił dobry interes, wrócił do żony. Z forszą wyszłam przed „Orbis”. Tak to już w życiu jest, że pieniądź zawsze i wszędzie garnie się do pieniądza. Na ulicy nadziałam się na delegację wszystkich świętych. Szli obwieszani aparatami fotograficznymi. Było ich trzech, nawet przystojni. Bliżej poznaliśmy się w dość dziwnych okolicznościach.

Na drugi dzień wylądowałam u Motyla na Ponurej. Tam ruszyliśmy do przodu. Daliśmy sobie takiego ognia, że w dwa dni później było już po fortunie. Kupiłam sobie tylko te pantofle, co mam na nogach. Na tym koniec. Ale przez dwa dni i dwie noce była zabawa, jakiej dawno nie pamiętam. Motyl chciał mnie zapylić, chciał, żebyśmy założyli spółkę, mówił, że we dwójkę będzie lżej pracować, nic z tego nie wyszło, bo po co mi taki Motyl? Żeby mnie bił? Zabierał każdy grosz? Sama też sobie dam radę; nie po to dałam nogę od Henka, żeby teraz z Motylem podnieść kotwicę, spróbuję sama popłynąć.

Na jej twarzy z każdą chwilą coraz bardziej widać było znużenie. Poprosiła jeszcze raz o papierosa, podałam jej i przypaliłam.

- Zmęczona jestem - powiedziała do siebie.

Zamilkła. Nie wiedziałam jak jej pomóc, mogłem służyć tylko radą, a Sroka choćby i najlepsze czyjeś rady miała zawsze głęboko z tyłu pod sukienką. Jednak powiedziałem:

- Jesteś zmęczona, idź do domu i odpocznij.

- Nie - zaprotestowała. - Zaprowadź mnie lepiej do „Fiksa” i zamów koniak, postawi mnie na nogi.

Zrobiłem tak, jak chciała. Zaprowadziłem ją. W drugiej części baru panowała cisza. Wszystkie stoliki były wolne, jedynie w kącie przy stoliku siedziała damulka nad małą kawą i w spokoju ducha ćmiła papierosa.

Otyła barmanka popatrzyła na nas obojętnie. Rozejrzałem się po półkach. Stało tam kilka butelek taniego wina i dwie butelki trójgwiazdkowego koniaku z importu. Zamówiłem dla siebie małą kawę, a dla Sroki dużą z cytryną. Liczyłem, że kawa z cytryną dobrze jej zrobi. Z zamówieniem usiedliśmy do stolika. Panująca ciszę przerwało trzech podpitych wyrostków. W tej chwili tylko oni we trzech byli na świetle. Reszta ludzi nie liczyła się. Jeden miał na głowie damski kapelusik, drugi damską parasolkę, a trzeci pod pachą damską torebkę; było im wesoło. Podeszli do baru, spojrzeli na półki i zażądali jednogłośnie najdroższego wina.

Barmanka podała im butelkę; rzucili przed nią na ladę garść pieniędzy, i na stojąco wypili trzy butelki, jedna po drugiej. Ten w kapelusiku, śmiejąc się, powiedział niby to do mnie i do Sroki, niby to do paniusi w kącie:

- Na łobuzach zdobyliśmy te fanty.

Ściągnął z głowy kapelusik i wcisnął go po uszy kompanowi z parasolką. Zataczając się, wyszli ze śmiechem z lokalu. Po kilku minutach przy naszym stoliku zjawił się dzielnicowy Tufta w towarzystwie wywiadowcy. Tufta zwrócił się wprost do Sroki:

- Sroka, powiedz mi, kto tu był przed chwilą? Tufta był zupełnie spokojny, jego spokój widocznie udzielił się Sroce.

- A co się stało, panie Tufta? - spytała.

- A co się miało stać? Nic. Wycieczka ze wsi chciała popłynąć statkiem po Wiśle i na przystani jakieś gnojki na wydrę zrobiły babę. Zabrali jej torebkę z dokumentami, forszę i jeszcze coś.

Sroka spojrzała na Tuftę i na wywiadowcę.

- To po jaką cholere latem, kiedy w polu jest tyle roboty, wiocha ściąga do miasta? Tak rozumiem - dodała po chwili. - Wiem z miastem, miasto ze wsią.

Zaśmiała się.

- No, Sroka? - Tufta był nieustępliwy.

- Panie Tufta, ja nic nie wiem, nic nie widziałam. Jestem w towarzystwie. Panu płacą za to, żeby był porządek w

dzielnicy.

- No dobrze - zgodził się Tufta ze spokojem. - My i tak ich będziemy zaraz mieli. Ty, Sroka, pójdziesz razem z nami na czterdzieści osiem. Odpoczniesz, widać, że jesteś zmęczona. - I Tufta zabrał Srokę od stolika, na którym pozostał w kieliszku po niej nie dopity koniak.

Wawa

Szliśmy na rampę kolejową po węgiel: ja, Wawa i Heńka. Żeby nie pogubić się w nocy, szliśmy gęsiego, jedno za drugim, na odległość szeptu. Ja z Wawą byliśmy w jednym wieku, Henka była starsza od nas o dwa lata. W sumie mielibyśmy czterdzieści osiem lat na wiosnę przyszłego roku, oczywiście jeśli by wszyscy dożyli do tego czasu.

Nic było jeszcze późno, ale już po godzinie policyjnej i dlatego idąc na rampę musieliśmy przekradać się przez śpiące podwórka i ogrody. Nie przedstawiało to wielkich trudności nawet dla Heńki, chociaż była w spódnicy, bo ludzie zaraz w drugim roku wojny pozbiali w okolicy wszystkie parkany i połamali je na opał. Idąc pod osłoną nocy tym bardziej byliśmy bezpieczni, że w mieście od dawna panował zakaz palenia świateł przy nie zasłoniętych oknach. Nawet na skrzyżowaniach ulic nie było światła. Jedyne, co zdradzało nasz marsz, to mróz i krzaki w ogrodach. Skuty mrozem śnieg jak tłuczone szkło trzeszczał pod butami, a po ciemku łamane gałązki krzaków bzu wydawały suche, krótkie trzaski, podobne do strzałów z broni małokalibrowej.

Heńka szła na przedzie, Wawa za nią, ja zaś zamykałem pochód i co kilkanaście kroków rozglądałem się na wszystkie strony, czy przypadkiem nie idzie ktoś za nami i nie śledzi nas. Byliśmy coraz bliżej stacji. Słyszeliśmy już wyraźnie gwizdki i nawoływania przetokowych, i skrzyp kół parowozowych na oblodzonych zwrotnicach. Podeszliśmy prawie pod samą rampę, ale dalej we trójkę było już iść niebezpiecznie. Wartownik pilnujący węgla w każdej chwili mógł wziąć nas za partyzantów lub sabotażystów, którzy coraz śmieiej pod boki Niemców podkładali miny pod szyny albo też - co zdarzało się częściej - rozkręcali je i wykolejali pociągi.

Staliśmy w kępie bzów. Na tle granatowego nieba widzieliśmy stąd jak na dłoni ciemniejszą postać wartownika. Ubrany jak kukła, w długi kożuch z wielkim kołnierzem i buty wartownicze, spacerował wolno to w jedną, to w drugą stronę wzdłuż wysokiej hałdy węgla.

- Czekajcie tutaj, ja pójdę najpierw sama i zagadam go - powiedziała Heńka. - Wyjdziecie, dopiero jak przejdę razem z nim na drugą stronę węgla.

Obciągnęła na sobie lichą jesieneczkę przepasaną w połowie szmacianym paskiem od letniej sukienki, poprawiła na głowie chustkę, podwiązała ją mocniej pod brodą, rozdziawiając przy tym usta, i, brnąc po kostki w śniegu, ruszyła w stronę wartownika.

Na jej widok żołnierz zatrzymał się i ściągnął z ramienia karabin. Odbezpieczył go. Heńka śmiało szła prosto i zatrzymała się dopiero na kilka kroków przed nim. Chwilę stali tak na wprost siebie. Potem Heńka wyciągnęła worek zza pazuchy i na migi dała mu do zrozumienia, że potrzebuje węgla. Niemiec zrozumiał ją, dla animuszu roześmiał się głośno i z powrotem zarzucił karabin na ramię. Podeszedł bliżej do Henki i oświetlił jej twarz latarką. Zaczęli o czymś rozmawiać.

Stojąc w ukryciu usłyszeliśmy w pewnym momencie krótki chichot Henki, bardziej podobny do rżenia konia niż do śmiechu ludzkiego.

Wawa skulił się z zimna. Ręce schował w rękawy marynareczki, głowę wciągnął w ramiona i zaczął walić czubem jednego drewniaka w piętę drugiego i na odwrót. Uciszałem go, jak mogłem, ale mróz był silniejszy od moich

upomnień, a Heńka jak na złość stała w tym samym miejscu z Niemcem i nic nie wskazywało na to, że w ogóle kiedykolwiek przejdzie z nim na drugą stronę hałdy. Czyżby nie spodobała się Niemcowi? Być może, że Niemiec ma w mieście jakąś kochankę na stałe, z mieszkaniem, szerokim łóżkiem i czystą pościelą. Jeśli tak się sprawy mają, to my niepotrzebnie stoimy tutaj na mrozie. Trzeba wracać do domu z pustymi workami. A w domu co? Głód i zimno. Gdyby był węgiel, to można by było część sprzedać na zarcie, a część zostawić sobie na opał, do chwili kiedy znów się przyjdzie na rampę.

Zacząłem modlić się w duchu o to, żeby Heńka spodobała się Niemcowi, i widocznie łaskawy Bóg wysłuchał mojej modlitwy, bo kiedy skończyłem zdrowaśmarię, Niemiec objął ramieniem Henkę i tu, gdzie stali, chciał ją powalić na śnieg. Dziewczyna mimo młodego wieku i szczupłej budowy twardo trzymała się na nogach.

Niemcowi przy tym przeszkadzał karabin, który co chwila, przy każdym ruchu, zsuwał się z ramienia.

Dziewczyna według umowy z nami dotąd stawiała mu opór, dopóki nie przeszli na drugą stronę hałdy, a kiedy po długim czekaniu wreszcie zginęli nam z oczu i nie pokazali się więcej, wyszliśmy z ukrycia. Chyłkiem, po cichutku podeszliśmy pod zwałkę. Skutą mrozem powłokę brudnego śniegu na węglu musieliśmy zrywać gołymi rękami. Wiedzieliśmy na szczęście, jak się do tego zabrać. Najpierw trzeba było wygrzebać w powłoce dziurę aż do spodu, wsadzić w nią rękę, a jeśli można było, to nawet obie, i z całej siły, jak najostrożniej, poderwać do góry. Całymi płatami odwalaliśmy zbrudzony śnieg, żeby dostać się do węgla. Skostniałe ręce podobne były bardziej do szponów orła. W żaden sposób ani ja swoich, ani Wawa swoich nie mogliśmy rozprostować. Pod śniegiem była gruba kostka. Długo mocowałem się z wielkim i połatanym jak nieszczęście workiem, zanim udało mi się go wyciągnąć spod kurtki i rozłożyć przed sobą, tak abym swobodnie mógł zgarniać do niego węgiel obiema rękami. Napelniliśmy worki najciszej, jak tylko było można. Dziś już nie pamiętam, który z nas wtedy pierwszy, ja czy Wawa, usłyszał najpierw rozmowę a potem dopiero zobaczył tamtych. Zaszli nas po prostu jak zwierzyne, na odległość skutecznego strzału. Szli we czterech, jeden za drugim, dopalając ostatnie papierosy

przed objęciem warty.

Nieopisany strach mnie pierwszego poderwał z kolan. Wawa jeszcze klęczał nad swoim workiem. Wyprostowany, z rękami podniesionymi do góry, zbiegłem z nasypu rampy i rzuciłem się w stronę krzaków bzu. Zanim to jednak uczyniłem, zdążyłem jeszcze spojrzeć na Wawę. Mocował się z workiem. Chciał wysypać z niego węgiel. Jego worek był lepszy od mojego, prawic nowy, po mące, z wybitą gapą pośrodku.

Długo czekałem na Wawę, ukryty w bramie domu na wprost burdelu dla oficerów niemieckich. Nie przychodził. W uszach ciągle dzwoniła mi jeszcze salwa z rozpylacza. Po godzinie oczekiwania zrozumiałem, że Wawa już nie przyjdzie. Że na pewno został na węglu. Henka też nie wracała. Po tym, co zaszło, nie czułem mrozu. Wolno ruszyłem do domu nie tylko bez węgla, ale i bez worka. Kiedy byłem już blisko domu, w którym mieszkałem, minął mnie niemiecki samochód sanitarny z zamalowanymi na niebiesko reflektorami. Dzwoniąc łańcuchami założonymi na opony jechał w kierunku stacji. Postanowiłem zaczekać, aż będzie wracał. Wracał w stronę szpitala po dziesięciu minutach.

W sieni obmiotłem szcztoką buty ze śniegu i wszedłem do mieszkania. Józefek -jak go wszyscy znajomi nazywali - i Mańka Pędzel leżeli już w łóżku. Józefek spał odwrócony twarzą do ściany. Mańka tylko jeszcze nie spała, czekała na mnie. Dźwignęła się na łokciu i podkręciła knot u lampy stojącej na stole. Nic wiem, co pomyślała sobie na

mój widok, ale do dziś pamiętam zdziwienie w jej oczach i słowa, którymi się do mnie zwróciła:

- Co, jeszcze żyjesz?

Powiedziała to takim głosem, jakby była wyraźnie zmartwiona moim powrotem.

Nic wiedziałem, co mam jej odpowiedzieć. Domyślałem się, że nic śpiąc powinna była słyszeć i na pewno słyszała odgłosy strzałów na stacji. Wiedziała doskonale, z kim poszedłem po węgiel, wiedziała też, że Niemcy rzadko kiedy pudłują, jeśli zaczynają już strzelać, i dlatego zapewne nic mogła zrozumieć, jakim cudem ja potrafiłem im ujść ze swoim plugawym życiem.

Usiadłem na wielkim podróznym kufrze o wzdętym wieku, który w dzień zastępował krzesła, a nocą służył mi jako łóżko. Powoli zacząłem rozsznurowywać trzewiki, onuce rozwiesiłem na ledwo ciepłych ceglach kuchni, żeby przeschły do rana. W mieszkaniu było nieco cieplej niż na dworze i ani kawałka chleba. Mańka przez cały czas przyglądała mi się w milczeniu i o nic nie pytała. Nie wiedziałem, czy nic jej nie ciekawi, czy też domyśla się wszystkiego.

Kurtkę, którą miałem na sobie, okręciłem nogi, a dalej pod samą brodę podciągnąłem kryty kozuch Józefka i wyciągnąłem się na kufrze. Mańka zdmuchnęła lampę. Nie wiem, kiedy usnąłem.

Na pogrzebie Wawy nic byłem, bo jego matka uważała, że Wawa zginął przeze mnie. Według niej, to ja powinienem był zginąć na węglu, a nie on, jako że byłem sierotą, a on miał na utrzymaniu ją, kalekę, i troje młodszego rodzeństwa.

Henka też nic była na pogrzebie Wawy, bo dopiero po miesiącu wyszła ze szpitala, tak porwali w niej bebechy, a i później długo jakoś nie mogła dojść do siebie. Przez jakiś czas nigdzie nie pokazywała się na mieście. Czekala, aż jej włosy na głowic odrosną, które ścięli do gołej skóry maszynką partyzanci, co przyszli pewnej nocy do szpitala odbić jednego ze swoich.

W imieniu prawa

- Ludzie! Rozejdźcie się na litość boską. Błagam was, nie róbcie mi wstydu! - wołał Stańczak z dachu trzymając się komina.

Jednak zebrani na skrzyżowaniu ulic Piłsudskiego i Ułańskiej ani myśleli o rozejściu się. Żadni sensacji, stali uparcie w miejscu, zapatrzeni w niecodzienne widowisko.

- Rozejdźcie się! - krzyknął jeszcze raz głosem, w którym można było wyczuć rozkaz i groźbę.

Zebrani naokoło domu Malesiny wybuchnęli radosnym śmiechem. Wtedy poirytowany ich uporem i bezczelnością Stańczak, niczym jakiś ciemny typ z gangsterskiego filmu, jednym szarpnięciem wydobył wielki, lśniący oksydą pistolet. Podniósł rękę z rewolwerem wysoko nad głowę i pogroził zebrany. Ludzie na widok broni w rękę Stańczaka w pierwszej chwili znieruchomieli, nie wiedzieli, co ze sobą zrobić, na niektórych twarzach pojawiły się przymilne uśmiechy. I huknął strzał. Wtedy wszyscy, drąc się wniebogłosey, w nieopisanej panice zaczęli uciekać za dom sąsiedniej posesji. Gonił ich szalony śmiech Stańczaka.

- O laboga - wołano dokoła. - Pozabija nas jeszcze ten bandzior.

Teraz Stańczak strzelał bez uprzedzenia do każdego, kto tylko próbował wychylić się zza domu. Nie żałował naboń, miał ich pod dostatkiem.

W pewnej chwili zza ściany nieśmiało wyszła Malesina, na której domu uwił sobie gniazdo Stańczak, mała, pękata kobietka z rękami sięgającymi poniżej kolan. Malesina błagalnie zwróciła się do Stańczaka, żeby pozwolił wejść jej do domu, ponieważ na kuchni postawiła mleko dla dziecka i boi się, żeby nie wykkipało, na co Stańczak ozięble oznajmił kobiecie takim głosem, ażeby wszyscy usłyszeli dokładnie jego słowa i zapamiętali je raz na zawsze:

- Malesina, znam was i waszego nieboszczyka męża, który swego czasu był moim kolegą, oraz wasze maleństwo, dlatego pozwalam wam wejść do domu i nakarmić dzieciaka, ale ostrzegam, że jak raz wejdziecie, to nie wychodźcie już, bo może was spotkać nieszczęście, a wasze dziecko, kiedy dorośnie, będzie was znało jedynie z fotografii.

Malesina, wycierając kościste ręce w brudny fartuch przewiązany u pasa, zapatrzona w siedzącego na dachu, niczym lunatyk, ostrożnie stawiając nogi na wyboistej ziemi, niepewnie ruszyła w stronę domu. Ledwie zdążyła zamknąć za sobą drzwi mieszkania, kiedy powietrzem targnął nowy wystrzał.

„Zaczęło się” - pomyślała Malesina i uklękła przed łóżkiem, nad którym wisiał w oszklonych ramach św. Antoni, patron złodziei i rozmaitych wykolejeńców.

Florka Chrobot, którą Stańczak spotkał na swoje nieszczęście pod drzwiami jej mieszkania wczorajszego wieczora, a potem przewrócił na klatce schodowej, porwał na niej ubranie, podrapał i przez nią właściwie znalazł się zupełnie niepotrzebnie na dachu domu Malesiny, podsunęła innym myśl, że właściwie dobrze by było, gdyby znalazł się ktoś młodszy od niej, bo jej nic wypada nawet, i o tym, co się tutaj dzieje, powiadomił żonę Stańczaka. Niechby kobieta przyszła i zabrała chłopca do domu, bo nic wiadomo do czego to wszystko tutaj może doprowadzić.

Kilka osób poparło tę myśl i znalazł się ktoś, kto polecał do domu Stańczaka powiadomić o tym, co zaszło, jego żonę.

Stañczakowa z uwagą wysłuchiwała posłańca, a kiedy ten skończył, zapytała na pozór obojętnie, gdzie i w którym miejscu wydarzył się ten przykry incydent. Dowiedziawszy się, że u zbiegu ulic Piłsudskiego i Ułańskiej, zastanowiła się chwilę, a potem zauważyła tylko: „Oj, to niedobrze.”

Stañczakowa, która z pewnością nie mniej od dowódcy stacjonującego w mieście siódmego pułku ułanów znała się na sztuce wojennej z tej racji, że jeszcze jako młoda dziewczyna miała kilka osobistych potyczek z ułanami, i to w dodatku w nocnych warunkach, zrozumiała od razu, że mąż jej zajął najlepszy strategiczny punkt w mieście. Po wyjściu posłańca ubrała się odświętnie, zebrała ze sobą obydwie dorastające córki, zamknęła mieszkanie na klódkę i dostojnym krokiem matrony, z nadzieją w sercu ruszyła przed siebie. A nuż uda jej się przy pomocy wypróbowanych i nieraz już stosowanych kruczków ściągnąć męża z dachu.

Stañczak, prowadząc ogień dookoła z broni ręcznej, przysięgał jednocześnie ludziom, że za żadne skarby tego świata nie podda się żywcom i zastrzeli każdego jak psa, kto tylko ośmieli się podejść do niego. Jednak na widok nadchodzącej żony z córkami przestał strzelać. Zrzędła mu nieco mina. Stańczakowa, bagatelizując niebezpieczeństwo, całkiem blisko podeszła do domu, na którym siedział jej małżonek, i głosem nie znoszącym sprzeciwu powiedziała rozkazująco:

- Kaziu, zejźdź natychmiast z dachu. Do czego to podobne, co ludzie sobie o mnie pomyślą?

Stañczak nie słuchał, co do niego mówiła. Ponuro patrzył na nią z wysokości, a kiedy skończyła, poradził jej, żeby czym prędzej zabrała córki, które jego zdaniem są tyle samo warte, co i ona i szkoda tylko, że je święta ziemia nosi, a poza tym żeby poszła sobie do stu diabłów, bo jeśli nie posłucha jego mądrych i dobrych rad, to nie wnikając w to, że jest jego ślubną żoną, natychmiast tu, na miejscu, na oczach ludzi, położy trupem ją i obydwie córki. Wreszcie Stańczakowa dała się ubłagać płaczącym córkom i razem z nimi stanęła za ścianą najbliższego domu, czekając zakończenia całego zajścia.

- inaczej nie ściągniemy go z tego dachu, tylko trzeba będzie dom podpalić - zauważył ktoś. - Innego wyjścia nie widzę.

Jakiś mężczyzna w maciejówce i w butach do kolan, wyglądający na wieśniaka, którego nikt tu nie znał i który nie wiadomo jakim cudem znalazł się w tym rozgardiaszu, był zdania, że domu w żadnym wypadku podpalać nie należy, bo dom jeszcze jest nowy i szkoda byłoby go puścić z dymem, tylko trzeba koniecznie wykombinować coś innego.

I wtedy znowu głos zabrała Florka.

Powiedziała, że trzeba koniecznie skoczyć po Kielaka.

- Albo jest Kielak w mieście, albo go nie ma. Za co pieniądze bierze? Za to, żeby pilnował porządku.

Postanowiono wysłać chłopaka z rowerem.

Po kilku minutach zjawił się Kielak, jedyny w tym mieście zbrojny przedstawiciel władzy i porządku, człowiek starszy, który w czasie wojny czternastego roku nie mało nawąchał się prochu na rozmaitych frontach.

Kielak, zachowując ostrożność, zbliżył się na bezpieczną odległość do domu, na którym najspokojniej w świecie siedział Stańczak wymachujący po dziecinnemu nogami.

Kielak przystanął. Zdjął z głowy sztywną czapkę z okutym blachą daszkiem i wielką kraciastą chustą wytarł spoczone czoło. Potem psim wzrokiem spojrzął na ludzi, którzy w jego obecności czując się bezpieczniej wychodzili ze swoich kryjówek i zwartą grupą stanęli za jego plecami.

Kielak, zadzierając głowę do góry powiedział do Stańczaka:

- Kazik. Proszę cię jak kumpel kumpla, zleż z tego dachu, do jasnej cholery, czego się wygłupiasz?

- A ja cię proszę - odparł Stańczak równie spokojnie - jak kumpel kumpla, żebyś pocałował mnie w dupę.

Po tych słowach twarz Kielaka spurpurowiała. Taka odpowiedź przy tyłu świadkach. Ludzie, widząc jego minę, zaczęli rechotać. Śmiał się sam Stańczak, ubawiony własną odpowiedzią. Wśród zebranych zapanował wesoły nastrój. Ludzie zaczęli robić niedwuznaczne aluzje do całej sytuacji, że niby to lepszy wróbel w garści niż orzeł na dachu. Ale Kielak w tej chwili daleki był od żartów. W pewnym momencie zupełnie już innym głosem rozkazał:

- Obywatelu Stańczak, w imieniu prawa aresztuję was, zejście z komina.

W odpowiedzi Stańczak zaczepnie strzelił Kielakowi pod nogi.

Ludzie znowu ukryli się za domem. Wtedy Kielak zwrócił się do chłopaka z rowerem, żeby skoczył do niego do domu i poprosił jego żonę o wydanie mu karabinu i dwóch łódek naboii. Chłopak wskoczył na rower i nacisnął pedały, po kilku minutach był już z powrotem na miejscu, taszcząc przewieszony przez plecy wielki „kabe” z 1893 roku.

Kielak wziął do ręki karabin, obejrzał go po gospodarsku, wyjął zamek i sprawdził lufę pod słońce. Była brudna i przeżarta rdzą. Na czyszczenie nie było czasu. Kielak zarepetował karabin i skierował go w stronę Stańczaka.

- Weźmiesz ten karabin, świniogogata, czy nie? - wrzasnął Stańczak ze złością.

- Złaż.

W odpowiedzi Stańczak, zwinnie jak kot, skrył się za komin, huknął strzał i Kielakowi, który się niczego jeszcze nie spodziewał, czapka spadła z głowy i potoczyła się po ziemi. Kielak szybko podniósł ją i cofnął się kilka kroków do tyłu. Ledwie rzucił na nią okiem, od razu zauważył, że orzełek w samym środku był przestrzelony.

- O, Jezu! Przestrzelił mi godło! - zawołał głosem rannego zwierzęcia, pokazując ludziom przestrzeloną czapkę. - Gdzie ja teraz dostanę nowe godło policyjne? Pytam się

was: gdzie? I po takie gówno będę musiał jeździć aż do Warszawy, płacić za bilet, zmarnować dzień!

Ludzie znowu zanieśli się śmiechem. Kraszewski, który nadszedł w tym momencie, samorzutnie zaproponował Kielakowi, że na kilka dni może odstąpić mu swój od hełmu, a to, że tamten jest orłem strażackim, to co komu do tego, ale Kielak nic słuchał Kraszewskiego. Trzymając nabity, gotowy do strzału karabin, zalecał zniecka Stańczaka od tyłu i nacisnął spust. Powietrzem targnął potężny huk. Ludzie dłońmi pozatykali uszy, a Stańczak, który razem z Piłsudskim swego czasu szedł prawic - jak później opowiadał - w jednym szeregu na Kijów i nie mało przy tej okazji nawąchał się prochu, a nawet był ranny w pośladek, ledwie nic zleciał z dachu. Nie dlatego, żeby przestraszył się huku, ale dlatego, że wszystko to stało się tak nagle i niespodziewanie.

Stanczak znowu przesunął się na drugą stronę komina i strzelił do leżącego na ziemi Kielaka. Teraz kanonada zaczęła się na dobre. Kielak biegał naokoło domu, padał, celował i strzelał, wstawał, zabiegał i znowu padał. A Stańczak spokojnie przechodził z jednej strony komina na drugą i też strzelał.

- Wyjdz, pokaz łeb, tchórz! - wołał prowokacyjnie Kielak.

Wreszcie zabrakło mu amunicji. Zwrócił się do chłopaka, żeby ten skoczył po jeszcze jedną łódkę naboii. W tym samym momencie, kiedy Kielak odwrócony był do chłopaka, Stańczak nacisnął spust pistoletu. Zamek oddał do tyłu i pozostał w tej pozycji. Niestety, nie miał już ani jednego naboju, wystrzelił wszystkie co do jednego.

Ukryty za kominem, szybko przeszukał kieszenie marynarki, ale poza kilkoma połamanymi papierosami i garścią wykruszonego z nich tytoniu nie znalazł nic. Wrócił chłopak z nowym zapasem amunicji, nie podchodząc zbyt blisko, rzucił ją leżącemu na ziemi Kielakowi, który ponownie zarepetował karabin. Wtedy niespodziewanie, ku zdumieniu zebranych i samego Kielaka, zza komina wyszedł Stańczak. Nic kryjąc się, podniósł rękę z pistoletem

i cisnął nim w leżącego na ziemi Kielaka, który w ostatniej chwili poderwał się i skoczył do tyłu ze słowami:
- Byłby mnie zabił, łobuz.

Kielak podniósł z ziemi pistolet. Obejrzał go z ciekawością, wytarł dokładnie o sukno munduru i schował do tylnej kieszeni spodni, potem, pewny zwycięstwa, powiedział władczo:

-Złaż!

- Wejdz tu i zdejmij mnie, jak jesteś taki mądry - odparł spokojnie Stańczak i zabrał się do rozbierania komina. Z łatwością zdejmował cegłę za cegłą, tłukł je na kawałki rzucał nimi w ludzi.

Wszystko było dobrze, dopóki było co rozbierać, ale w pewnym momencie komin zrównał się z dachem. Stańczak próbował rozbierać komin poniżej dachu, jednak cegły trzymały się tutaj mocniej i na dodatek parzyły w rękę. Koniec obrony był nieuchronny.

Jedna z rozgrzanych cegieł była tak gorąca, że Stańczak po wyrwaniu jej z komina nie był w stanie jej utrzymać. Przekładał ją z ręki do ręki, w końcu puścił w otwór kominowy. Cegła z głośnym hurkotem poleciała w dół. Na moment w górę wzbil się kłęb sadzy i dymu, a potem wszystko zamarło. Nawet dym przestał się ulatniać. Drzwi frontowe domu otworzyły się z hałasem i z mieszkania jak z procy wyskoczyła umazana na twarzy Malesina.

Pech chciał, że w tej samej chwili kiedy cegła spadała do komina, Malesina przestawiała garnki na kuchni. Rozgrzane sadze z komina, który od dawna nie był czyszczony, wysypały się jej prosto na twarz i ubranie, w garnki, a potem wolno osiadły na starannie zasłane łóżko z piramidą koronkowych poduch, na meble i podłogę.

- O Jezzu, Matko Przenajświętsza! - wołała rozwścieczona kobieta kręcąc się w kółko jak opętana. - Za co mnie Pan Bóg karze biedną? Za jakie grzechy?

I nie namyślając się długo poderwała z ziemi kawałek cegły z rozwalonego komina i cisnęła nim w Stańczaka.

- Nic rzucać! - krzyknął Stańczak zasłaniając rękami głowę. Teraz dopiero spostrzegł, że na swoje nieszczęście rozebrał komin. Nie było się za co schować. Ludzie poszli za przykładem Malesiny, ze wszystkich stron na głowę Stańczaka posypał się grad kamieni i potłuczonych cegieł. Dłuższe przebywanie na dachu nie miało już najmniejszego sensu i Stańczak zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Ocenivszy beznadziejność sytuacji, postanowił się poddać.

Przez otwór w dachu zszedł na strych, a następnie po stromych schodkach na dół i wyszedł przed dom. Tu czekał już na niego z wymierzonym w jego piersi karabinem Kielak, a za nim, półkolem tłum ludzi.

- W imieniu prawa - powiedział Kielak, patrząc wyniośle na swego jeńca, i rzucił chłopakowi z rowerem kajdanki, żeby skuł od tyłu ręce Stańczakowi.

Kiedy wszystko było gotowe do drogi, popchnął Stańczaka do przodu lufą karabinu.

Ludzie z nieukrywanym żalem odprowadzili ich wzrokiem do zakrętu bocznej uliczki, potem niechętnie zaczęli się rozchodzić, nie wiedząc, co właściwie dalej robić z resztą popołudnia.

Po dwóch dniach o zmroku Stańczak wrócił do domu. Od progu pozdrowił rodzinę i usiadł przy stole. Wyglądał i zachowywał się jak człowiek, który przed chwilą wrócił z dalekiej podróży. Był nieogolony, brudny i zmęczony. Żona w milczeniu naląła gorącej wody do wielkiej, poobijanej z emalii miednicy.

- Myj się, wyglądasz jak świnia - powiedziała bez złości.

Wstał. Rozebrał się do pasa. Sama umyła mu anemiczne plecy, potem podała czystą koszulę. Włożył ją i z zawiniętymi do łokci rękawami usiadł znowu przy stole.

Żona postawiła przed nim talerz z gorącą zupą. Odsunął go.

- Nic będę jadł - powiedział obrażony.

- Jedz, boś głodny.

- Nie. - W zamyśleniu zaczął jeździć palcem po stole, rysując jakieś esy-floresy.

- Zabrali mi pistolet. Tyle się nad nim namęczyłem -powiedział z żalem. - Wlepili mi mandat dziesięć złotych za posiadanie broni. Skąd je wezmę? Reperacja komina jeszcze dojdzie. Boże! Co ja sobie, biedny, narobiłem?

Policmajster Kielak

W domu Płachty na Piaskach mieszkała największa nędza tego miasta, ale wszystko ludzie porządni i jeśli nawet zdarzyło się kiedyś, że gdzieś tam na peryferiach pewnej nocy zginęła komuś ze strychu bielizna wywieszona do suszenia, to wtedy poszkodowany nie spiesząc się szedł do jedyne go w tym mieście „gliny” i powiedział: - Panie Kie-lak, popatrz pan, co te sukinsyny zrobiły. Zabrały mi ostatnie gacie, jakie miałem. Daję panu słowo honoru, że zostałem tak, jak stoję tu przed panem, a jeśli kłamię, to żebym rodzoną matkę w grobie zobaczył.

- Panie Malesa, nie przysięgaj się pan, bo mnie to niepotrzebne i pańskiej matce też. Idź pan do domu i czekaj. Około południa będziesz pan miał wszystko zwrócone.

Po tych słowach rozchodzili się. Każdy szedł w swoją stronę. Malesa do domu jak radził po przyjacielsku Kielak, ten zaś prosto na piaski do domu Płachty. Po drodze zaczepiano Kielaka jeszcze kilkakrotnie. Jakiś chłop o prze-krwionych oczach i zmęczonej twarzy skarżył się, że dwa dni temu nad ranem obudziło go szczekanie psa.

- Obudziło mnie w nocy ujadanie Kajtka - opowiadał chłop. - Wstaję ja z łóżka i podchodzę do okna, a na dworze ciemno choć oko wykol. Na szczęście znam swoje podwórko. Wiem, gdzie co leży i jak. No więc patrzę i własnym oczom nie wierzę. Na podwórku pod szopką stoi jakichś dwóch fagasów. Jeden, ten wyższy, trzyma na plecach wypchany worek. A pies ujada, inne też. Po całej wsi słychać tylko szczekanie psów. No, myślę sobie: nic tylko złodzieje, i mówią do starej: „Zapał lampę”, a sam zakładam portki. Wychodzę na dwór, pies, jak mnie zobaczył, przestał szczekać, merda ogonem, łasi się, ja rozglądam się po podwórzu, ale nikogo nic widzę. W tamtych jakby nagle piorun trafił. Miałem już z powrotem wracać do chałupy, bo pomyślałem sobie, że może mi się coś przywidziało, ale nie. Patrzę i oczom nie wierzę. Drzwi do chlewka są otwarte na oścież, a przecież wieczorem sam je zamykałem. Zaglądam tam, prosiaka nic ma. Zapalam ja zapałkę. Zaglądam tam. W kącie na gnoju leżą bebechy i jakaś kartka. Biorę ja tę kartkę, idę do domu i czytam, a na niej jak byk napisane: „Ty głupi ch... - nie będę panu powtarzał, co taki łobuz może człowiekowi napisać, bo pan sam wic, o co mi się rozchodzi. - Za twoje trudy zostawiam ci łeb i dudy.”

Lece ja do sąsiada, budzę go, mówię mu co i jak. Razem budzimy jeszcze kilku. Na wszelki wypadek każdy z nas wziął ze sobą jakąś drzazgę. Idziemy po śladach. Ślady prowadzą na drogę, idziemy drogą. Nagle widzimy ich. Siedzą sobie w rowie jak gdyby nigdy nic. „Mamy ich -mówię do chłopaków - zalećta z boku, żeby nam nie uciekli.” A sam zsuwam się prosto na nich. Jestem od nich jak stąd do tego słupa, a tu, mówię panu, panie Kielak, jak jeden z nich nic walnie do mnie z rewolweru. Stanąłem. „O... myślę sobie - niedobrze. Za byle świnię mam własną głowę oddać? Nic.” Patrzę na chłopaków - stoją.

Tamten strzelił jeszcze trzy razy dla strachu, poddał wyższemu worek na plecy i poszli do miasta, a myśmy zostali na miejscu.

Kielak przez cały czas głęboko nad czymś zamyślony tępo spoglądał w ziemię, a kiedy chłop skończył mówić, odezwał się:

- Z tego, co pan mi powiedział, to zrozumiałem, że Kowalski ma rewolwer.

-Jaki Kowalski, o czym pan mówi, panie Kielak?

- Mówię do siebie, a nie do pana- odezwał się Kielak i teraz dopiero lepiej przyjrzał się chłopu. - Myślę o Kowalskim i-o tym drugim, którego jeszcze nie znam, że jak posiedzą obaj w areszcie po dwa tygodnie i zapłacą po pięć złotych od łebka, to odechce im się wszystkiego, nic tylko rewolweru.

- A co będzie z moim prosiakiem?

- Z jakim prosiakiem?

- A jak to? - zachnął się chłop i niezmordowanie zaczął opowiadać całą historię od początku.

Dopiero około południa udało się Kielakowi pójść do domu Płachty. Nic wstępując nigdzie po drodze skierował się prosto do mieszkania Wojewódzkiej. Zapukał do drzwi.

- Kto tam? - usłyszał kobiecy głos od środka. Kielak chrząknął. Dla wywarcia większego wrażenia na kobiecie, starał się nadać swemu głosowi groźniejsze brzmienie.

- No, kto tam, do ciężkiej cholery? - powtórzyła wyraźnie podenerwowana kobieta.

- Otwierać! Policja!

- Co za policja?!

- Otwierać, powiedziałem!

- Jestem sama w domu i nikomu nic otwieram. Niech policja przyjdzie później, jak stary mój wróci z miasta.

- Pani Wojewódzka, niech pani otworzy, to ja, Kielak. Nic poznaje mnie pani czy co? - tym razem odezwał się niemal błagalnie.

- A, to pan władza - powiedziała uradowanym głosem Wojewódzka. - Trzeba było od razu mówić, że to pan władza, a nic jakaś tam policja. Niech pan zaczeka chwileczkę, założę tylko coś na siebie i już otwieram. - Poczłapała na środek mieszkania.

Kielak stojąc w mrocznej i dusznej sieni nie wiadomo po raz już który odczytywał wypisane kredą na drzwiach

trzy sakramentalne litery: K. M. B. - 1937 r.

Po chwili otworzyła mu kobieta o twarzy sponiewieranej prostytutki. Wszedł do mieszkania. Zaraz na progu uderzył go w nozdrza słodkawy zapach pościeli i czegoś jeszcze.

- Dzień dobry - powiedział i policyjnym zwyczajem rozejrzał się po mieszkaniu.

- Dzień dobry.

Kielak zdjął z pleców wielki karabin, którym walczył jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej, i postawił go niczym miotłę w kącie mieszkania, następnie wyciągnął z kieszeni wielką kraciatą chustkę i otarł spocone czoło.

- Duszno na dworze, chyba będzie padać. A pani co? Jeszcze śpi?

- A co mam robić?

- Dobrze niektórym ludziom się powodzi na tym świecie, nie ma co. Śpią sobie do południa, nic nie robią, a tu człowiek jak ten pies musi latać po mieście. Wie pani co?

- Co'?

- Jeszcze nic w ustach nie miałem od rana. -Ja też.

- Chyba pójde na emeryturę z tego wszystkiego.

- A pewnie, to robota dobra dla młodych, co mają zdrowe nogi. Jest pan tylko z żoną, dzieci nie macie, a dla was, dwojga dziadów, emerytura wystarczy.

- No, no, no - powiedział tylko Kielak gotów się jeszcze obrazić, ale Wojewódzka, nic w ciemię bita, wybrnęła z tej sytuacji nad podziw zręcznie. Podeszła do niego i matczynym ruchem rozpięła mu mundur pod szyją z haftek i jednego guzika.

-Nie, nie- bronił się. - Nie trzeba. Służba nie druźba! Zresztą i tak zaraz będę stąd uciekał, bo wpadłem tylko na chwilę, a co do mojej służby, to widzi pani, dawno mogłem iść na emeryturę, nawet naczałstwo mnie o to prosiło, na moje miejsce chcieli dać kogoś młodszego, ale uprosiłem ich, żeby mnie zostawili jeszcze w policji i zostawili. Zżyłem się ze swoją służbą. Znam wszystkich ludzi w mieście, to znaczy, chciałem powiedzieć, złodziei, i oni mnie znają. Ale, ale - przyszło mu nagle na myśl pytanie i zwrócił się z nim do Wojewódzkiej: - Czemu wy się tu zamykacie, czyżbyście się bali, żeby was nie okradziono?

- Co też pan władza opowiada? Tu nic nie ginie. W całym domu wszyscy swoi. Najwyżej od czasu do czasu się pobiją, i na tym koniec, ale zginąć, to tu nic nie zginie -powiedziała Wojewódzka obrażonym głosem. -Zamykam, bo widzi pan, jak tylko zostawię drzwi otwarte, to całymi dniami się nie zamykają. Ludzie wchodzą jak do chlewa i wychodzą. Kręcą się tam i z powrotem, tak że człowiek spokojnie załatwić się nawet nie może.

Kielak mimo woli spojrzął na brudne wiadro w kącie pokoju wypełnione po brzegi.

- Czemu się pan dziwi'? - spytała kobieta, widząc na jego twarzy wyraz obrzydzenia. - U nas w całym domu żadna przyzwoita kobieta nie może wyjść na dwór do wychodka.

- Dlaczego'? - spytał Kielak z zaciekawieniem.

- Pyta pan dlaczego? Powiem panu. Bo te szczeniaki z całego podwórza zamiast robić babki z piasku, nożami, rozumie pan, nożami powycinali dziury w deskach i jak wejdzie tam jakaś kobieta z ulicy, której natenczas zachciało się na cienko, to oni pędzą za nią w kilku, włożą obok i przez te dziury podglądają nieboraczka, łobuzy. Ja tam nie chodzę, żeby mnie na stare lata jakiś smarkacz oglądał niepotrzebne rzeczy. Wolę tu zrobić, w mieszkaniu, wieczorem to się wyleje, i jest święty spokój.

Po tych słowach Wojewódzka podeszła do wolnego krzesła przy stole, wyjęła z niego okrągłe denko i nakryła nim wiadro.

- Gdzie mąż pani'? Nie widzę go - zagadnął Kielak, przypomniawszy sobie cel swego przybycia.

- Wyszedł na miasto. A co pan chciał od niego?

- Nic takiego, ale wstyd mi za niego. Przychodzą do mnie ludzie z samego rana do domu i powiadają, że zginęła im ze strychu bielizna wywieszona do suszenia. Jakżem tylko usłyszał o bieliznie, od razu pomyślałem sobie o mężu. Wiem, że tu nikt inny nic zajmuje się teraz pajęczyną oprócz niego. Kiedyś był jeszcze stary Lewandowski, ale ten już dawno umarł, świeć, Panie, nad jego duszą.

- I trafił pan - zgodziła się Wojewódzka. - Ale mówię panu szczerą prawdę, że nie warto było sobie tym głowy zawracać. No bo niech pan sam powie, do czego to podobne: staję nie śpi całą noc, idzie na drugi koniec miasta, wraca nad ranem i przynosi dwie pary poźółkłych gaci i dwoje takich samych majtek babskich.

Ręką wskazała stół, na którym leżała nie prasowana bielizna. Kielak spojrzął we wskazanym kierunku i wyrozumiale pokiwał głową.

- Tak to jest - powiedział. - Dawniej było inne życie. Czasy były lepsze. Ludzie byli bogatsi, to i złodziejom było lżej, a dziś! Znałem kiedyś takiego jednego, dolina się chłop zajmował. Nazywali go „Złotą Rączką". Nie wiedział, co robić z pieniędzmi. Ludzie mówili o nim, że podobno skończył gdzieś za granicą jakąś szkołę złodziejską.

Przez cały czas Wojewódzka słuchała w wielkim skupieniu, a kiedy skończył, powiedziała w zamyśleniu:

- Tak. To byli wszystko ludzie wykształceni, z honorem, a dziś co jest? Została tylko Pajęczyna, Filung, Stryg, Moire. Pamiętam i ja te czasy, nie jestem już taka młoda.

- No, ja sobie tutaj z panią gadu, gadu, a czas leci. Widzę, że na starego pani się nie doczekam.

Wziął z kąta karabin i przerzucił przez ramię. Dopiął mundur pod szyją i założył czapkę.

- To może pan władza wzięłyby ze sobą te szmaty i zaniósł temu chłopu, co? - zaproponowała niepewnie Wojewódzka. - Nie jest tego dużo, zapakuję w gazetę.

Kielak niezdecydowanie podciągnął do góry ramiona i jak chłopiec, któremu nagle zachciało się siusiu, przestąpił z nogi na nogę.

- Albo ja wiem... - zaczął nieśmiało i zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze, Wojewódzka wcisnęła mu pod pachę niewielkie zawiniątko i z dobrotliwym uśmiechem delikatnie wypchnęła go za drzwi.

Kara Boża

Nawet wśród psów trafiają się psy, a cóż dopiero mówić o ludziach.

Tę kobietą Bóg pokarał, nic wiadomo kiedy i za co. Ludzie, którzy znali ją, wiedzieli o niej tylko tyle, że mieszka ona gdzieś niedaleko na poddaszu ze swoim nieodłącznym przyjacielem, wielkim i dobrze zbudowanym wilkiem.

Pies był bardzo przywiązany do swojej pani. Często widziałem, jak kobieta, niosąc pod pachą składane krzeselko, ostrożnie stawiała nogi na wyboistym trotuarze, a pies nigdy ani na krok nie wyprzedził kobiety ani też nie pozostawał za nią w tyle. Zawsze szedł czujnie przy jej nodze. Ludzie szczerze zazdrościli kobiecie psa, nie wnikając w to, że jest on jej oczami, chłopcem na posyłki i jedynym obrońcą.

Kobieta, kołysząc się ciężko, dochodziła zawsze do tego samego miejsca pod murem klasztornym, rozstawiała krzeselko, psu rzucała wytartą derkę i splótszy palce u rąk zaczynała kołysać się to wprzód, to w tył.

Przechodnie rzucali drobne datki do pudełka po konserwach.

Jej miernikiem czasu był głód, jaki dawał znać o sobie. Kobieta wiedziała, że robi się wieczór i niedługo będą zamykać sklepy. Wtedy wyciągała z pudełka drobne i wysyłała psa po zakupy. Pies brał w pysk zawinięte w papier pieniądze, biegł do bliskiego sklepu i po chwili wracał z prowiantem. Kobieta dzieliła zakupy na równo dwie części, jedną brała dla siebie, drugą dawała psu. Potem znowu cierpliwie czekali oboje, aż jakaś kobieta, wracając z dzieckiem ze spaceru, da mu drobną monetę żeby wrzuciło „babci” do pudełka.

Wieczorem, kiedy ulice pustoszały, kobieta szła do domu, po to żeby następnego dnia około południa przyjść w to samo miejsce i rozstawić znowu krzeselko.

Wszystko było dobrze, dopóki było lato, ale lato minęło. Minęły też szybko krótkie dni jesieni pełne deszczu, a po nich nastąpiła ciężka i sroga zima. Słupki termometrów co dzień wskazywały temperaturę poniżej dwudziestu stopni, a w nocy spadały poniżej trzydziestu. Radio co kilka godzin przerywało nadawanie audycji i spiker zwracał się do ludności miast i wsi z apelem o dokarmianie ptactwa i zwierzyny. Chronienie jej przed mrozami. Gazety niemal codziennie pisały o tym, że zgłodniałe wilki coraz częściej podchodzą do ludzkich osiedli i porywają wszystko, co tylko da się zjeść.

Dla kobiety i jej psa również nastąpiły ciężkie dni. Teraz ludzie, skuleni od zimna, z postawionymi kołnierzymi palt, zasłaniając się od wiatru, szybko przebiegali ulicę i nikomu nawet nie przyszło do głowy, żeby zatrzymać się przed babką i wrzucić chociaż grosz do pudełka.

Kobieta coraz częściej wracała na poddasze głodna i zziębnięta. Palila ogień i z niewielkich zapasów, jakie porobiła latem, gotowała kolację dla siebie i psa.

Przyszedł dzień, że zapasy się skończyły. Węgiel też się skończył. Kobieta od dwóch dni już nic nie jadła. Mróz ani na chwilę nie zelżał.

Trzeciego dnia głodu kobieta jak zwykle poszła pod mur klasztoru. Rozstawiała krzeselko i usiadła. Pilnie i nadaremnie nasłuchiwała chociażby jednego uderzenia drobnej monety o dno pudełka.

O zmierzchu ulicą przechodził jakiś mężczyzna. Przelotnie spojrzął na babkę, a potem na psa. Zrobił jeszcze kilka kroków i zatrzymał się. Przypomniał sobie radiowy apel spikera o dokarmianie ptactwa i zwierzyny.

Zawrócił. Wszedł do pobliskiej masarni. Kupił mięsa i pokroił na kawałki. Przystanął koło kobiety. Odwinął papier i rzucił psu kawałek mięsa na śnieg. Pies dźwignął się z derki. Spojrzął kobiecie w białe gałki oczu, jak gdyby prosząc ją o zezwolenie. Kobieta jakby wszystko widziała, uśmiechnęła się. Pies porwał z ziemi mięso i łapczywie połknął je. Mężczyzna rzucił drugi kawałek i odszedł. Pies porwał mięso z ziemi i nie oglądając się nawet za siebie, pognał za swym nowym panem.

1962 r.

Dziewczyna

Przez zakratowane okienko naszej celi widać było szarą, wysoką kamienicę. Odległość, jaka dzieliła więzienie od wspomnianej kamienicy, wynosiła jakieś trzysta metrów.

Całymi dniami obserwowaliśmy ten dom.

Pewnego dnia w upalne popołudnie jakaś dziewczyna mieszkająca na czwartym piętrze tej kamienicy otworzyła drzwi balkonu. Wyniosła leżak, składany stół i nocną lampkę. Zaczęła czytać. O zmierzchu zapaliła światło. Widzieliśmy ją pochyloną nad książką. Czytała do późnej nocy.

Po apelu wszyscy musieliśmy kłaść się do łóżek, nikomu pod żadnym pozorem nie wolno było chodzić po celi. Razem z kolegą byliśmy w tej szczęśliwej sytuacji, że we dwóch zajmowaliśmy górne łóżka. Tuż koło okna. Leżąc mogliśmy swobodnie ją obserwować. Następnego dnia już od samego obiadu staliśmy sfłoczeni pod oknem. Nikt nic nie mówił, ale każdemu było wiadomo, że czekamy na dziewczynę. Wszyscy zadawali sobie pytanie: „Przyjdzie czy nie?”

Jeden z więźniów wyraźnie nie panował nad sobą. Łaził po celi tam i z powrotem, jakby umówił się z nią na spotkanie.

Przyszła. Miała na sobie sukienkę z krótkim rękawem. Patrzyliśmy na nią z zadowoleniem.

Pewnego popołudnia dziewczyna zjawiała się na balkonie w towarzystwie jakiegoś chłopaka. Wskazała mu miejsce obok siebie. Usiadł. Zaczęli rozmawiać. W mieszkaniu było ciemno. Rodzice dziewczyny najwidoczniej gdzieś wyszli. Po jakimś czasie chłopak nieznacznie przysunął się do dziewczyny. Wziął jej rękę i podniósł do ust. Minęła długa chwila. Wreszcie chłopak wstał ze swego miejsca, objął ją ramieniem i przez otwarte drzwi poprowadził do mieszkania. Po godzinie wrócili na balkon.

Staliśmy w ponurym milczeniu. Kilku więźniów odwróciło głowy od okna.

Jeden z nas, skazany kiedyś na karę śmierci, chodził po celi jak obłąkany. Walił się kulakiem w zarośniętą pierś. Tego wieczoru nikt nie spojrzął w zakratowane okienko. Ludzie snuli się po celi tam i z powrotem. Byli opryskliwi i nerwowi. Klócili się o byle co.

I znowu minął dzień.

1'ego popołudnia dziewczyna nie wyszła na balkon. Zaczął padać deszcz. Padał przez całą noc i przestał dopiero gdzieś nad ranem. W nocy żaden z więźniów nie zasnął. Wszyscy przewracali się z boku na bok, stękali.

Tak mijały dni i całe tygodnie. W pewne jesienne popołudnie dziewczyna zjawiała się na balkonie, ale tylko na chwilę. Na stoliku postawiła lusterko: uczesała włosy i umalowała usta, po czym wyszła. Ubrana była odświętnie, inaczej niż zwykle.

W celi zapanował nastrój trudny do opisania.

Od tego dnia w naszym współżyciu - myślę o nas i o dziewczynie - coś się zmieniło.

Nie wychodziła na balkon co wieczór jak przedtem, ale co drugi dzień albo dwa razy w tygodniu.

Nadeszła zima. Zostaliśmy odcięci od świata cienką warstwą lodu na szybie. Do krat nie wolno było podchodzić. Czekaliśmy wiosny. Na wiosnę kończył mi się wyrok. Więźniowie wiedzieli o tym, dlatego też liczyli tygodnie, dni i ostatnie godziny.

Od trzech lat nikt z tej celi nie wyszedł na wolność. Najwyżej na półgodzinny spacer. Każdemu oprócz mnie sądzone było więcej niż połowę życia spędzić pod kluczem.

Ruszyły lody. Nadeszła wiosna, a wraz z nią dzień mojego zwolnienia. Od samego rana chodziłem lekko podenerwowany.

Bałem się wolności. Tu wszystko było wiadome, a tam?

Nie wiedziałem, co może spotkać mnie po wyjściu za bramę. Każdy krok był niepewny. Pocieszałem się tylko tym, że to, co miałem odsiedzieć, odsiedziałem. Teraz przyszła kolej na tych, którzy w ogóle nie siedzieli.

Kiedy przyszedł klawisz, żeby zabrać mnie ze sobą, podszedł jeden z więźniów. Położył mi rękę na ramieniu i spojrzął błagalnie w oczy. Zanim się odezwał, wiedziałem już, co miał na myśli. Przez całe zeszłe lato myślałem o tym. Wszyscy myśleliśmy o tym.

- Dobrze... dobrze - pocieszyłem go. - Bądź spokojny...

Pójdę prosto do niej i podziękuję za wszystko.

Ślub w agonii

Znałem ich wszystkich łącznie z nieboszczykiem Jankiem. Słowem całą rodziną. Helenką - żoną Janka, kobietą jeszcze młodą, o długim tułowiu i krótkich nogach, nieco łysiejącą, Zygmunta, z którym mieszkalem w jednym pokoju, a który w dzień pogrzebu wszedł do rodziny, i Władka - brata ciotecznego Janka. Nic znałem tylko tych, którzy zawiadomieni telegramem o nagłej i niespodziewanej śmierci Janka przyjechali gdzieś z dalekiej wsi i spóźnili się na pogrzeb o bite cztery godziny.

Jednak trzeba by zacząć od piątku zeszłego tygodnia.

W piątek nad ranem Janek obudził się jak zwykle. Chwilą leżał spokojnie, czując na swym biodrze rozgrzany zadek Helenki. Potem spojrzął na drugi tapczan, gdzie jak kocięta, w przykrótkich koszulkach, spała cała trójka nie domytych dzieci. Budzik wskazywał godzinę piętnaście po piątej.

„Mam jeszcze piętnaście minut” - pomyślał i zapalił papierosa. Zaciągnął się kilka razy. Jakiś czas w zamyśleniu spoglądał na wskazówki zegara i nad słuchiwał jego monotonnego tykania. Potem pokrył śpiącą Helenkę. Zatrzeszczały sprężyny.

Odezwiał się budzik. Było wpół do szóstej.

Wtedy Helenka się obudziła.

- Przestałbyś, bo nie zdążysz do roboty. Na maszynie stoi zupa. Odgrzej ją i zjedz. W kredensie zawinięte masz drugie śniadanie - powiedziała tylko i zasnęła na nowo.

Szybko ubrał się.

Zjadł trochę gorącej zupy, jaka została z kolacji, wsadził śniadanie-obiad do kieszeni i wyszedł na ulicę.

Po dziesięciu minutach był już na miejscu w pracy. Tu znowu przebrał się i stanął przy warsztacie.

Okolo godziny jedenastej zjadł drugie i ostatnie w swoim życiu śniadanie i poszedł do kasy po wypłatę.

O drugiej zawała syrena fabryczna. Przyszła druga zmiana i Janek wraz z innymi wyszedł za bramę.

Było ich trzech. Każdy przy pieniądzach.

Wtedy właśnie padło sakramentalne: „No to co?” i wszyscy trzej w milczeniu ruszyli w kierunku spółdzielni.

Nabyli pół litra, przeszli przez tory i usiedli w zielsku, żeby ich nikt nie widział.

Wypili wódkę. Tamci dwaj wstali. Otrzepli spodnie i powiedzieli, że nie na raz sztuka i że jutro też jest dzień, też będzie można obalić pół basa, i odeszli.

Janek powiedział tamtym, że on tu jeszcze zostanie, bo jakoś nagle zrobiło mu się niedobrze, i z urywanym oddechem, z wypiekami na twarzy, wyciągnął się na trawie i zasnął.

To było w piątek, a w niedzielę Helenka okolo południa stała pośrodku podwórza z zaciśniętymi pięściami wzniesionymi do góry i pomstowała do Boga, że wolałaby zobaczyć tego skurwysyna w trumnie niż na własne oczy.

Ludzie z podwórka, którzy wiedzieli o tym, że Janek wziął wypłatę w piątek i nie przyszedł do domu prosto z roboty, a potem nic było go całą noc z piątku na sobotę, o tym, że w robocie go nic było i na drugą noc nic wrócił do domu, śmiejąc się pocieszali Helenkę, że nic się właściwie nie stało i wszystko jest jasne jak na dłoni. Po prostu chłop wziął wypłatę, wypił trochę, poznał jakąś babę i zamelinował się u niej. Jak straci u niej wszystko co do grosza, to znajdzie się raz, dwa. Jak fałszywy weksel. Przyjdzie, przeczyści Helence luft raz i drugi, i po dawnemu wszystko będzie w porządku.

W pewnym momencie na podwórko, na którym stała Helenka, prosząc niebiosa o pomstę, zajechała siwa Warszawa. Z samochodu wysiadł mężczyzna w średnim wieku, rozejrzął się uważnie po podwórku i podszedł do Helenki otoczonej przez trójkę dzieci. Helenka przestała krzyczeć i z ciekawością spojrzała na przybyłego.

Mężczyzna spojrzął na bosą kobietę i zapytał, gdzie mieszka Jan Bąk. Wtedy Helenka powiedziała, że jest jego żoną.

Mężczyzna podszedł do samochodu. Helenka z dziećmi ruszyła za nim.

Przez otwarte okno przybyły wsadził rękę do środka, wyciągnął stamtąd obtłuczone lusterko kieszonkowe i pokazując je Helence, spytał, czyje poznaje. Helenka przecząco pokręciła głową. Następnie mężczyzna wyciągnął grzebień. Grzebień jak grzebień. Wiele jest podobnych do siebie. Kiedy pokazał papierośnicę, Helenka dłużej zatrzymała na niej swoje spojrzenie. Papierośnica podobna była do tej, którą nosił przy sobie Janek, z tym, że Janka była cała i czysta, nie pogięta i powalana we krwi. Na koniec mężczyzna pokazał dowód. Rozłożył go. Ze zdjęcia uśmiechał się Janek.

- To jest pani mąż?

- Tak.

- Jestem z milicji - przedstawił się. - Niech pani wsiądzie do samochodu.

Helenka usiadła na tylnym siedzeniu. Na kolanach posadziła najmłodszą, I lanię. Dwoje starszego rodzeństwa I lani, kiedy matka odjeżdżała z nieznajomym, zaczęło płakać i prosić, że też chcą „się przejechać”.

Samochód szybko okrężył drogą wjechał na rozległe ugory.

Mężczyzna zatrzymał wóz w miejscu, gdzie stało kilka osób, radiowóz milicyjny i karetka pogotowia.

Mężczyzna

pomógł wysiąść Helence, wziął ją mocno pod rękę i podprowadził do miejsca, gdzie na trawie leżał jakiś człowiek.

- Poznaje pani? - spytał mężczyzna odwracając na wznak leżącego.

Twarz leżącego była obrzękła i zakrwawiona. Na sinych ustach siadały muchy i odlatywały dalej.

Helenka z natężeniem wpatrywała się w opuchniętą twarz.

- Nic. Nic poznaję - wyszeptała w końcu.

- A ubrania pani też nie poznaje?

Helenka przeniosła wzrok z twarzy na odzież leżące-go i gryząc palce z krzykiem rzuciła się do samochodu, którym tu przyjechała.

Mężczyzna przywiózł z powrotem Helenkę z dzieckiem na podwórko, a ciało zabrano do szpitala na sekcję.

Jak wykazała sekcja, Janek miał w sobie antabus, o czym nic wiedział, i napił się wódki, a jak napił się wódki, dostał krwotoku i wywinął orła.

Na zeznaniu Helenka przyznała się, że wrzuciła Jankowi do zupy dwa i pół antabusa, chociaż należało się tylko pół, i zapomniała mu o tym powiedzieć.

W dwa dni potem odebrano ciało z prosektorium i zaczęto myśleć o pogrzebie.

W dzień pogrzebu od samego rana wszyscy poubierali się odświętnie, w co kto mógł, i gotowi by już iść, czekali tylko na Helenkę, która guzdrała się niczym panna młoda przed pójściem do ołtarza.

Ubrana była cała na czarno. Na głowic miała małeńki kapelusik, do którego w pośpiechu przyfastrygowała kawałek rozprutej pończochy.

Sam, co prawda, nie mogłem iść na pogrzeb, jednak odprowadziłem wszystkich do tramwaju.

Pojechali.

W czasie ich nieobecności przyjechała dalsza rodzina. Ci ze wsi. Długo i ze szczegółami musiałem tłumaczyć im przyczynę śmierci.

Po jakichś trzech godzinach, z Helką na czele, wrócili uczestnicy ceremonii pogrzebowej.

Zaczęto witać się z przyjezdnymi. Po powitaniach wyłonił się nowy problem. Gdzie urządzić stypę na tyle osób?

W końcu postanowiono, że najlepiej będzie, jak wszyscy przejdą do Władka, u którego ulokują się, jak i gdzie kto może. Tak też zrobiono. Ludzie pousadawiali się, część na łóżkach, stół wysunięto na środek mieszkania. Do niego przysunięto amerykańkę. Znowu troje ludzi usiadło. Reszta znalazła miejsca na przyniesionych od Helenki krzesłach.

Migiem na stole znalazła się wódka, jajecznica na wędzonce, boczek, kiszzone ogórki.

Ludzie na widok wódki stali się sobie jacyś bardziej bliscy, uprzejmiejsi.

Żona Władka przed każdym z biesiadników z braku kieliszków stawiała do wódki szklanki od herbaty.

Wzniesiono pierwszy toast za pamięć po zmarłym. Ktoś zauważył, że Helenka nie wypila.

- Co - krzyknął - nic wypijesz za swego męża? Wypij.

Inni go poparli.

Helenka początkowo oponowała, ale na nic się to zdało. Rodzina była nieustępliwa. W końcu Helenka uległa.

Ujęła drżącą ręką szklankę, podniosła woalkę, ukazując na moment pobladłą twarz, niczym wodę wypila pół szklanki alkoholu i z powrotem ukryła twarz za woalką.

Władek, który lubił zajrzeć do kieliszka, narzucił tempo. Nalał po raz drugi, nim inni zdążyli jeszcze cokolwiek przekąsić po pierwszym kieliszku.

Znowu ludzie podnieśli szklanki do góry.

Pito teraz z dwóch powodów. Z powodu śmierci Janka, której specjalnie nikt nie odczuł, oraz dlatego, że nareszcie po długiej nieobecności zebrała się cała rodzina.

I tym razem zmuszono Helenkę do wypicia.

Zapach smakowitej zakąski ściągnął dzieci z podwórka do mieszkania. Było ich piętnaścioro. Chodziły umorusane naokoło, skomląc o chleb z jajecznicą.

Żona Władka porobiła im kanapki i z powrotem powypychała za drzwi.

Od śmierci i pogrzebu uwagę biesiadników odwróciła siostra Janka, zwracając się do Helenki.

- Głupia - wrzasnęła podpita, przekrzykując rozmowy innych. - Czemu się martwisz?! Jeszcze jesteś młoda.

Znajdziesz sobie porządnego człowieka, ułożysz sobie z nim jakoś życie i będzie w porządku. O! Choćby pan Zygmunt. Człowiek samotny. Na miejscu. Pracuje. Ma garnitur. Zegarek. Chodzi w czystych koszulach.

Zamieszkalibyście razem. A to, że masz dzieci!' Dzieci są odchowane. Krzysio za dwa lata pójdzie do szkoły, za rok po nim Jola. Co pan na to, panie Zygmunco!'

Zygmunt milczeniem uchylił się od odpowiedzi. Udając, że nic nie słyszał, zaczął nalewać wódkę do szklanek.

- No to wszystkiego najlepszego - pierwszy wznosił toast.

Humory ludzi po wypiciu kilku kolejek wyraźnie się poprawiły. Nie mówiono już o Janku.

Jakiś znajomy Janka w kolejańskim mundurze, siedzący obok młodej kobiety, zaczął opowiadać widocznie pieprzny kawał, bo kiedy skończył, zaniósł się śmiechem, a na twarzy wystąpił rumieniec.

- Posłuchajcie! Posłuchajcie! - krzyczała wymachując ręką nad stołem. - Cha, cha, cha. Posłuchajcie go!

Ale nikt już nikogo nic słuchał.

Na dworze ściemniało się.

Zaczęto śpiewać.

Ktoś włączył radio. Z głośnika popłynęły dźwięki tanga. Po nim walc, a na końcu siarczysta polka. I wtedy odsunęto stół i amerykańkę pod ścianę. Krzesła poukładano na łózkach. Jako pierwsza para ruszyli Zygmunt z Helenką. Za nimi wzięli się pod boki inni. Pito i tańczono do późnej nocy.

Zadowoleni goście ze śpiewem opuszczali mieszkanie Władka. Jako ostatni wyszli Zygmunt z Helenką. Zaprowadził ją, niemal zaniósł na rękach do jej mieszkania. Pomógł i lelncc rozebrać się. Potem wracał jeszcze do Władka po śpiące dzieci. Za ostatnim razem zamknął za sobą drzwi od sieni na zasuwę.

Rano Zygmunt przyszedł na chwilę. Spakował swoje rzeczy do walizki i przeniósł je do Helenki.

Na jesieni wzięli ze sobą ślub, a w niecały rok po śmierci Janka zostałem ojcem chrzestnym dziecka Helenki i Zygmunta.

Hrabia

Dzień na ulicy Długiej zaczynał się jak na każdej innej budowie. Dokładnie na piętnaście minut przed godziną siódmą niewielka pakamera zapełniała się ludźmi i od razu zaczynały się kłótnie.

- Kto mi zabrał onuce? Jak Boga kocham! Wczoraj żona podarła całkiem dobre kalesony, żebym miał w co nogi owijać, i już ichnie widzę-wołał Szutak czerwony z wściekłości. - Powiesiłem na gumiakach, żeby przeschły! To sukinsyny. Ale ja poznam swoje kalesony!

- Okręć sobie nogi w torbę po cemencie i nie rób szumu - poradził któryś. - Papier dobrze grzeje. Będziesz miał nawet ciepłej.

Szutak spojrział w tę stronę:

- Coś ty powiedział?

Odpowiedziała mu salwa zdrowego śmiechu.

Stał na bosaka pośrodku brudnej podłogi, podwijając komicznie palce. Zamyślił się na moment. Potem jak dziecko, które przypomniało sobie nagle zrobioną mu krzywdę, spojrział po zebranych i zapytał:

- A gdzie Hrabia?

- Jeszcze nic przyszedł.

Hrabią nazywano tu chłopaka, podobno o arystokratycznym pochodzeniu, którego z jakichś tam nikomu nie znanych bliżej powodów nie chciano przyjąć na żaden uniwersytet w kraju. Parę razy składał egzaminy. Zdawał. Jeździł nawet swego czasu do Krakowa, ale wszędzie odpowiadano mu jednakowo, że owszem, ale, niestety, z braku miejsca i tak dalej... W końcu wylądował u nas jako pomoc.

Po jakimś czasie „naczałstwo”, a ściślej mówiąc, sam Miętus we własnej osobie, uparło się wykierować chłopaka na ludzi. I tak też się stało. Został kamieniarzem wbrew własnej woli. Pracował bezbłędnie. Zarabiał jak inni. Zmienił się bardzo od dnia, w którym do nas przyszedł, ale Hrabią pozostał do końca. Nawet Miętus w dni wypłat nie zwracał się do niego inaczej jak tylko: - Panie Hrabio! Chodź pan po wypłatę, bo chcemy już iść do domu!

- Jeszcze nic przyszedł? - powtórzył pytanie Szutak i wymachując w powietrzu rękami dla równowagi, podbiegł na palcach do ściany, na której wisiało robocze ubranie Hrabiego. Odwinął bluzę. Wzrok jego zatrzymał się na grubej flanelowej koszuli w wielką kratę. I nim ktokolwiek zdążył zorientować się, o co chodzi, Szutak zdjął koszulę z gwoźdźcia i uderzył z niej dwa równe kawałki. Kończył już zawijać drugą nogę i zamierzał wcisnąć ją w but, kiedy nagle w drzwiach stanął zdyszany Hrabia. Pozdrowił wszystkich od progu i podszedł do swego ubrania, w drodze zrzucając z siebie wyjściową marynarkę. Stał chwilę w samych tylko slipach i nerwowo przeszukiwał robocze ubranie. Potem rozejrzał się dookoła.

- Nic widziałeś mojej koszuli? - zapytał Tadka Matli.

- A co ja jestem twoim stróżem, żebym ci koszuli pilnował?

- Pytam się tylko.

- Szutak! Masz swoje gacie! - zawołał Zalas z drugiego końca pakamery.

Ludzie spojrzeli w tym kierunku. Zalas stał ręką podniesioną wysoko nad głową. W dwóch palcach trzymał z wyraźnym wstrętem parę onuc.

- (idzie były!)

Hrabia namacał coś miękkiego pod stopą. Schylił się. W szmatach, które podniósł na wysokość oczu, rozpoznał rękawy swojej koszuli.

- Kto to zrobił?

Nikt mu nic odpowiedział. W pakamerze zapanowała nieprzyjemna cisza. Wszyscy z wyrzutem spoglądali na Szutaka, który bezceremonialnie ściągnął z nóg dopiero co podartą koszulę i ze złością cisnął ją oniemiałemu z oburzenia Hrabiemu prosto w twarz.

Pakamera znowu zaniósł się śmiechem. Szutak ze spokojem owinał nogi w znalezione gacie. Włożył buty, a potem podskoczył kilka razy na podłodze, żeby się onuce lepiej ułożyły.

Hrabia głosem nabrzmiałym łzami zaklął w przestrzeń.

- To ja...

I po chwili:

- Męczę się. Pracuję, a taki jeden z drugim... Szutak bez słowa podszedł do Hrabiego. Wziął go lewą ręką za nos i pociągnął mocno do dołu. Kiedy Hrabia podniósł głowę do góry, w jego oczach błyszczały łzy. Bezradnie rozejrzał się dookoła. Szukał pomocy, ale wszyscy jak gdyby nabrali wody w usta. Jedyne Świącicki, który stał przy oknie, odezwał się:

- Panowie - powiedział. - Dajcie spokój. Nie róbcie awantury. Miętus idzie.

Kilku ludzi poderwało się z ławek i skierowało w stronę drzwi. Na progu stanął Miętus.

- Siódma. Wychodzić do roboty. A pan co, panie Hrabio? Jak zwykle jeszcze nic ubrany.

Hrabia nic nie odpowiedział. Patrzył na majstra z taką miną, jak gdyby zobaczył go po raz pierwszy. Szutak nie spojrział nawet na Miętusa. Dalej spoglądał drwiąco Hrabiemu w twarz.

- Jakżeś ty powiedział na mnie? To ja dla ciebie jestem „taki jeden z drugim”! Dokończ, coś miał na myśli.

- To co? Już się nic wolno nawet odezwać? - powiedział Hrabia spoglądając na Miętusa.

- To cię będzie kosztowało ćwiartkę, rozumiesz, ty chamie.

- Nic mam pieniędzy. A po drugie nic piję wódki.

- Nie masz? - spytał Szutak udając zdziwienie i z bezczelną miną wsadził rękę Hrabiemu do marynarki. Wyciągnął z niej kilka tysięcy i podał Matli mówiąc:

- Tadek. Skocz do „kościola”. Przynies za wszystko. I ogórków nie zapomnij.

Matla jak gdyby pracował na zryw. Zwinnie odebrał pieniądze i już go nic było.

- O, widzę, że kolega i do teatru chodzi - zawołał Szutak przyglądając się trzymanym w ręku biletom. - Zawsze mówiłem, że z naszego Hrabiego wyrośnie kiedyś porządny człowiek.

- Panowie! Zabraniam pić na budowie. Chcecie pić? Proszę bardzo. Ale tak, żebym ja tego nic widział - powiedział Miętus i opuścił pakamerę.

Nim Matla wrócił z „kościola”, Karolak wymyśl szklaneczki po musztardzie. Zalas wyciągnął śniadanie, jakie codziennie dawała mu żona do roboty. Znalazł się nóż. Pokrojono śniadanie na maleńkie kosteczki.

Ludzie wypili i w milczeniu żuli zakąskę. Ciszę przerwał Karolak:

- Hrabia. Weź moją koszulę. I tak już jest brudna. Jutro żona da mi czystą.

Hrabia niechętnie zaczął się ubierać.

- I żebyśmy byli kwita.

Karolak wyjął sto złotych i położył przed Hrabią.

- Zarabiam nie mniej od ciebie. Nie chcę, żebyś sobie pomyślał, że ktoś leci na twoje pieniądze.

Hrabia milczał. Za przykładem Karolaka położyli pieniądze na stole: Zalas, Matla, Longin, Szczęśniak i Święcicki.

Szutak nigdy nie nosił pieniędzy przy sobie. Co drugą sobotę, w dzień wypłaty, na budowę przychodziła jego żona i od południa czekała już na kasjera. Kiedy po fajrancie ludzie szli po pieniądze do biura-komórki, Szutak siedział z innymi. Podpisywał listę. Żona natomiast zabierała całą wypłatę. Za każdym razem odprowadzana przez Miętusa do bramy znikała sprytnie ukochanemu, zostawiając mu jedynie jakieś drobne na powrót do domu. A wszystko dlatego tak się działo, że kiedy parę tygodni temu spóźniła się odebrać pieniądze z powodu dziecka, którego nie mogła zostawić u żadnej sąsiadki, mąż jej zupełnie pijany siedział na budowie pod płotem z głową ciężko zwieszoną na piersi.

Pierwsza rzecz, jaką zrobiła wtedy, to przeszukała mężowi wszystkie kieszenie, ale niestety nie znalazła przy nim ani grosza. Zdążył wszystko stracić.

Dziecko, które zabrała z sobą na budowę, nie wiadomo czemu i jakby na złość, czepiając się matczynej spódnicy, nagle zapragnęło chleba. Wtedy ona, nie zastanawiając się nad tym, co mówi, wskazała dziecku pijanego i powiedziała:

- Idź do taty.

Dziecko ufnie podeszło, jak radziła matka, i wprost do ucha wyszeptano „kochanemu tatusiowi” swoją prośbę. Szutak szerokim gestem z potworną siłą przygarnął do siebie dziecko, które w końcu bardzo kochał po swojemu, i niezrozumiale wymamrotał, że „chleba nic będzie, ponieważ piekarz zachorował”. Potem w domu okazało się jeszcze, że ktoś skradł mu zegarek.

Od tamtej pory Szutak ani razu już nie odbierał pieniędzy. I wszyscy o tym wiedzieli, dlatego nikt się nie dziwił, że jak inni nie położył swojej doli przed Hrabią.

- Ale nie martw się - pocieszał go. - Da się radę. Pójdzie kit i będzie git. Pomogę ci w robocie i wszystko się wyrówna. A co do koszuli...

W pół godziny później, kiedy Miętus pełen czarnych myśli był prawie pewien, że pijaństwo się przedłuży, i drżąc o własną skórę, bo w każdej chwili mógł przyjść ktoś z dyrekcji, choćby goniec, zobaczyć, co tu się dzieje, a potem roztrąbić niepotrzebnie na wszystkie strony, zastanawiał się, jakby położyć temu kres, z pakamery wyszli ludzie.

Każdy podszedł do swoich kobyłek. Na budowie zaczęło się życie. Na odgłos rytmicznych uderzeń kneplami w dłuta Miętus, zamknięty w swym biurze-komórce, wyrzwał przez szybę na plac. Widząc ludzi zajętych robotą, odetchnął z prawdziwą ulgą.

Rytm i tempo pracy wzrastało z każdą chwilą. Wszyscy pracowali w milczeniu, z jakimś trudnym do opisanego uporem.

W jednostajnych uderzeniach widać było wielki wysiłek myśli i mięśni. Rzadko kto przerywał robotę na papierosa. Przy każdym uderzeniu knepla od obrabianego kamienia odskakiwały małe grudki. Powstawały chmurki pyłu. Ludzie nachyleni nad robotą wchłaniali ten pył. Mieli go pełno wszędzie: w uszach, włosach, oczach. Jak piach trzeszczał im w zębach.

Potem, po paru godzinach, sprawne ręce przy pomocy narzędzi, jakimi posługiwali się jeszcze kamieniarze za

czasów pierwszych faraonów, nadawały nieforemnym bryłom odpowiednie kształty. I oto niekiedy z wielkiego, kostropatego głazu powoli zaczynała wylaniać się ludzka głowa. Potem twarz skądś tak bardzo znajoma. Poblazliwy uśmiech lub zastygły grymas wokół twardych ust. Jeszcze tylko kilka uderzeń. Jeszcze trzy. Dwa. Jedno. I dłonie ludzi tchnęły w kamień życia.

Ze swego biura-komórki wyszedł Miętus. Jeszcze raz spojrzął na zegarek. Potem schylił się ciężko. Podniósł z ziemi kawałek żelaza i uderzył nim kilka razy w szynę zawieszoną przy dachu.

- Obiad! - zawołał podmajstrzy.

Wszyscy jak na komendę odłożyli na bok kneple. Otrzeputując się z pyłu ruszyli w stronę pakamery.

Zasiedli do stołu. Po pakamerze kręciła się jedynie stara Badowska, stawiając przed każdym talerz gorącej zupy. Ludzie, parając zmęczeniem, niechętnie wzięli się do jedzenia.

Hrabia usiadł koło Baracha, tępo spoglądając w okno. Ucho drażniło mu bez przerwy dmuchanie na łyżki i nieprzyjemne chlipanie. W nozdrza uderzał słodkawy zapach grochówki i swąd lekko przypalonej słoniny.

Nerwowo bębnił palcami po ławce, na której siedział. Niecierpliwie czekał, aż ludzie zjedzą i będzie można wziąć się do roboty. Wstał. Chciał wyjść na powietrze, kiedy odezwał się Kaczmarek:

- Hrabia.

Hrabia, zatrzymany w połowie drogi, powoli odwrócił głowę.

- Siadaj. Zjesz ze mną - powiedział i zrobił miejsce obok siebie.

Hrabia odmówił.

- Jedz, bo jak cię... Badowska podała drugą łyżkę.

Po obiedzie, zanim jeszcze Miętus zadzwonił w szynę ogłaszając koniec przerwy, do pakamery wtoczył się naczelny dyrektor Sowa. Wielkie chłopisko o nalanej twarzy rzeźnika. Rozsiadł się wygodnie przy stole, w wielkie ręce ujął równie dużą głowę. Patrząc na Szutaka, u którego kiedyś pracował jako pomocnik, zanim został dyrektorem, zapytał:

- I jak wam się pracuje, panowie?

- A jak wam? - Szutak zaklął nieprzyjemnie, uparcie wpatrując się w oczy Sowie. - Zapomniałeś już, jak mam na imię? Co?

- Pytam się wszystkich, a nie tylko was jednego. Badowska bez słowa postawiła przed Sową talerz grochówki. Obok położyła łyżkę.

- Jedz - powiedziała jak do swojego syna.

Znała go od lat. Pracowali kiedyś razem na niejednej budowie.

- Bardzo smaczna grochówka - dodała.

- Nie jestem głodny - odparł i odsunął talerz.

- Co też Badowska mu daje? - zapytał Matla. - Towarzysz dyrektor nie będzie jadł takiej zupy - poprawił się. - Kawaleczek kurczęcia, jakiejś gąski to co innego. Ale grochówka? Gdyby mnie wybrano na dyrektora, to też bym nie jadł.

Sowa spode łba zerknął na Matlę i wyciągnął rękę po talerz. Jedząc powiedział:

- Trzeba będzie u was zrobić naradę roboczą. Dawno już nic było u was żadnej masówki.

- Niech towarzysz dyrektor powie nam lepiej, kiedy wypłacą nam to rodzinne - powiedział zgryźliwie Szutak. - Przydałoby się.

- Przecież ty i tak nie dostaniesz pieniędzy do ręki, więc po co pytasz?

- To moja sprawa. Ja pracuję.

Sowa ze zrozumieniem kiwnął głową.

- Ale jak? Fuchy odstawiasz na każdym kroku. Partacz. Myślisz, że nikt się już nie zna na robocie? Taki fachman jak ty! Wstydzilibyś się.

- Partacz, powiedziałaś? - zaperzył się Szutak. - Fuchy?

- Nic krzycz tak - powiedział Sowa. - Nikt tu nic jest głuchy. Widziałem twoją robotę. Już gorzej nie może być speprzone. Od gzymsu odwalileś róg, że na taczki by się nie zmieścił.

Pani ludzi zaśmiało się.

- Ja go przykleję - zawołał Szutak.

- To każdy potrafi. Nawet on - Sowa wyciągnął rękę w stronę Hrabiego.

- On? - nie wytrzymał Szutak. - Żebyś tylko robił tak jak on, to wszystko byłoby dobrze. Uczylem cię kamieniarstwa, jak tylko umiałem. Robiłem, co mogłem, i powiem ci teraz całą prawdę: żebyś się wtedy nauczył, to byś robił ze mną do dzisiaj. Ale ty byłeś głupi. Głupi jak stołowa noga i dlatego wybrali cię na dyrektora.

- Ech ty, moczymordo - zaśmiał się Sowa. Szutak znieruchomiał.

- Jak to?

- Napilbyś się?

Szutak przejechał ręką po trzydniowym zarościu.

- Za kogo ty mnie bierzesz?

- A jak myślisz?

- Nic nie myślę - odciął się Szutak.

- To widać.

Szutak przez moment przyglądał się Sowie, a potem powiedział do robotników:

- Chłopaki. Idziemy do roboty. Z tym fagasem nie ma co gadać. Kutwa. Wielki dyrektor się zrobił. Zapomniał już, jak u mnie był za pomocnika. Zawsze mówiłem, że nie ma gorszej rzeczy, jak się z chama robi pana.

Ludzie niechętnie zaczęli wychodzić z pakamery.

- Zaczekajcie - powstrzymał ich Sowa. - Chodźcie no tu wszyscy. Blżej. Jeszcze blżej. O, tak. Dobrze.

Otoczyli stół, przy którym siedział dyrektor.

- Szutak! Postaw flaszkę.

- Nie ze wszystkimi piję - powiedział Szutak. - Do wódki dobieram sobie towarzystwo.

-Jak uważasz.

Sowa sięgnął do kieszeni i wyciągnął zegarek.

- Poznajesz? - spytał podsuwając go Szutakowi pod sam nos.

- Poznaję. Skąd go masz?

- A jak myślisz?

- Zginął mi z ręki, kiedy...

- Wiem o tym - odparł ze spokojem Sowa. - Sam ci go zdjąłem. Leżałeś pod płótem jak bydlę.

- Rany boskie. Co ja miałem za ten zegarek od kobiety! - złapał się Szutak za głowę.

- Więc jak? Stawiasz?

- Mowa. Tylko nie mam przy sobie... - Szutak wymownie klepnął się po kieszeniach. - Ale zaraz, zaraz.

Chwileczkę. Coś się robi.

Wyglądał, jakby w niego nowy duch wstąpił. Energicznie rozejrzał się dookoła.

- Hrabia! - zawołał podniesionym głosem. - Gdzie jest Hrabia?

- Jestem.

- Daj na flaszkę. Jutro ci oddani. Mamy okazję wypić z towarzyszem dyrektorem.

Hrabia bez słowa sięgnął do kieszeni.

- Dziś nie będziemy pić - powstrzymał ich Sowa. — Jest robota. Kiedy indziej nadarzy się okazja.

Sowa oddał Szutakowi zegarek. Na progu stanął Miętus.

- Co wy, do jasnej cholery!' Był dzwonek? Ciągle muszę każdego z osobna prosić do roboty?

- Nie pierdź, Wańka. Widzisz, że towarzysz dyrektor siedzi i nic nie mówi a ty tu wyskakujesz nagle i niepotrzebnie trzaskasz dziobem.

- Co mi tam dyrektor! - wzruszył ramionami Miętus. - Robota. Robota mnie obchodzi. Dyrektor za was nie zrobi.

Jak przyjdzie co do czego, mnie będą opieprzać.

- I słusznie - zauważył któryś.

Miętus, wściekły, jak z procy wyskoczył z pakamery.

Sowa uśmiechnął się i też wyszedł. Z trudem zmieścił się do maleńkiej Skody.

Samochód z wysiłkiem zaczął przebijając się po gruzach w stronę ulicy.

Kiedy auto z dyrektorem zginęło za bramą, Szutak, uważnie oglądając zegarek, powiedział:

- Cham. Wszyscy powiadają na niego cham, a okazuje się, że z niego całkiem porządny człowiek. Widział, że byłem wtedy trochę tego...to podszedł, zdjął mi z ręki zegarek i jakżeście sami widzieli, oddał bez słowa. Czy inny na jego miejscu zrobiłby to samo? Na pewno nie. Poszedłby opchnąć gdzieś na flaszkę, i cześć.

Po obiedzie czas jakoś szybciej zleciał. Nikt nie zdążył nawet się obejrzeć, kiedy Miętus uderzył w szynę na fajrant.

Skończono robotę. Pozbierano narzędzia i poukładano je starannie w skrzynkach.

Pakamera znowu się zapełniła. Ludzie myli się. Przebrali w wyjściowe ubrania. Przepychali przed kawałkiem stłuczonego lusterka przybitego gwoździkami do ściany.

Co młodszy układali starannie „fale” na głowach. Miętus jako ostatni zamykał pakamerę na ciężką, zardzewiałą kłódkę i wszyscy jak jedna wielka rodzina wychodzili z budowy.

Za bramą ściskali sobie ręce, wypowiadając sakramentalne: „do jutra”, i rozchodzili się. Każdy w swoją stronę.

Po wyjściu z budowy Hrabia, Miętus i Szutak skręcili na Podwał, jak mawiał Miętus. Minęli dyrekcję przedsiębiorstwa i doszli do Trasy.

Przy schodach Miętus pożegnał ich. Poszedł gdzieś w gruzy Starego Miasta, do kumpla na partię szachów.

Patrzyli za nim, jak idzie krokiem ciężkim, mocno pochylony do przodu.

„Ile on może mieć lat?” - zastanowił się Hrabia.

Szutak jak gdyby odgadł jego myśli.

- Kiedyś uczył mnie kamieniarstwa - powiedział w zamyśleniu. - Ale jak! Szczeniak byłem. Czternaście lat miałem. On był w tym czasie „panem czeladnikiem”.

Spojrzeli na siebie. Zapalili. W tej chwili obaj daleko byli myślami od miejsca, w którym stali.

-Hrabia!

- No!'
- Co robisz w niedzielę?
- A kiedy to jest?
- Pojutrze.
- Nic wiem jeszcze. Szutak zastanowił się.
- Wpadnij do mnie - powiedział. - Będę siedział cały dzień w domu. Pogadamy. Zjemy razem obiad. Przyjdzie też na pewno siostra żony. Mówię ci, baba! Ta kurwa dopiero zrobiłaby z ciebie człowieka.
Szutak współczująco pokiwał głową nad przyszłym losem Hrabiego.
- Starsza od ciebie, to fakt, ale za to wiesz!... Potem podali sobie ręce.
Szutak, jadąc schodami w dół, spojrzął za siebie. Hrabia stał na tym samym miejscu.
- Wpadnij! - krzyknął jeszcze. - Nic pożałujesz. A flakon też będzie.
Styczeń 1961 r.

Florka

Od samego rana było gorąco, zanosilo się na upał, a pić wódkę w zamkniętym mieszkaniu Florki w taką pogodę byłoby czystym szaleństwem, więc dlatego żeby nas nikt nie widział, poszliśmy pić za ustęp Choinowskich. Było nas trzech chłopaków i dla okraszy jedna kobieta. Byłem ja, Dziunio Dzwonkowski i Wójcik, świeżo upieczony wdowiec ze Stankowizny. Kobieta była siedemdziesięcioletnia Florka Bojażnik vel hrabina Dębska.

Florka miała łeb jak bania, pamiątkę po przebytej w dzieciństwie angielce, wyłysiała na czubku jak kolano, jedynie po bokach zwisały zlepione brudem resztki siwych kosmyków, które ledwie, ledwie zakrywały jej byczy kark i wielkie odstające uszy. W końskiej twarzy u nasady mięsistego nosa tkwiły wyblakłe, marynarskie oczy, w górnej szczęce nie wiadomo jakim cudem wisały jeszcze dwa wielkie pożółkłe zęby. W barach Florka przypominała Trąbińskiego, w biodrach zaś Adasia, trzynastoletniego chłopca. Ponętny przed pół wiekiem biust zwisał teraz na brzuchu i razem z perkalikową sukienką przepasany był jakimś tandetnym paskiem z białej masy. Jej pierwszym mężem był znany i ceniony w okolicy murarz, specjalista od klejnowskich sklepień, chłop na schwał, o kostropatej gębie, który w czasie jakiegoś pijaństwa na robocie padł od noża łobuzów gorszych od siebie.

Po śmierci pierwszego męża w życiu Florki nastąpił długi i jałowy okres, wypełniony jedynie przelotnymi miłostkami, a w jakiś czas potem przybłąkał się do niej na stałe młody arystokrata z „cyrku” przy ulicy Dzikiej. Wymoczek w porównaniu z pierwszym, bez fachu i pieniędzy, tyle tylko że był przystojny, miał ładny, zadbane wąsy i gładszą wymowę od Bojażnika. Na imię było mu Felek, na nazwisko Dębski, i do końca życia twierdził, że jest synem hrabiego.

Felek, jeśli tylko rozmowa zbaczala na temat jego urodzenia, odwracał od rozmówcy swą piękną głowę i z obrzydzeniem spluwał na kilkusetletnią gałąź genealogiczną. Brzydził się bogactwem, przeklinał niebieską krew, jaka płynęła w jego żyłach, i uważał, że nie ma nic piękniejszego pod słońcem od tego, kiedy młody arystokrata, świadomie odtrącający ojcowską schedę, wyciąga pomocną dłoń na samo dno i stamtąd wyciąga Florkę, a potem idzie z nią przez życie, ramię w ramię, w imię ludzkich praw i boskich przykazań.

- Boże, to był człowiek! - wspominała Florka po jego śmierci.

Siedzieliśmy na ceglach w wysokim zielsku pomiędzy starą wozownią a głębokim dołem wykopanym na popiół i śmiecie.

Florka jako swój wkład do libacji przyniosła z domu cały półmisek śledzi w oliwie, ponadto wetknęła każdemu w rękę szklaneczkę po musztardzie, wytarłszy je uprzednio w brudny fartuch przewiązany u pasa. „Sztafeta cztery razy po sto” ostro ruszyła z miejsca. Chodziło o to, że Wójcik i Dziunio myśleli stanąć jeszcze do roboty, zanim majster wstanie z łóżka. Ale nic z tych zamiarów nie wyszło, bo kiedy Dziunio odrzucił na bok trzecią pustą półlitrowkę, Wójcik ciężko dźwignął się z ziemi i na nogach z waty poszedł do polerowni, ale po dłuższej chwili wrócił, przebrany w wyjściowe ubranie. Około południa Florka przyniosła nam wielką wagę zupy pomidorowej z makaronem.

- Pić to pić - powiedziała. - Ale trzeba coś przy tym jeść, bo inaczej to się wszyscy pogotujemy, a przecież nie o to chodzi.

Wmusiła w nas po talerzu gorącej zupy, która rzeczywiście postawiła nas nieco na nogi.

- Teraz nic mamy się po co spieszyć - zauważył Wójcik. - Możemy pić sobie powoli, z roboty i tak już nici.

- A pewnie - poparła go Florka. - Robota nie zając, nie ucieknie. Roboty nigdy się nie przerobi, tak samo jak kobiety nigdy się nie przekocha. Najważniejsze to tylko, żeby zdrowie było. Pamiętam, kiedyś kamieniarz to był panem. Pracował tylko trzy dni w tygodniu: czwartek, piątek i sobotę. W sobotę brał wypłatę i szedł do domu.

Przychodził w poniedziałek z rana, ale nic stawał do roboty, od samego rana zaczynało się pijaństwo. Pili wszyscy. Szef, majstrowie, czeladnicy, nawet niektórzy praktykanci. Dzieci wysyłano po wódkę i zabawa trwała aż do środy wieczorem, a w czwartek znowu wszyscy łapali się za robotę - I aby do soboty.

Dawniej ludzie bawili się nie tak jak dzisiaj. Nieboszczyk Malesa raz po wypłacie podpił sobie, a że nic mógł ustać na własnych nogach, zawołał węglarza z wielkim koszem i kazał mu zanieść się do domu, a mieszkał aż na dalekim Grochowie. Węglarz wpakował go do kosza, zarzucił sobie na plecy i niósł go przez całe miasto.

Alejami, przez most, Waszyngtona. Ludzie po drodze przystawali, patrzyli na tragarza i śpiącego w koszu Malesę. Na miejscu Malesa bez słowa wyciągnął z kieszeni sto złotych i wręczył je tragarzowi za „kurs”. W następną sobotę ten sam węglarz od południa już czekał na Malesę przed bramą zakładu, żeby go znowu odnieść do domu. To były czasy!

- To było kiedyś - powiedział Wójcik, pochylając spoconą twarz w moją stronę. - Ale dziś, żebym ja nie pracował, to nic wiem, kto moim dzieciom dałby jeść. Sam jeden muszę na nie pracować. Nakarmić, ubrać, posiać do szkoły.

Florka jak gdyby tylko czekała na wynurzenia Wójcika. Ledwie skończył, zauważyła mimochodem, że nic powinien marnować dzieciaków, bo to się na świat samo nic prosiło, i powinien sobie poszukać jakiejś kobiety, która dzieciom zastąpiłaby matkę, a jemu żonę.

- Gdybym była młodsza o dziesięć lat, panie Wójcik, tobyśmy sobie pogadali, ale tak?

- Co też pani Florka mówi? Nic jest pani jeszcze taka stara, a ja taki młodzieniaszek. Pięćdziesiąty szósty skończyłem w kwietniu.

- Stara, niestara, ale zniszczona. Felek mnie wykończył swoją gadką, nic tylko mnie zresztą. Sam od niej zginął. Gdyby nie on, to ja dziś pięćmi bym się w dupę biła. Dzisiaj jestem niczym. Zerem. Tak jak mnie pan w tej chwili widzi. Ale trzeba było zobaczyć mnie dwadzieścia lat temu, kiedy pracowałam jeszcze u Bąkowej. Właśnie wtedy poznałam Felka. Przyszedł nie wiadomo skąd i po co. W zniszczonym ubranku, podartych butach i brudnej koszuli. Zajął stolik przy otwartym oknie i zapatrzony w ruchliwą o tej porze ulicę zaczął dłużyć wykałaczką w zębach. Myślałam, że czeka na kogoś, i dlatego nie podchodziłam do niego. On pierwszy podszedł do mnie. Wstał od stolika, przeszedł przez salę pełną gości i stanął mi za plecami. Puknął mnie w łopatkę raz i drugi, a kiedy spojrzałam na niego, zapytał, bardzo grzecznie zresztą, czemu obsługuję wszystkie inne stoliki, a do niego nic nie podchodzę. Odprowadziłam go na miejsce i przyjąłam zamówienie. Po chwili postawiłam przed nim ćwiartkę z białą główką i podwójną porcję palonego grochu.

Oparta o bufet od czasu do czasu spoglądałam w jego stronę. Siedział zapatrzony na ulicę, a kiedy podnosił kieliszek z wódką do ust, wyszukiwał na sali jakąś twarz, pod którą mógłby wypić. Żał mi się go zrobiło, albowiem ciągle uważałam, że nic ma nic smutniejszego niż mężczyzna samotnie pijący wódkę.

Po drugiej ćwiartce, kiedy wszyscy goście opuścili lokal, Felek przywołał mnie do swego stolika i zapytał, czy nie mogłabym mu wskazać jakiegoś hotelu, w którym mógłby się zatrzymać na jedną, a najwyżej dwie noce. I lotcie były w śródmieściu, a godzina późna. Przyjrzałam mu się; wydał mi się całkiem do rzeczy. Pomyślałam chwilę, a potem zaproponowałam, że gdyby się zgodził, to mógłby u mnie przespać te dwie noce. Przystał na moją propozycję szybciej, aniżeli sama się tego spodziewałam:

- Raz kozie śmierć - powiedział. - Idziemy, szkoda czasu. Niech pani prowadzi.

Mieszkałam sama, przyprowadziłam go do siebie. Posadziłam przy stole w pokoju, a sama, zajęta w kuchni kolacją, obserwowałam przez uchylone drzwi, jak z zaciekawieniem rozgląda się po mieszkaniu.

Kolacja przeciągnęła się do późnej nocy. Nad ranem zgasiłam światło i wsunęłam się obok niego pod pierzynę. Jak zawsze, tak i tym razem spałam od ściany. Ta noc zamieniła nam się w życie. Następnego dnia Felek wylegiwał się w łóżku do południa, a ja skakałam koło niego jak przy chorym. Śniadanie podałam mu do łóżka wedle jego życzenia, potem obiad, a pomiędzy posiłkami już wtedy prosiłam go, żeby pozwolił mi chwileczkę poleżeć koło siebie, był łagodny, włożyłam pod pierzynę. Po tygodniu Felek wylażł z łóżka. Nagrzałam kocioł wody, wyszorowałam go nad miednicą i dałam na fryzjera, dałam mu też czystą koszulę po Bojażniku i wyszliśmy na miasto.

Na ulicy Felek puścił moją rękę i powiedział:

- Mamo, nic gniewaj się na mnie i nic miej tego za złe, ale to dla twego dobra. Wiesz, jacy są ludzie, ty idź przodem, a ja będę szedł za tobą. Nic chcę ci po prostu robić wstydu swoją osobą. W wyższych sferach, o których ty nic masz najmniejszego pojęcia, to nieważne, kto z kim idzie, ale tu? Wszyscy cię znają, wezmą na języki.

Przez pół roku zawsze chodziłam przodem, a Felek za mną, dopóki ludzie nie przywykli do tego, że zamieszkał pod moim dachem.

Po tygodniu Bąkowa, widząc, że jestem zakochana, na moje miejsce przyjęła jakąś dziewczuchą ze wsi. Zostałam bez roboty, ale Felek zaraz pocieszył mnie słowami, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło:

- Zwolniła z roboty? Pies ją drapał, jej sprawa, sama tylko najgorzej na tym wyjdzie. A my mamy jakieś oszczędności, mamusiu? - spytał. Miałam odłożonych na czarną godzinę dwa tysiące czystego grosza w żywej gotówce. Felek, jak się dowiedział o tym, zatkało go. Na ulicy wziął mnie na ręce jak małą dziewczynkę i na oczach ludzi pocałował w usta.

- Sam Pan Bóg mi cię chyba zesłał, skarbonko kochana. Nie! Ty w swoim życiu nic już nic będziesz robiła, ja będę nad tym czuwał. Taka kobieta jak ty nic nie powinna robić, ludzie powinni na ciebie pracować i przekonasz się, że niedługo tak będzie. Ty tylko będziesz jadła, spała i czytała książki. Lubisz, mama, czytać książki? Zmartwiło mnie to, co powiedział. Byłam kobietą od dziecka przyzwyczajoną do roboty, a książek nigdy nie czytałam. Nic mogłam zrozumieć, jak człowiek może tak żyć: jeść, spać i nie pracować, czytać książki - i nic więcej. Felek jednak był wyrozumiały.

- Nic dziwię się, mamu - powiedział - żeś nigdy nie czytała. Byłaś zahukana, zaszczuta, i dobrze się stało, że Bóg ci mnie zesłał. Nie wiem, co by się z tobą stało do tej pory, gdybym wtedy nie przyszedł do tej ohydnej knajpy, w której tobą pomiatano. Byłaś już na samym dnie, ty tego nie widziałaś, ale ja, człowiek z zewnątrz? Zresztą nic warto już tego rozpamiętywać, było, przeszło, koniec. Od tej pory zaczniesz żyć jak człowiek. Za rok czasu nie poznasz sama siebie. Zobaczysz.

W tydzień po tej rozmowie wsiadłam w tramwaj i pojechałam na miasto kupić jakichś ochłapów na obiad. Na mieście zbałamuciłam ze trzy godziny. Porobiłam zakupy, wracam, wysiadam z tramwaju i ledwie zrobiłam parę kroków, spotyka mnie Hela z „krowią nogą” i śmieje się ze mnie. Patrę na nią i nie wiem, o co jej chodzi, z czego tak się śmieje. „Umazana jestem na gębie czy co, do cholery” - pomyślałam sobie i wycinam lusterko, patrę. Wszystko w porządku. Na szczęście Hela przestała się śmiać, bo chciałam już przypakować jej siatkę

trzymaną w rękę, i powiada mi, żebym czym prędzej leciała do domu, to może jeszcze coś uratuję, bo Felek z trzema innymi chłopami rozwała mieszkanie.

Popatrzyłam na nią jak na wariatkę i pytam o szczegóły:

- Jak to rozwała mieszkanie, co to znaczy? Cały dom? A ona mi na to:

- Radzę pani, leć pani prędzej, szkoda czasu na gadanie. Tknięta złym przeczuciem, nie zatrzymując się nigdzie po drodze, ruszyłam biegiem od przystanku, co sił w nogach. Leciałam, aż mnie zatykało. Nie mogłam prawie oddychać. Ledwie skręciłam w naszą ulicę, z daleka już zobaczyłam kupę gruzu na środku jezdni.

Na wprost wywalonej ściany mieszkania stał tramwaj pełen ludzi. Felek, wymachując rękami przed nosem motorniczemu, tłumaczył coś zawzięcie. W złości tupał nogami. Dwóch robotników, których wynajął do rozwalenia ściany, na czworakach pełzało dookoła tramwaju, wyciągając spod kół gruz i potłuczone cegły.

Wreszcie tramwaj odjechał. Felek na mój widok uśmiechnął się z zadowoleniem, otrzepał ubranie z pyłu i pokazując mi dziurę, przez którą widać było całe mieszkanie, zapytał, jak mi się to podoba.

Stałam i nic mogłam z siebie słowa wydobyć. Wreszcie ochłonęłam nieco z pierwszego wrażenia i dawaj wsadzać joby Felkowi i robotnikom, których przyprowadził.

W pierwszej chwili chciałam lecieć na policję, ale Felek odgadł moje myśli. Złapał mnie wpół, wepchnął do pokoju i zamknął za mną drzwi na klucz, a zdziwionym robotnikom wyjaśnił:

- Przepraszam panów bardzo za ten przykry incydent, ale sami widzieliście na własne oczy, że siostra moja cierpi na zaburzenia psychiczne. Nie należy zbyt przejmować się tym, co ona mówi.

- To do lekarza trzeba by ją zaprowadzić - poradził starszy z robotników.

- A byłem, młody człowieku - odparł mu Felek. - Wydałem na nią masę pieniędzy. Jeździłem swego czasu nawet do Grabkowa, był tam kiedyś ksiądz, który leczył ziołami, zbadał biedaczkę, ale też niewiele pomógł.

Wieczorem, już przy blasku latarni ulicznej, na miejsce wywalonej ściany wstawiono oszklone drzwi, a obok wielką witrynę. Gruz z ulicy zwieziono pożyczonym wózkiem w to miejsce, gdzie teraz siedzimy. Następnego dnia od samego rana przyszedł stolarz z pomocnikiem i w kuchni zrobił półki od podłogi aż po sam sufit.

Chcąc nie chcąc, musiałam zapłacić ludziom za robotę i materiał.

W trzy dni, po wszystkim Felek nad nowymi drzwiami przybił wielki kolorowy szyld: „Sklep spożywczy. Art. mieszane. Hr. F. Dębski i S-ka.”

Kiedy wszystko było gotowe, wywołał mnie na ulicę przed mieszkanie i pokazując swoje dzieło, za które ja musiałam zapłacić, zapytał:

- A teraz jak ci się podoba, mamó?

Tak jak powiedział, tak też się stało. Od nowego roku byłam panią na swoim. Nie musiałam teraz na czas wstawać, lecieć do roboty i wysłuchiwać czyichś głupich gadek. Sklep zawalony był towarem, aż się półki uginały, drzwi się nie zamykały po prostu, ludzie wchodzili, kupowali i wychodzili kręcąc głowami. W głowach nie mogło

im się pomieścić, jakim cudem stałam na nogi. W połowie lata sama nie mogłam dać sobie rady w sklepie i przyjąłem dziewczynę do pomocy. Felek bez przerwy jeździł po mieście za towarem. Do domu wracał coraz później. Często podпиты. Ciężko walił się w ubraniu na łóżko i od razu zasypiał. Po zamknięciu sklepu musiałam go rozbierać, wstawać w nocy i parzyć mu kawę, podawać kwas od ogórków, żeby na rano znów był gotów wyjść w miasto za interesami.

Prosiłam go, żeby przestał pić, żeby się opamiętał na jakiś czas, żeby zrobił przerwę w picciu, bo się wykończy szybciej, aniżeli myśli.

Po każdym pijaństwie przysięgał, zaklinał się na pamięć matki, że więcej nic weźmie wódki do ust, będzie unikał towarzystwa. Przystawał pić na trzy, cztery dni i znowu gdzieś ginął. Postanowiłam sama jeździć po mieście za towarem, a Felek żeby zastąpił mnie w sklepie za ladą, pilnował dziewczyny i obsługiwał klientów.

Powiedziałam mu o tym, zgodził się bez słowa.

Po jakimś czasie zauważyłam, że Sabina, dziewczyna przyjęta do pomocy w sklepie, z każdym tygodniem podejrzenie grubieje. Korzystając z chwilowej nieobecności Felka zawołałam dziewczynę do mieszkania za sklepem, a tam, celowo nie przyciskając jej do muru, bo nie chciałam, żeby jako sprawcę swego nieszczęścia wymieniła Felka, zapytałam ją, czym się odżywia, że tak dobrze wygląda.

Dziewczyna nabrała wody w usta i na próżno starała się wciągnąć wydatny brzuch.

Po namyśle wypłaciłam jej za przepracowany miesiąc i odprawiłam ze sklepu. Felek, jak się dowiedział o tym, co uczyniłam, wpadł we wściekłość.

- Jak mogłaś posądzić tę dziewczynę o coś podobnego - krzyczał. - Nie miałaś prawa zwolnić jej bez podstaw z pracy. Nie, mamó, nic spodziewałem się tego po tobie. Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że za krzywdę tej dziewczyny nie minie cię kara boska.

I nic minęła. W tydzień po klótni z Folkiem, kiedy zajęta byłam na mieście sprowadzaniem towaru, okradziono sklep. Wyniesiono z niego doszczętnie wszystko. Skradziono nawet pieniądze z kryjówki, o której istnieniu wiedziałam tylko ja i on. Chciałam lecieć na policję, zameldować

o kradzieży, ale Felek, jak zawsze, tak i tym razem, wytłumaczył mi, że nie warto nigdzie latać, a przede

wszystkim na policję, bo policja i tak niczego nie znajdzie, a wstyd, jakiego sobie człowiek przy tym narobi, pozostanie przy nim na zawsze. Potem przysięgał mi na naszą miłość, że w tej kradzieży swoich palców nie maczał. Nic ma nic wspólnego ze złodziejami, którzy nas okradli. Jest tego samego zdania co i ja, złodzieja należałoby przypalić żelazem albo jeszcze lepiej: dla przykładu obciąć mu prawą rękę, jak robią ze złodziejami w Szwecji, ale trzeba pamiętać też o tym, że tu na pewno był nie jeden człowiek. Jednego posadzą, a drugi, jego kompan, przyjdzie i kiedy nikogo nie będzie, podpali chałupę.

Dałam ze złodziejami spokój. Nie było innej rady. Znowu trzeba było zaczynać wszystko od początku i kiedy na Boże Narodzenie stanęłam jako tako na nogi, zawitała do nas Sabina. Przyszła złożyć nam życzenia świąteczne i noworoczne. Byłam wzruszona jej serdecznością. Żałowałam nawet, że wtedy tak od razu odprawiłam ją ze sklepu. Po jej wyjściu zauważyliśmy stojące na ladzie duże pudło tekturowe mocno obwiązane grubym sznurem od bielizny. W żaden sposób nie mogliśmy domyślić się, czyją mogło być własnością. Do wieczora czekaliśmy z paczką, aż ktoś po nią się zgłosi, ale nikt nie przychodził. Wieczorem przecięłam sznury na pudle i ledwie zajrzałam do środka, o mało trupem nie padłam na miejscu.

Wewnątrz pudła, zawinięte w brudne i mokre od sików pieluszki, leżało dziecko. Chłopczyk podobny był do Felka jak dwie krople wody.

- Nie ma co - powiedziałam. - Ładny prezent na Gwiazdkę. Bachor. Co z nim teraz zrobić? Jest Wigilia, za parę godzin ludzie zasiądą do stołów, wszystko będzie pozamykane.

Na szczęście znalazłam adres rodziców Sabiny. Zapakowałam szybko dziecko z powrotem do pudła, wsiadłam w taksówkę i pojechałam najpierw pod komisariat. Na policji powiedziałam, jak się sprawa przedstawia, a potem w towarzystwie policjanta zajechaliśmy pod dom Sabiny. Zaskoczona dziewczyna, która w towarzystwie jakiegoś nygusa razem z rodziną zasiadała do stołu, na mój widok o mało nie zemdląła. Próbowła wyprzeć się własnego dziecka i niewiele brakowało, żebym musiała z tym bachorem wracać do siebie do domu, ale w pewnej chwili przyszła mi do głowy zbawienna myśl, która zaskoczyła wszystkich obecnych w mieszkaniu, a nawet mnie samą. Na oczach ludzi podeszłam do Sabiny i przez wielki dekolt w sukni wyjęłam jej pierś, ścisnęłam w rękę, dziewczyna pisnęła z bólu, a z brodawki jak z fontanny trysnął pokarm. To przesądziło o wszystkim.

Po powrocie do domu zastałam Felka płaczącego w pokoju przy stole.

- Mamo - zawołał na mój widok. - Dlaczego Bóg tak ciężko mnie karze? Co ja biedny komu zrobiłem złego! Gdybyś przyszła parę minut później, już bym był na tamym świecie. Przygotowałem nawet pasek, jak sama widzisz.

Przysięgał na wszystkie świętości, że to było nie jego dziecko. Według niego Sabina przyniosła dziecko, chcąc zemścić się na mnie za to, że wtedy odprawiłam ją ze sklepu. Wtedy ja powiedziałam mu, co myślę o tym wszystkim, że mam dość już jego i całego sklepu. Zlikwiduję wszystko i pójdę do roboty. Po tych słowach Felek zerwał się od stołu na równe nogi, zaczął latać po mieszkaniu z kąta w kąt i krzyczeć, że nie mam prawa posadzać go o swoje

nieszczęścia, o to, co już się stało do tej pory i co stać się jeszcze może.

Krzyczał też, że nie po to zatrzymał się pod moim dachem, aby ciągle wysłuchiwać strofowania i wymówek, ale po to, żeby mi pomóc bezinteresownie jak komuś bardzo niezaradnemu. Na koniec zapakował wszystkie swoje rzeczy w niewielki węzełek i bez pożegnania wyszedł z domu.

Wyszedł, a ja nie próbowałam go zatrzymać. Myślałam, że wróci, ale przeliczyłam się. Po dwóch godzinach oczekiwania wyszłam na miasto. Znalazłam go zresztą bez trudu. Wrócił na własne śmiecie do „cyrku”.

W obecności rozmaitych szarlatanów, którzy znali Felka z jego poprzedniego tutaj pobytu, ze łzami w oczach musiałam prosić go, by wrócił do domu, nie psuł mi świąt i darował wszystkie winy. Wreszcie po długich namowach zgodził się wrócić pod warunkiem, że na Wigilię zaproszę jego najbliższych przyjaciół, którzy nie z własnej winy znaleźli się w tym przybytku nędzy, rozmaitych chorób i upodlenia. Nic miałam innej rady, musiałam ustąpić jego żądaniom.

Felek, jak przystało na gospodarza domu, obsługiwał gościom przy kolacji, później na pożegnanie wręczył każdemu z nich po butelce wódki, a po ich wyjściu z rozpromienioną twarzą zwrócił się do mnie:

- Za okazanie serca tym nieszczęśnikom Bóg sownie wynagrodzi cię, mamo. Pozwól, że cię ucałuję.

Rzeczywiście po Nowym Roku jakoś lepiej zaczęło mi się powodzić. Felek przestał pić, w każdym razie jeśli nie przestał zupełnie, to już nic pił tak jak kiedyś, do utraty przytomności. Siedział w sklepie i rzadko kiedy wychodził na miasto, gdzie na ulicach coraz częściej słyszano się rozmowy o wojnie.

Po wejściu ruskich do Warszawy nie tak łatwo już jak kiedyś można było pozwolić sobie na ponowne otwarcie sklepu. W mieście brak było pieniędzy, towaru i ludzi. Śródmieście leżało w gruzach, nie było ulic, wszystko diabli wzięli.

Felek pewnego dnia przyniósł do mieszkania dwie beczki po benzynie i kawał miedzianej rurki. Wyszorował beczki gorącą wodą, rurkę wygiął w spiralę i w krzakach bzu za mieszkaniem urządził „fabrykę”. Z resztek cukru zrobił kilkanaście litrów bimbru i sprzedał je Rosjanom za mąkę, kaszę, groch i słoninę.

Powracający do miasta ludzie mieli wprawdzie dolary i złoto, ale nic mieli co jeść, gdzie spać i w czym chodzić. Dla nich więc zaczęłam gotować obiady z produktów nabytych przez Felka u Rosjan.

Początkowo ludzie stołowali się u mnie, a potem zaczęli przychodzić po obiady z bańkami. Przychodziły przeważnie kobiety z dziećciakami, bo chłopów Niemcy wybili w powstaniu.

Któregoś dnia mówię do Felka:

- Feluniu kochany, wlaźbyś na szopkę, gdzie gotuję obiady dla ludzi, i zreperowałbyś dach, bo jak deszcz pada, to woda przez dziury leci prosto do kotłów. Zupy przez to więcej wprawdzie, ale do niczego, chyba że dla świń. Popatrz na mnie ze złością.

- Dach ci nic zreperuję, bo to nic moja dziedzina, nic potrafię, a jeśli chodzi o ludzi, to ty się nimi nie przejmuj. Zjedzą wszystko. Człowiek nie świnia, jak powiadają. W powstaniu za taki kocioł zupy, jak ty gotujesz, można byłoby dostać sztabę złota i butony na dokładkę.

Nic dawałam mu nigdy spokoju z tym dachem, ciągle go męczyłam, tłumaczyłam, że to tylko dwie godziny roboty i będzie spokój.

Zrozumiał w końcu, że ze mną nie wygra, i złapał się za reperację dachu, w momencie kiedy ja zupełnie tego się nie spodziewałam.

Dwa wielkie kotły grochówki dogotowywały się. Zupa była buzi dać. Weszłam na chwilę do mieszkania po majeranek, a Felek tymczasem przyniósł od Choinowskich drabinę, przystawił ją do szopki i wlaź na dach, mając pełne usta papraków. W jednej ręce trzymał młotek, w drugiej zaś kawałki papy. Na czworaka przyczołgał się na szczyt dachu do kawałka zardzewiałej rury zastępującej komin. Przez roztargnienie, w niezrozumiały sposób dotknął do niej spoconym karkiem. Ciało przytknięte do rozgrzanej rury zaskwierczało. Felek szarpnął się nagle do tyłu. Spróchniałe deski nic wytrzymały jego ciężaru, zaczęły trzeszczeć. Za późno było już, żeby się cofać. Chcąc się ratować, Felek rozpaczliwie robił rękami, nic czując gruntu. Walił pięściami w dach. Z dachu sypały się wióry, fruwały w powietrzu. Zaraz potem wbił się siedzeniem aż po kark w wielki kocioł z gorącą grochówką. Ulepiona naprędce z cegieł kuchnia rozpadła się w kupę gruzu, a Felek, wbity w kocioł aż po samą szyję, z wrzaskiem wytoczył się z szopki na środek podwórza.

Na trzask łamanych za ścianą desek wybiegłam z mieszkania, trzymając w rękę przygotowaną do zupy wiązkę majeranku.

Początkowo nic nie mogłam zobaczyć, bo unoszące się opary przesłaniały mi wszystko. Dopiero po chwili, gdy opadły, ujrzałam Felka i w żaden sposób nic mogłam zrozumieć, co on robi w tym kotle. Dlaczego tak okropnie krzyczy, wymachuje mi młotkiem i pluje gwoździakami? Na szczęście, kobiety, które przyszły z bańkami po obiad, więcej ode mnie zachowały zimnej krwi i pierwsze przyszły Felkowi z pomocą. Siłą wyciągnęły go z kotła, rozebrały do naga na środku podwórka i ciało zaczęły mu nacierać roztopionym mydłem raz przy razie, a Felek, zamiast dziękować im, był jak obdzierany ze skóry, unosząc to jedną, to drugą nogę, aż wstyd powiedzieć. Po tygodniu leżenia w łóżku cichaczem wymknął się z domu i przepadł jak kamień w wodzie. Nic było go cały dzień. Wieczorem też nie wrócił. O jedenastej położyłam

się do łóżka i nasłuchiwałam jakiś czas, a potem sama nie wiem, kiedy mnie sen zmorzył. Obudziłam się w środku nocy, bo wydawało mi się, że ktoś wchodzi do mieszkania, ale nikogo nie było. Była cisza. Zegarek, nic nakręcony, stanął. Nic wiedziałam, która może być godzina, przypuszczałam jednak, że jest już późno, bo na ulicy zaczynało się rozwidniać. Mogła być druga, trzecia nad ranem.

Znowu usnęłam. Obudziła mnie rozmowa za oknem. Poznałam głos Felka, jak komuś tłumaczył;

- Kochany kolego, rozumiem pana doskonale, ale i pan niech zechce mnie zrozumieć i wejść w moje położenie. Pan na pewno też żonaty i dzieci ma. Pańska żona z pewnością nieraz była w ciąży, a pan łamał sobie głowę nad tym, skąd tu wytrzasnąć jeszcze tysiąc złotych. Otóż ze mną sytuacja jest podobna, tak samo jak panu kiedyś, mnie w tej chwili zależy na każdym groszu. Mam żonę w ciąży, jest bliska rozwiązania i na dniach spodziewa się dziecka. Teraz pojmuje pan, dlaczego ja nic jestem w stanic, choćbym nawet bardzo tego pragnął, zapłacić panu za ten kurs.

- Panie, ja już nie chcę od pana pieniędzy za kurs, bo wiem, że i tak ich nie dostanę, ale zapłać mi pan przynajmniej za benzynę, z której muszę się rozliczyć. Samochód nic jest moją własnością, tylko ambasady angielskiej. Jezus, Maria! Jak usłyszałam, że jestem w ciąży, to aż mnie zatkało. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Zerwałam się z łóżka, zarzuciłam szlafrok na gołe ciało i wyleciałam na ulicę. Złapałam Felka za marynarkę i pytam go:

- Powiedz mi, Felek, natychmiast, tu przy świadku, kto jest w ciąży, ja? Ja jestem w ciąży? Co ty wygadujesz? Zapłać lepiej człowiekowi za taksówkę i chodź do domu. Niech jedzie, dokąd ma jechać, może czekają na niego w domu głodne dzieciaki, a ty zatrzymujesz go tutaj niepotrzebnie.

Odepchnął mnie jak łobuz.

- Wynoś mi się stąd natychmiast. Jak śmiesz ubliżać mojemu szkolnemu koledze. Nie widziałem go od przed wojny. Po tylu latach spotykam człowieka, robię mu tę przyjemność, żeby mnie odwiózł do domu, a ty wpadasz jak bomba, nic wiesz nawet, o co chodzi, i wrzeszczysz na całą ulicę: Zapłać mu! Masz szczęście, że jest noc i nikt ciebie nie słyszał.

Szofer popatrz na Felka, na mnie, zawrócił samochodem i pojechał.

Weszłam do mieszkania, a Felek za mną, potracając po drodze bańki, kubel z wodą i taboret.

- Kładź się - mówię do niego. - Jesteś pijany.
- Kto pijany, ja? - on mi na to. - Zdaje ci się. Muszę przynieść węgla.
- Oszalałeś? Przecież jest lipiec, człowieku!

Wziął wiadro od węgla i wyszedł z mieszkania. Długo nie wracał. Jeszcze raz usnęłam, rozmyślając o swojej „ciąży”, a kiedy obudziłam się, tym razem już na dobre, słońce leżało w pokoju na podłodze.

Szybko wstałam, ubrałam się, umyłam, ale wyjść z mieszkania niestety nie mogłam. Drzwi od zewnątrz były zamknięte. Spojrzałam na ścianę, kłódka z kluczykami wisiała na swoim miejscu.

„Po co mnie ten cholernik zamknął? W jakim celu? Coś w tym musi być” - medytowałam. Stałam przy oknie, którego nigdy nic można było otworzyć, bo było zabite na amen gwoździami, i czekam, aż ulicą będzie przechodził ktoś ze znajomych, wtedy poproszę, niech mnie otworzy. Długo nie musiałam czekać. Na moje szczęście ulicą przechodziła stara Grzybowska, niosąc mężowi do roboty śniadanie. Zapukałam w szybę. Stara rozejrzała się. Zapukałam drugi raz, zobaczyła mnie. Kiwnęłam na nią palcem, podeszła bliżej.

- Kochana moja - zawołałam. - Niech pani zobaczy, z łaski swojej, na co jestem zamknięta!'

Grzybowska długo mocowała się po drugiej stronie drzwi, wreszcie otworzyła i pokazała mi, na co byłam zamknięta. W rękę trzymała kawał kolczastego drutu.

- Kto panią tak zadrutował? - spytała ze zdziwieniem.

- A skąd ja mogę wiedzieć, droga pani, siedziałam w domu zajęta robotą, pewno jakieś smarkacze zamknęły mnie dla żartów.

Stara pokiwała wyrozumiale głową, wzięła bańkę i poszła w swoją stronę, a ja, stojąc przed mieszkaniem zobaczyłam prosiaka na podwórku. Spojrzałam na komórkę - drzwi były uchylone. Zajrzałam przez szparę do środka i o mało szlag nie trafił mnie na miejscu. Na wiązce słomy, jaką miałam na podściółkę dla świniaka, leżał Felek. Poznałam go po ubraniu i butach, ale co z tego, skoro miał inną głowę. Do połowy był Felek, a od połowy jakaś ondulowana dziwka. Nie wierzyłam sama sobie. Przymknęłam oczy, a gdy je znowu otworzyłam, było to samo, tyle tylko, że dziwka otworzyła oczy i patrzyła na mnie ze zdziwieniem.

- Gdzie Felek ma głowę! - pytam jej, a ona odkrywa marynarkę i pokazuje. Felek wsadził łeb w jej cyce i chrapie sobie w najlepsze.

- Ach, ty! - powiedziałam do niej.

Dziwka zerwała się z barłogu jak oparzona, stanęła pod ścianą, trzęsąc się na całym ciele. Nie wie, co robić. Poprawia sukienkę, łapie się za głowę i co chwila zerka w stronę wyjścia. Może by i uciekła bestia, ale ja stałam w drzwiach, zastępując jej drogę. W złości kopnęłam śpiącego Felka. Obudził się, przetrął oczy. Na mój widok zerwał się na równe nogi i udając zdziwienie, zapytał:

- Mamo, co ja tu robię? Nie wiesz?

Patrzę na niego i śmiech mnie ogarnia z jego głupoty.

- Jak to co! Jeszcze pytasz, stary łajdaku! Takie dziecko, ojcem mógłbyś być dla niej, a ty coś z nią robił!'

- Mamuńciu, już wiem. Przypominam sobie wszystko doskonale. Gdy wracałem już do ciebie, niespodziewanie ją spotkałem na ulicy. Zaciekawiony, spytałem, co robi o tej porze na mieście. Odparła, że nie ma dokąd iść, bo w domu pokłóciła się z rodzicami. Różnica poglądów. Jeśli jej wierzyć, to podobno ma nawet dość bogatych rodziców. Nic odpowiada jej tryb życia, jaki prowadziła do tej pory. Rozumiem ją doskonale. Sam kiedyś byłem w podobnej sytuacji. Porzuciłem rodziną i majątek. Była głodna, więc zaprowadziłem ją do restauracji, nakarmiłem, a że ma słabą głowę, dostała delirki. Nic moja w tym wina. Przywiozłem ją tutaj, bo co miałem z nią robić? Pijane dziecko puścić w miasto? Nic. Do tego nic jestem jeszcze zdolny. Do mieszkania też nic mogłem jej wprowadzić, bo dom i ty, Florciu, dla mnie to świętość. A co do tego, o co mnie posądzasz, to chcę cię upewnić, że się grubo mylisz i bezpodstawnie krzywdzisz tą oto młodą dziewczyną. Powiedz, mała - zwrócił się do niej. - Powiedz tej pani, tu przy mnie, czy było coś między nami. No, czemu nie mówisz! Powiedz.

A ona, zamiast odpowiadać na pytania, patrzy tylko na mnie i prosi:

- Błagam panią jak matkę rodzoną, niech pani mnie stąd wypuści. Ja nic jestem winna, ten pan... - nic dokończyła tego, co chciała powiedzieć, i rzuciła się do całowania mnie po rękach. Żal zrobiło mi się tej kurewki, więc huknęłam ją tylko z wierzchu kułakiem w kark i wyrzuciłam z komórki, a za nią jej powykoślawiane pantofelki. Przez tydzień nie rozmawiałam z Felkiem, ale jak długo można żyć pod jednym dachem, więcej: spać w jednym łóżku, i nie rozmawiać ze sobą?

Po tym wypadku z dziewczyną Felek uspokoił się na jakiś czas. Siedział w domu, nigdzie nie wychodził i zaczął nawet pomagać mi w robocie. Pewnego dnia przed południem, pod nieobecność Felka, zawitał do mnie nasz przodownik z jakimś cywilem.

Bez słowa wyjaśnienia splądrowali całe mieszkanie. Na koniec rewizji przodownik znalazł pod łóżkiem litr bimbru, który Felek schował przede mną dla siebie, o czym ja nie miałam zielonego pojęcia. Przodownik podał butelkę z wódką cywilowi, ten schował ją do teczki i zwracając się do mnie w bardzo grzeczny sposób powiedział:

- Przykro nam bardzo, pani Floro, ale będzie pani musiała nam towarzyszyć w drodze na komisariat. Tam wyjaśnimy sprawę na miejscu i wróci pani sobie do domu. To długo nic potrwa.

Ubrałam się i zamknęłam mieszkanie na kłódkę. Felka nic było w domu w tym czasie, ale miał przy sobie drugi klucz.

Na komisariacie wałkowano mnie od południa aż do późnej nocy. Przechodziłam z piętra na piętro, z pokoju do pokoju. Pytano o wszystko. Co robię? Z czego utrzymuję siebie i swego męża, nigdzie nie pracując zarobkowo? Odpowiadałam zgodnie z prawdą, szczerze, że zarabiam na życie gotowaniem smacznych obiadów. Przdownik z cywilem znacząco wymienili spojrzenia, mrugnęli okiem jeden do drugiego i cywil, przeciągając się beczere-monialnie, zarzucił mi kłamstwo. Roześmiałam mu się prosto w twarz. Cywil, nie zrażony tym, z istic policyjną flegmą sięgnął do biurka i wyciągnął z niego zapisany arkusik papieru. Najpierw sam go przeczytał, a potem oddał mnie. Był to donos na mnie, że od lat potajemnie handlują wódką własnej produkcji. Donos podpisany był przez Felka. W głowie nic chciało mi się pomieścić, żeby on, Felek, którego wykarmiłam prawic własną piersią, osłaniałam przed wszystkimi, nie pozwalałam uczynić mu najmniejszej krzywdy, zachował się jak prawdziwy Judasz. Tak, to było pismo Felka, poznałam je od razu. Nic miałam nic na własną obronę, tym bardziej że oskarżał mnie własny mąż. Mąż, nie mąż, ale człowiek, z którym przeżyłam ładnych parę lat i całą okupacją. Spisali protokół, przeczytali mi dwa razy, zapytali, czy zgadzam się z zarzutami, i podsunęli do podpisania. Podpisałam, bo jeszcze myślałam, że mnie puszcza, pójdą do domu, wezmą Felka za mordę i wszystko się wyjaśni. Do protokołu załączono donos Felka i jako dowód zatrzymano butelkę z bimbrem. Po tym wszystkim, zmęczona już -i oni zmęczeni - zapytałam:

- Czy jestem wolna, mogę już iść do domu?

Cywil bezradnie rozłożył ręce i powiedział, że to już od niego nie zależy. On zrobił wszystko, co do niego należało, teraz sąd zadecyduje, co ze mną zrobić.

W celi długo rozmyślałam nad tym, dlaczego Felek złożył na mnie donos. Jaki miał w tym interes? I nic nie przychodziło mi do głowy.

Zrozumiałam to dopiero po trzech miesiącach, kiedy wypuścili mnie na wolność. Przed aresztowaniem miałam odłożonych osiem tysięcy żywej gotówki na obecną walutę i Felek o tym doskonale wiedział. Znał kryjówkę, w której trzymałam pieniądze. Po moim powrocie do domu nic było nic. Ani pieniędzy, ani Felka. Pieniądze stracił z kolegami, którzy później dupę wypięli na niego, a sam przez swoją gadkę i głupie przyzwyczajenie zginął biedak pod kołami tramwaju.

Felek rzadko kiedy chodził na piechotę. Zawsze szukał czegoś, czym mógłby podjechać chociaż ze sto metrów. Nigdy też nic chodził na przystanek, bo mu się nic chciało, i nic wsiadał do tramwaju na postoju, tylko po wyjściu z mieszkania rozglądał się po ulicy, czy coś nic jedzie. Jeśli nadjeżdżał tramwaj, wychodził na jezdnię, stawał na szynach i czekał. Tramwaj dzwonił, a on stał. Wreszcie tramwaj zatrzymywał się przed nim o kilka metrów i wściekły motorniczy pytał go, czemu zatrzymuje tramwaj. Wtedy Felek spokojnie podkręcając węża odpowiadał:

- Widzisz przecież, młody człowieku, że mam zamiar wsiąść.

Przyzwyczajony był też do wsiadania zawsze przednim pomostem, a gdy czasami wybuchała kłótnia między nim a motorniczym o to, że przednim pomostem się nie wsiada, tylko wprost przeciwnie, wysiada, wtedy Felek grzmiał na cały wagon:

- Pan nie będzie uczył mnie, młody człowieku, którędy mam wsiadać! Kiedy ja jeździłem już tramwajem, pan jeszcze koszulę w zębach nosił i na gównu mówił papu. Jest pan młody i źle wychowany. Pański numer? 214. Dobrze, zapamiętam go sobie. Jestem serdecznym przyjacielem pańskiego dyrektora. Komorowski będzie miał z panem do czynienia, a pan, drogi kolego - tu Felck zwracał się do pierwszego lepszego z brzegu pasażera - biorę pana na świadka.

Zbulwersowany motorniczy dawał za wygraną i rozbrzmiewający kłótnią tramwaj ruszał z miejsca.

Po wyjściu na wolność dowiedziałam się od znajomych, że zaraz pierwszego dnia po moim aresztowaniu widzieli na mieście Felka pijanego. Chodził od knajpy do knajpy i wszystkim spotkanym znajomym stawał wódkę, mówił o nieszczęściu jakie go spotkało, to jest o moim aresztowaniu, i że teraz on ma taką robotę, przy której dziennie może zarobić nawet i pięćset złotych, a tym, którzy nic wierzyli w jego słowa, pokazywał całą garść pieniędzy.

Tego dnia, kiedy zginął, była niedziela. Jak zwykle wstał rano. Wyprasował sobie koszulę, spodnie i wyczyścił buty. Trzeba mu przyznać, że bardzo lubił dbać o siebie. Potem ubrał się. Nie miał widocznie zamiaru wypuszczać się gdzieś dalej w miasto, bo nic wzięł ze sobą marynarki, w której nosił dokumenty. Zamknął mieszkanie na kłódkę i w samej tylko koszuli z zawiniętymi rękawami do łokcia wyszedł na ulicę. Przy budce na rogu wypił piwo, jedno, drugie. Pod budką zebrało się kilku znajomych, zaczęli gadać o tym i owym, śmieli się z Felka, że jest teraz słomianym wdowcem i na wszystko może sobie pozwolić.

nawet dziwką przyprowadzić do domu, w końcu, sami nic mając grosza przy duszy, namówili go, żeby postawił im wódkę w barze. Niedługo musieli go prosić. Wszystkich, ilu ich było pod budką z piwem, zaprowadził do baru i posadził przy stoliku.

W barze wypili po parę setek na głodniaka, potem tamci gdzieś poszli, a Felek został sam. Potem do baru zajrzał Wąsik, zobaczył Felka przy stoliku i przysiadł się do niego.

„Było już dobrze po południu - opowiadał później Wąsik. - Felek w pewnym momencie podniósł się od stolika i powiedział mi, żebym się nigdzie nic ruszał, dopóki nie wróci, odchodzi na chwilę zrobić siusu i zaraz wraca. Czekając na Felka, sam wypilem na jego konto parę wódek, a potem to już niewiele pamiętam.”

Felek chwiejnym krokiem wyszedł z chłodnego bani na rozgrzany beton ulicy. Chusteczką wytarł spocone czoło i nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, przeszedł na drugą stronę jezdni.

Było gorąco, nie było czym oddychać. Stał w cieniu drzewa. Obok przebiegła dziewczynka za piłką. Spojrzał na nią i przy okazji spostrzegł, że stoi na torach. Nagle poczuł zmęczenie, pomyślał, że dobrze zrobi, jeśli pojedzie do domu i położy się do łóżka. Wypity alkohol szumiał mu w głowie, szum narastał z każdą chwilą, nie pozwalał zebrać myśli. Stojąc zapatrzony w ziemię u nóg, nie słyszał dzwonienia zbliżającego się z dużą szybkością tramwaju. Spostrzegł tramwaj, kiedy ten był już zupełnie blisko, Felek podniósł do góry ręką, chciał wsiąść, ale na wszystko było już za późno. W ostatniej sekundzie swego życia ujrzał głupio wykrzywioną przerażeniem twarz motorniczego za przednią szybą tramwaju.

Oba wagony lekko uniosły się na prawą stronę. Powietrze przeszły ostry pisk hamulców, a spod kół posypały się iskry.

Z wagonów wyskoczyli przerażeni pasażerowie, za nimi wysiadł blady jak ściana motorniczy. Dłonią wytarł spocone czoło. Odszedł nieco na bok i ciężko usiadł na trawie.

Matki rękoma pozasłaniały oczy płaczącym dzieciom i zanim dookoła tramwaju powstało zbiegowisko, z pobliskiej garbami wyszedł stary dozorca, niosąc w jednej ręce powyginaną szufłę, w drugiej zaś wielki, kwadratowy kosz po węglu.

Razem z kawałkami żużlu zgarnął starannie Felka z szyn i wrzucił do kosza, a potem kosz nakrył torbą po cemencie, żeby muchy nie siadały.

Po kilku minutach na miejsce wypadku z wyciem syreny zajeżdżało pogotowie ratunkowe. Z samochodu wysiadł lekarz, a za nim dwóch tęgich pielęgniarzy z rozłożonymi noszami. Lekarz był młody i chyba niewiele w swoim życiu widział. Jadąc tu, spodziewał się zapewne zobaczyć młodą dziewczynę z wywichniętą nogą w kostce.

Jakież było jego zdziwienie, kiedy na pytanie skierowane do ludzi: „Gdzie jest ofiara?” - ktoś w milczeniu wskazał na kosz. Lekarz nogą strącił torbę po cemencie. To, co zobaczył, w niczym nic przypominało mu człowieka.

Do zadumanego lekarza podszedł jeden z kilku milicjantów, którzy przyjechali na miejsce wypadku.

- I co pan powie o tym? - spytał milicjant wskazując na kosz.

- Nic - odparł lekarz. - Stwierdzam zgon.

- Nie wic pan, jak nazywał się denat? - spytał znowu milicjant.

- Nie - powiedział w zamyśleniu lekarz.

Milicjant wpadł na pomysł. Poszukał jakiegoś kija i zaczął grzebać nim w koszu. Sądził, że znajdzie w nim jakieś dokumenty stwierdzające tożsamość osoby.

Kiedy wszyscy zbici w gromadkę nad koszem zastanawiali się, kogo przejechano, z baru wytoczył się pijany Wąsik. Rozejrzał się po ulicy. Z daleka zobaczył stojący tramwaj i wokół niego zbiegowisko. Wiedziony pijacką ciekawością, ruszył w tym kierunku. Po drodze potknął się na szynach i o mało nic upadł, ale w tym samym momencie, kiedy był twarzą przy ziemi, zauważył coś, co przykuło jego uwagę. Były to wąsy, tyle tylko że utyłane w ziemi i trudne do rozpoznania. Wąsik ostrożnie dwoma palcami ujął je za sam koniec, otrząsnął je z piachu i podniósł do oczu.

Powoli zaczął kojarzyć fakty: karetka pogotowia, milicja, zatrzymany tramwaj, tłum ludzi, strzępy rozmów i te wąsy. Otrzeźwiał momentalnie, krzyknął tylko:

- O kurwa mać, coś mi się wydaje, że Felka przejechali - i podbiegł do kosza.

Florka w zamyśleniu spuściła głowę na piersi, zapanowało milczenie, a gdy ją podniosła, ciężka łza spłynęła po brudnej twarzy na pomarszczoną pierś. Potem spojrzała za siebie, na słońce, które powoli zaczęło zachodzić za dach polerowni Choinowskich. Widać było, że jest dobrze pijana i ma dość. W pewnej chwili gwałtownie wykonała zwrot całym ciałem i przyjęła pozycję zawodnika ekstraklasy w bloku startowym.

Mętnym spojrzeniem ogarnęła zielsko przed oczami i z trudem oderwała ręce od ziemi. Chwiejnym krokiem ruszyła przez badyle i zanim zdążyliśmy poderwać się z miejsca, aby ją powstrzymać, Florka z jękiem zwała się do dołu. Wysoko nad ziemię wzbily się kłęby sadzy i popiołu, a potem wolno opadły na leżącą. Nie można było tak jej zostawić i Wójcik klnąc jak szewc, na czym tylko świat stoi, podwinął nogawki spodni i trzymając nas mocno za ręce, ostrożnie opuścił się do dołu. Florka po upadku w miękkim popiole od razu usnęła. Zanim Wójcik stanął przy niej w dole, aby wziąć ją na ręce i podać nam na górę, spała jak zabita.

We trzech z nic byle jakim trudem, lejącą nam przez ręce niczym źle wyrobione ciasto, zanieśliśmy ją do mieszkania, położyli na podłodze, bo była niemożliwie brudna, Wójcik rozebrał ją do naga.

Przyniosłem ze studni świeżej wody i nalałem na wielką poobijaną z emalii miednicę, a Wójcik, jako najstarszy z nas, zabrał się do szorowania Florki. Umył ją najpierw z przodu, a potem odwrócił na podłodze, żeby umyć plecy. Kiedy je umył, wytarł porządnie ręcznikiem i przy naszej pomocy ułożył ją na łóżku. Gdyśmy ją położyli, okazało się, że Florka z przodu jest cała brudna. Jeszcze gorsza niż przedtem. Ubrudziła się nam od podłogi.

Znowu żeśmy ściągnęli ją na podłogę i Wójcik ze zdwojoną energią ponownie zabrał się do szorowania. W końcu posadziliśmy ją na krześle. Ja trzymałem jedną rękę Florki, Dziunio drugą, a Wójcik szorował. W ten sposób jako tako Florka została umyta, bo na podłodze przy przekręcaniu zawsze jedna strona nam się brudziła. Po umyciu położyliśmy ją na łóżku i wyszliśmy na ulicę.

Chwilę staliśmy przed mieszkaniem Florki. Wójcik częstował papierosami, ale nic mogłem palić. Było mi niedobrze i z każdą sekundą coraz gorzej. Powiedziałem im o tym. Poradzili mi po przyjacielsku, żebym się przespał. Pożegnałem ich i z powrotem zawróciłem na „grządkę” za ustępem. Obudziłem się z bólem głowy, zziębnięty mimo letniej nocy. Nic nie wiedziałem, gdzie jestem. W górze nade mną migotały gwiazdy.

Jakiś czas leżałem nasłuchując. Z daleka dobiegały gwizdki przetokowych, szczęk i sapanie lokomotywy. Delikatnie obmacałem sobie rękami twarz i głowę, czy przypadkiem nic jestem pobity. Na szczęście, wszystko było w porządku. Wstałem, otrzepałem ubranie i rozejrzałem się dookoła. W mroku dostrzegłem zarysy budynku. Poszedłem w tym kierunku, była to wozownia. Wiedziałem już, gdzie jestem. Zawróciłem i z daleka omijając dół, w który wpadła

Florka, wydostałem się na pierwsze podwórko. Ulicą przeleciał pusty tramwaj oświetlając mi drogę.

Przyszło mi na myśl wstąpić do Florki. „Jeśli nic śpi, to napiją się u niej wody i pójdę do swego domu” - postanowiłem.

Myślałem, że wszystko zastaną pozamykane, ale gdy tylko nacisnąłem klamkę, drzwi ustąpiły. W mieszkaniu było ciemno, z pokoju dochodziło miarowe chrapanie Florki. Oczy moje stopniowo przywykły do ciemności.

Ostrożnie, żeby nic potrącać po drodze sprzętów, przeszedłem do pokoju.

Florka leżała na pościeli, nieporuszona. Tak samo jak ją przedtem ułożył Wójcik. Stałem nad nią przy łóżku, nic przebudziła się, spała twardo dalej. Wróciłem do kuchni, napiłem się wody, zamknąłem drzwi na haczyk od wewnątrz i na nowo przeszedłem do pokoju. Przy stole wypaliłem papierosa, a po namyśle doszedłem do wniosku, że do domu nie mam już po co chodzić, bo i tak niedługo na dworze zacznie świtać. Teraz dopiero zacząłem żałować przepitych za dnia pieniędzy, za które nie użyłem żadnej przyjemności.

Nic myślałem w tej chwili o tym, co będzie później, kiedy Florka się przebudzi, ani o tym, że jest starsza ode mnie o pół wieku. Przesunąłem ją bliżej ściany. Wstrzymując oddech, w ciemności gładziłem ręką naciągniętą skórę na jej biodrze.

Obudziła się.

- Wójcik? - spytała niepewnie. - To pan, panie Wójcik?

Nie odzywałem się do niej. Florka leżała spokojnie, nie wołała o pomoc, przejechała tylko ręką po moich krótkich, kędziorowatych włosach raz i drugi i bez trudu odgadła, z kim ma do czynienia.

- Ach, to pan - powiedziała, jak mi się wydawało, z ulgą i bez gniewu. - Niech pan przestanie się wygłupiać, co pan robi?

- Nic, nic - powiedziałem uspokajająco. - Niech pani leży spokojnie.